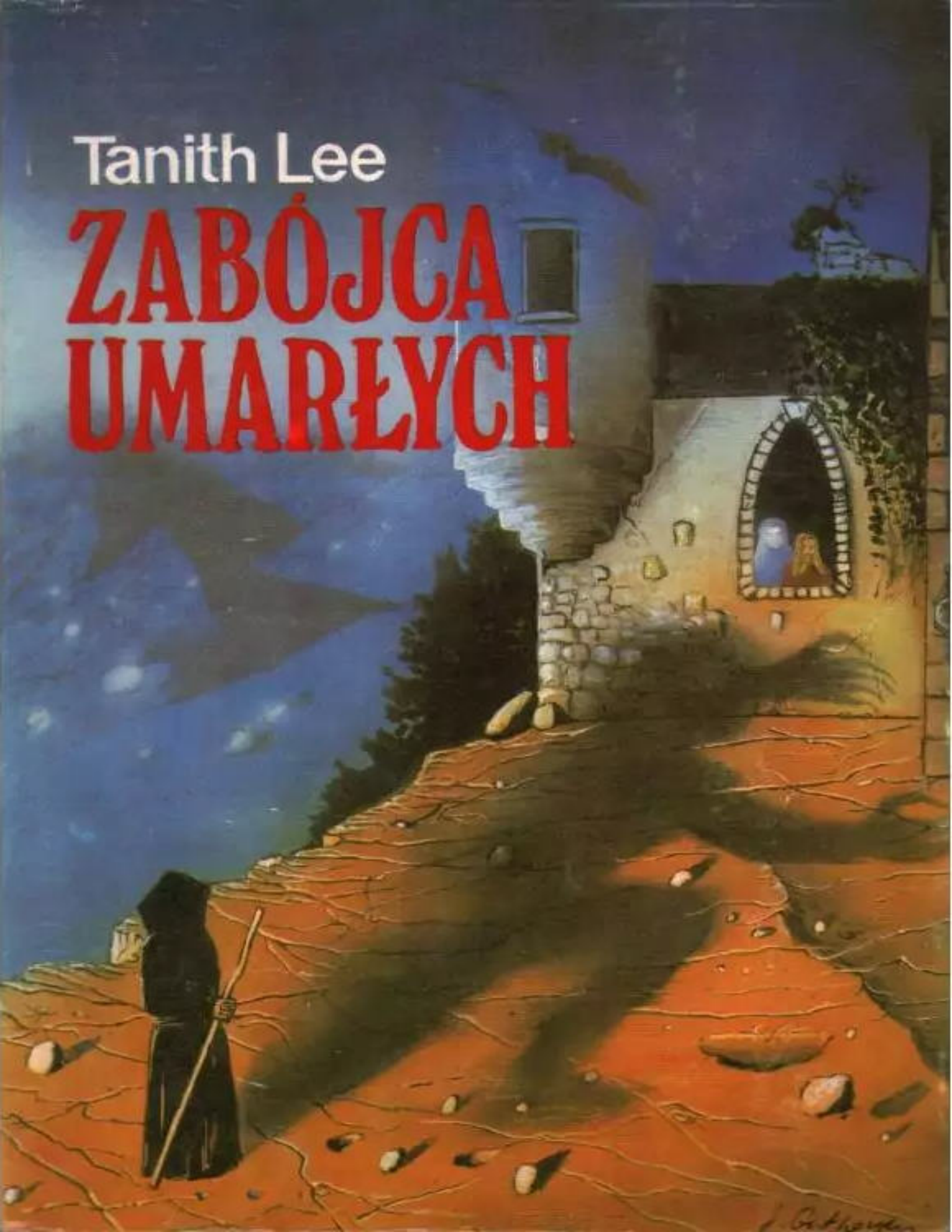
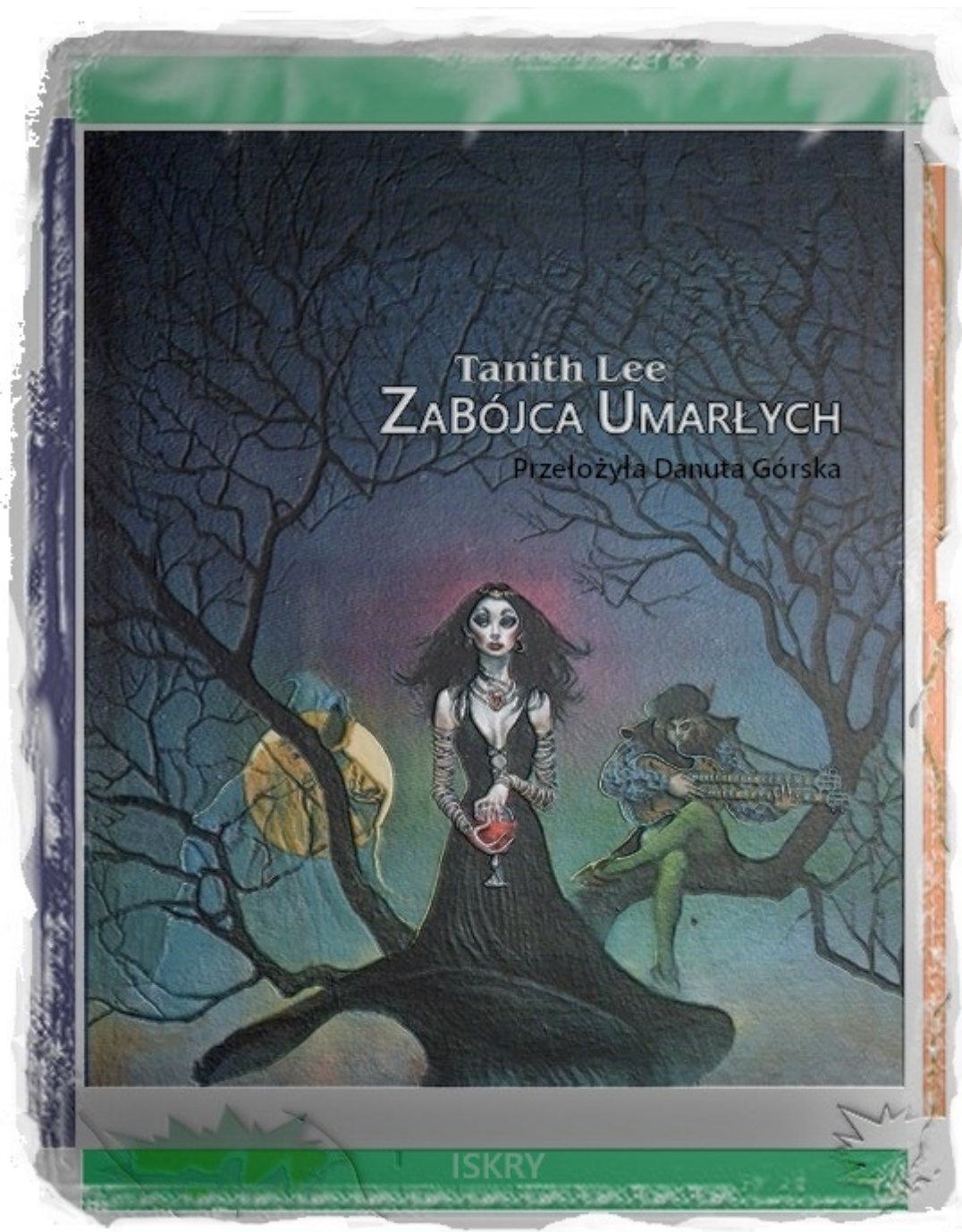


Tanith Lee

# ZABÓJCA UMARŁYCH



Guthrie



Tytuł oryginału  
**Kill the Dead**

Ilustracja na okładce  
Janusz Gutkowski

Redaktor  
Małgorzata Żbikowska

Redaktor techniczny  
Anna Kwaśniewska

Korektorzy  
Jolanta Rososińska Jolanta Spodar

ISBN 83-207-1378-1

Copyright © 1980, by Tanith Lee; by arrangement with DAW Books, Inc., New York.

Polish translation © copyright by Danuta Górka, Warszawa 1992.

Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1992 r.  
Wydanie I.

Druk: Zielonogórskie Zakłady Graficzne, Pl. Pocztowy 15  
22-223, 52-83, 72-488; telex 0433164  
Zam. nr 194

## Spis treści

- Karta redakcyjna
- Dedykacja
- ROZDZIAŁ PIERWSZY
- ROZDZIAŁ DRUGI
- ROZDZIAŁ TRZECI
- ROZDZIAŁ CZWARTY
- ROZDZIAŁ PIĄTY
- ROZDZIAŁ SZÓSTY
- ROZDZIAŁ SIÓDMY
- ROZDZIAŁ ÓSMY
- ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY
- ROZDZIAŁ DZIESIĄTY
- ROZDZIAŁ JEDENASTY
- ROZDZIAŁ DWUNASTY
- ROZDZIAŁ TRZYNASTY
- ROZDZIAŁ CZTERNASTY
- Przypisy

Dla Valentine

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Cilny... grozi nam niebezpieczeństwo.

Z mroku nie nadeszła żadna odpowiedź.

Jedyna droga prowadząca z gór była stroma, kręta, stalowobłękitna w cieniu. Mniej więcej dziesięć mil od przełęczy droga prostowała się opieszale i zakręcała w stronę górskiej doliny, gdzie pospołu rosły drzewa i wieśniacze chaty. Pół mili przed wioską droga omijała łukiem dziwaczny, pochylony dom.

Obok domu również rosły drzewa. Zapуściły korzenie pod fundamenty szukając żyły wodnej, która widocznie tędy przebiegała, bo tuż za żelazną bramą stała kamienna studnia. Korzenie drzew stopniowo podwazywały budynek, mury popękały w wielu miejscach, w każdą szczelinę wciskały się ciemnozielone pnącza. Tymczasem jednak przy północnej ścianie domu wyrosła silna podpora: kamienna dwupiętrowa wieża.

Wieżę wzniesiono zapewne dla obrony. Trzy wąskie okna spoglądały na północ w stronę gór, ponad dymiącymi wierzchołkami drzew.

Słońce zaszło. O tej porze góra przybierała tę samą barwę co wieczorne niebo i wyglądała jak odlana z ciemnego, mętnego szkła. Inne, bardziej odległe szczyty skromnie usuwały się na dalszy plan i tylko ich sylwetki, jakby lekko naszkicowane węglem, rysowały się na horyzoncie.

Z najwyższego okna wieży wyraźnie widać było górską drogę, nawet o zmierzchu. A kiedy białe, migoczące gwiazdy rozbłysły w górze jak zapalone pochodnie i blady sierp księżyca pozełgował na wschód, droga ukazała się jeszcze wyraźniej.

Z przełęczy schodził jakiś człowiek. Zawinięty był w obszerny czarny płaszcz z kapturem, ale jego ruchy i cała sylwetka były zdecydowanie męskie. Widać było również, że jest kulawy. Szedł szybko, ale przy każdym kroku pochylał się lekko na lewą stronę.

Kiedy czarno odziany, kulawy mężczyzna zbliżył się do domu na jakieś siedemdziesiąt kroków, dziewczyna wyglądająca z wieży pośpiesznie odsunęła się od okna. Zwracając się do cieni, szeptem powtórzyła swoje wezwanie z powstrzymywaną rozpaczą.

– Cilny... grozi nam niebezpieczeństwo... straszne niebezpieczeństwo. Czy mnie słyszysz? Jesteś tu? Och, Cilny, odpowiedz.

Tym razem nadeszła odpowiedź. W rogu komnaty najgłębsza ciemność zdawała się rozstępować. Spomiędzy cieni wysliznęła się jakaś postać, blada jak sierp księżycy.

– Jestem tu – przemówił głos cichszy od szeptu, cichy jak szelest liści na drzewach przed domem. – Co się stało?

– Najdroższa Cilny, moja jedyna, ukochana siostrze – powiedziała dziewczyna, która wyglądała z wieży – jakiś mężczyzna nadchodzi drogą. Kuleje na lewą nogę i jest ubrany w czerń. Może się mylę, ale wydaje mi się, że go znam.

Blady, księżycowy cień zaśmiał się łagodnie, jak gdyby zaszeleścił liść.

– Gdzieś ty spotkała tego mężczyznę, Ciddey?

– Nigdy go nie spotkałam. Nie chcę go spotkać. Modlę się, żeby go nie spotkać. Ale słyszałam legendy o tym człowieku. Stare opowieści.

– Cóż za tajemnica. Nie powiesz mi?

– Jeśli to on... nazywa się Parl Dro. Ale nosi jeszcze inne miano, związane z jego profesją. Zabójca duchów.

Blady, księżycowy cień, który również był dziewczyną, długowłosą i smukłą jak tamta, ale – w odróżnieniu od tamtej – dziwnie niematerialną,

cofnął się nieco i podniósł przezroczystą rękę do przezroczystych ust.

– Nie chcemy tutaj takiego człowieka – szepnął cień szeleszczącym głosem.

– Nie. Nie chcemy. Więc ukryj się, Cilny. Ukryj się.

Parl Dro, idąc drogą, uparcie wpatrywał się w dom czarnymi jak węgiel oczami. Głównie dlatego, że dom oznaczał bliskość wioski, do której Parl Dro zamierzał dotrzeć przed nadejściem nocy. Co prawda przyzwyczał się sypiać na gołej ziemi, tak samo jak przyzwyczał się do nieustannego, rwącego bólu w kalekiej nodze. Znosił to od wielu lat i potrafił przekonać sam siebie, że każda bliska zażyłość, nawet zażyłość z bólem, rodzi pogardę. Ponadto zostawił za sobą kłopoty, do których nie chciał wracać, ponieważ w najbliższej przyszłości czekały go zapewne następne kłopoty.

Czasami, kiedy Parl Dro, długonogi, kulejący i zakutany w czerń, pojawiał się w jakiejś odległej wiosce, miejscowi brali go za wysłannika Śmierci. Wróżby i karty zapowiadały zwykle jego przybycie pod postacią złowieszczonego Króla Mieczy. Całkiem stosowna metafora, zważywszy na jego powołanie.

Już od pół godziny podświadomie wyczuwał, że ktoś go obserwuje z wieży. Nie przejmował się tym. Nic dziwnego, że obcy na pustkowiu przyciąga ciekawskie spojrzenia. Potem, kiedy minął zakręt i zbliżył się do starej żelaznej bramy, coś kazało mu przystanąć. Może zadziałał ów niepojęty siódmy zmysł, który zdecydował o jego przeznaczeniu. A może odezwał się tylko ten zwyczajny, dość powszechny szósty zmysł, wewnętrzny radar, reagujący na aurę niepokoju lub tajemnicy otaczającą niektórych ludzi. Za wcześnie było o tym sądzić. Sam dom, pochylony, zarośnięty i tonący w mroku, wywierał tak niesamowite wrażenie, że Dro skłonny był przypisać swój nagły niepokój podrażnionej wyobraźni. Nie miał jednak zwyczaju lekceważyć niczego, nawet własnych przeczuć.



Wreszcie pchnął żelazne skrzydło bramy i wszedł na brukowany dziedziniec.

Nad studnią pochylało się martwe figowe drzewo. Inne drzewa, zazdrosne o bliskość wody, wysały z niego życie. Prawdziwie złowieszczy widok. Drzwi domu, ukryte w głębi kamiennego ganku, były drewniane, stare i wypaczone. Dro podszedł do drzwi i zastukał kilka razy.

Kiedy czekał, gwiazdy rozbliły jaśniej w mroku, a widmowy księżyc zmaterializował się na niebie jak duch i przybrał pozór rzeczywistości.

Jakiś robak przebiegł po bluszczu oplatającym ścianę.

Nikt nie zjawił się w odpowiedzi na pukanie, chociaż na pewno ktoś był w domu. Cały budynek zdawał się teraz nasłuchiwać z zapartym tchem. Może samotny mieszkaniec domu całkiem słusznie obawiał się po zmroku otwierać drzwi obcym przybyszom.

Dro nie lubił niepotrzebnie straszyć niewinnych ludzi, chociaż nie wahał się przed tym w razie konieczności. Odszedł od drzwi.

Czarne zasłony cieni okryły teraz dziedziniec. A jednak światło gwiazd przeblyskiwało przez gałęzie drzew i lśniło na powierzchni wody w studni... Coś było w wyglądzie tej studni. Coś dziwnego.

Parl Dro podszedł bliżej. Przechylił się przez cembrowinę i ujrzał swoje własne mroczne odbicie, które zgasiło migotliwą czerń nieba. Zardzewiały łańcuch zanurzał się w wodzie. Dro pod wpływem impulsu zaczął obracać korbę. Wiadro zawieszona na końcu łańcucha ruszyło do góry. Kołowrót skrzypiał przeraźliwie w ciszy. Siódmy zmysł Dro był teraz całkowicie rozbudzony. Wiadro wyłoniło się ze studni i w tej samej chwili drzwi domu rozwarły się z trzaskiem.

Nie było żadnego ostrzeżenia, żaden dźwięk nie wydostał się z wnętrza domu. Jeszcze przed sekundą wszędzie panował niezmacony spokój, a teraz

ciemność pierzchła przed otwartymi drzwiami i wąską smugą światła, padającą z uniesionej lampy.

Dro uderzyła przede wszystkim niezwykłą bladość stojącej w drzwiach dziewczyny, ta bladość, na widok której znajomy dreszcz przebiegł mu po kręgosłupie. Ale nie tylko jej bladość zrobiła na nim wrażenie, lecz również biała suknia i płowe włosy splecione w pięć cienkich warkoczyków, trzy spadające na plecy, a dwa zwinięte nad uszami po obu stronach głowy. A także jej biała skóra i białe dłonie, prawa trzymająca lampę z zielonkawego szkła, przez które prześwitywał wąski promień, lewa ściskająca nóż o długim, obnażonym, połyskującym bielą ostrzu.

Dro przytrzymał wiadro, nie zdejmując ręki z kołowrotu. Stał bez ruchu i wpatrywał się w dziewczynę. Spodziewał się zwykłych pytań i pogroźek: „Kim jesteś?”, „Jak śmiesz?”, „Mój mąż niedługo wróci i rozprawi się z tobą”. Nic takiego nie nastąpiło. Dziewczyna po prostu krzyknęła na niego ostro:

– Wynoś się! Odejdź!

Milczał przez chwilę czekając, żeby przebrzmiały te słowa. Potem powiedział, starając się mówić wyraźnie i spokojnie:

– Czy mogę najpierw napić się wody ze studni? Pukałem. Myślałem, że nikogo nie ma w domu.

Miał piękny, cudownie modulowany głos, który często urzekał ludzi, zwłaszcza kobiety. Ale nie tym razem.

– Wynoś się, powiedziałam. Jazda!

Dro znowu odczekał chwilę, po czym nagle puścił korbę. Łańcuch rozwinął się ze zgrzytem i wiadro ciężko spadło do wody. Chciał przestraszyć dziewczynę i udało mu się. Siódmy zmysł był napięty niczym drgający nerw. Dro okrążył studnię i podszedł do dziewczyny. Musiał się upewnić, dlatego powinien najpierw wyeliminować inne przyczyny jej

wrogości. Idąc zsunął kaptur z głowy. Ponieważ szedł powoli, jego kalectwo było niezauważalne, a ruchy miał pełne wdzięku. Ręce trzymał swobodnie opuszczone, z dala od płaszcza, żeby pokazać, że nie ukrywa żadnej broni.

Parl Dro był mężczyzną o niepospolitym wyglądzie. Może nie tak młody jak przed dziesięciu laty, ale obdarzony niezwykłą, mroczną urodą, która łagodziła mocne rysy jego twarzy i nadawała jej aksamitną miękkość. Linie jego ust i nosa, zarys szczęki i policzków przypominały profil jakiegoś legendarnego cesarza wybity na monecie. Oczy, czarne, głębokie i nieprzeniknione, idealnie harmonizowały z czernią długich, prostych włosów. Zarówno fizyczne przymioty, jak i cechy charakteru wskazywały na astrologiczne pochodzenie gdzieś pomiędzy ziemskim znakiem Byka a ognistym znakiem Węża.

Dziewczyna musiała dostrzec to wszystko, kiedy Dro wszedł w krąg światła lampy. Musiała również zauważyć nieznaczące, chłodne i trochę gorzkie skrzywienie warg, wykluczające wszelkie posądzenia o rozwiązłe zamiary, niewidoczną, a jednak precyzyjnie zaznaczoną Unię pomiędzy brwiami, która zdawała się podkreślać siłę spojrzenia – oznakę ponadprzeciętnej rozwagi, inteligencji i opanowania. Tylko głupiec mógłby wziąć tego człowieka za rabusia, gwałciciela czy nocnego złodziejaska. A ta dziewczyna nie wyglądała na głupią. A jednak złękła się i próbowała mu grozić. I wciąż się bała.

Zaatakowała go nożem równie niespodziewanie, jak przedtem otworzyła drzwi.

Parl Dro cofnął się chwiejnie, powłócząc kulawą nogą, ale ruch był doskonale wymierzony w czasie i ostrze przecięło powietrze o cal od jego boku. Dro był trochę więcej niż średniego wzrostu, a dziewczyna nie była wysoka. Wymierzyła cios jak najbliżej serca.

– A teraz wynoś się wreszcie! – krzyknęła, najwyraźniej przerażona własnym postępkim, a także swoją porażką. – Nie życzę sobie żadnych gości.

– To widać.

Stał poza jej zasięgiem i wciąż na nią patrzył.

– Czego chcesz? – wypluła w końcu.

– Mówiłem ci. Chcę się napić wody.

– Wcale nie chcesz wody.

– Dziwne, myślałem, że chcę. Dziękuję, że wyprowadziłaś mnie z błędu.

Dziewczyna zamrugła. Miała długie, niemal szare rzęsy i oczy płonące jak rozżarzone węgle, prawie zielone, ale nie całkiem.

– Nie próbuj mnie zagadywać. Po prostu odejdz. Bo zawołam psy.

– Chodzi ci o te psy, które ciągle szczekają, odkąd przeszedłem przez bramę?

Wówczas rzuciła w niego nożem. Wzięła jednak zbyt szeroki zamach, więc Dro nawet nie musiał się uchylać. Nóż musnął mu rękaw i z brzękiem uderzył w cembrowinę studni. Przed paroma dniami Dro wyszedł bez szwanku ze znacznie gorszej sytuacji.

– Fatalnie – stwierdził. – Powinnaś więcej ćwiczyć.

Odwrócił się i odszedł, a ona została jak przykuta do miejsca, z rozszerzonymi oczami. W bramie zawahał się i obejrzał. Dziewczyna nie zmieniła pozycji. Z pewnością była wstrząśnięta, ale sądziła również, że się go pozbyła. Na to było za wcześnie.

– Może spotkamy się jutro! – zawołał.

Dziewczyna skoczyła do środka i zatrzasnęła za sobą drzwi. Nóż został przy studni. W ciszy Dro usłyszał szczęk zasuw.

Naciągnął kaptur na głowę.

Wrócił na drogę i ruszył w stronę wioski. Twarz miał ponurą i zamyśloną.

Wioska nie różniła się od setek innych wsi. Szeroka główna ulica łączyła się bezpośrednio z drogą. Wzdłuż ulicy biegł główny kanał, naturalny lub uregulowany strumień, który odprowadzał ścieki i w którym nocą pływały dziwne, fosforyzujące ryby. Tu i ówdzie kamienie wystające z wody umożliwiały przejście na drugą stronę, tu i ówdzie pomiędzy domami biegły wąziutkie alejki. Większość budynków przy głównej ulicy stanowiły sklepy, otwarte od frontu, a na noc zamykane. Domy mieszkalne miały okna od tyłu, na ulicę zaś wychodziły ślepe ściany, z rzadka przecięte wąską szczeliną, która rzucała na ziemię prostokąt złotożółtego światła.

Wioska, ciemna i cicha, spoczywała pośród sadów, winnic i łąnów zbóż pachnących późnym latem. Za to trzy gospody pełne były światła i hałasu.

Dro ominął pierwszą gospodę. Była zbyt głośna i o wiele za ruchliwa jak na jego wymagania. Druga, zaledwie dwa domy dalej, wyraźnie pełniła również funkcję wioskowego burdelu. Dro miał już dość kłopotów z kobietami. Kiedy przechodził obok, kędzierzawa dziewczyna o szelmowskim spojrzeniu, stojąca w otwartych drzwiach, wykrzyknęła w jego stronę odwieczne zaproszenie. Zignorował ją, a ona wrzasnęła jakiś obelżywy przytyk do jego męskości czy raczej braku męskości spowodowanego kalectwem. Uśmiechnął się przelotnie aa te słowa. Ostatnia gospoda stała na rogu głównej ulicy i bocznej alejki. Było tam również jasno i gwarno, ale trochę spokojniej. Dro stwierdził, że szyld jest praktycznie nieczytelny. Drzwi również były zamknięte, jak gdyby mówiły: „Nikogo nie zapraszam do środka”.

Dro uchylił drzwi i wśliznął się do gospody, a wówczas cała sala odwróciła głowy, żeby zobaczyć, kto przyszedł. Jego widok wywołał niewielkie poruszenie.

Sława Parla Dro, czy raczej niesława, poprzedzała go na każdym kroku. Niektórzy z obecnych mogli odgadnąć jego tożsamość. Prawdopodobnie

dziewczyna z pochylonego domu również się tego domyśliła. Jeżeli jednak biesiadnicy w gospodzie odgadli, kto do nich zawitał, na razie niczym się nie zdradzili. Nawet grupa śpiewaków zgromadzona na drugim końcu pomieszczenia, wokół kominka z ciężko obracającym się rożnem; nie przerwała piosenki.

Dro puścił drzwi, które same się zamknęły. Przez kilka dodatkowych sekund stał bez ruchu, pozwalając ciekawskim napatrzeć się do syta. Potem powoli, w milczeniu, prawie nie kulejąc podszedł do jednego z długich stołów i usiadł. Mimo woli wyrwało mu się stłumione, ledwie słyszalne westchnienie, kiedy ból w okaleczonej nodze stopniowo ustąpił.

Pozostali goście siedzący za stołem zaszemrali jak trawa na wietrze i poprawili się na miejscach. Popatrywali na siebie sponad kubków, kielichów i obgryzanych kości, sponad kart i rozmaitych gier, którymi się zabawiali. Wyrośnięty chłopak w skórzanym fartuchu, z rzeźnickim nożem u pasa, podszedł niosąc kubek i butelkę.

– Co podać?

– Co macie.

– Mamy to – oznajmił chłopak. Postawił kubek na stole i napełnił go ordynarnym glicerynowym alkoholem z butelki. – I to – dodał wskazując kocioł z gulaszem, rożen, półki wyładowane gorącymi bochenkami chleba oraz piętrzące się na wierzchu stosy prażonej cebuli.

– Tracisz czas na próżno – odezwał się jeden z graczy przy stole. – On nie będzie jadł.

Odkrył kartę, którą właśnie otrzymał w rozdaniu. To był Król Mieczy, cztery czarne ostrza przypominające ciernie, a pomiędzy nimi zakapturzony monarcha w wysokiej koronie. Karta śmierci, zły omen.

– On mówi – wyjaśnił chłopak – że wyglądasz jak śmierć.

– Rzeczywiście umieram z głodu – przyznał Dro. Zsunął kaptur z głowy, podniósł kubek i osuszył go jednym haustem. – Ćwiartkę chleba – polecił chłopcu – i parę plasterków tego barana, którego przypalacie nad ogniem.

– Zawsze przypalamy barany przed jedzeniem – odparł dowcipnie chłopak – żeby sprawdzić, czy na pewno nie żyją.

– Widzę, że równie przezornie postępujecie z chlebem.

Ktoś się roześmiał. Ktoś inny zaczął udawać, że chce odgryźć kawałek żywego bochenka. Chłopak ponownie napełnił kubek Dro, po czym przepchnął się do kominka, torując sobie drogę wśród śpiewaków i groźnie wymachując rzeźnickim nożem. Kiedy ochrypli chór przycichł na chwilę, Dro pochwycił kilka taktów doskonałej muzyki, czystych i gładkich niczym lśniące ryby w mulistej wodzie. Najpierw dźwięki strun wzbły się aż pod niebo, potem nagle przyłączyła się fujarka, nastrojona jeszcze wyżej. Dro lekko przechylił głowę czekając na następny subtelny ton, ale wrzaskliwa pieśń rozpoczęła się od nowa i zagłuszyła muzykę.

Chłopak wrócił i z trzaskiem postawił talerz na stole.

– Popróbuj widelcem tego barana. Jeśli powie „bee”, wsadzę go z powrotem na rożen.

Dro wbił widelec w mięso, a tuzin głosów przy stole zabeczało jak owce.

– Lepiej obudźcie pasterza – ostrzegł Dro – zanim wilk porwie mu stado.

Zaczął jeść oszczędnymi ruchami. Zapadło krótkie milczenie. W końcu ktoś powiedział:

– Ten wilk jest kulawy, no nie?

Sąsiad trącił go w łokieć.

– Zamknij się, durniu. Teraz go poznaję.

– Tak – dorzucił inny. – Ja też go rozpoznałem. Myślałem, że to tylko legenda.

Dro dalej jadł bez pośpiechu. Któryś z mężczyzn zwrócił się do niego:

– Domyślamy się, kim jesteś.

Dro odchylił się do tyłu i uśmiechnął się enigmatycznie w przestrzeń.

– Czy dowiem się tego ostatni?

Zaszurali nogami. Ktoś powiedział, jak zwykle:

– Chyba nie myślisz, że będę z tobą siedział przy jednym stole.

Ale nikt nie ruszył się z miejsca. Przeciwnie, jeszcze kilka osób zbliżyło się z głębi sali, jakby zwabionych widokiem sensacyjnej zbrodni. Dro spokojnie jadł i pił, nie zwracając uwagi na zamieszanie, które wywołał. Przyzwyczał się do tego tak samo, jak do noclegów na gołej ziemi, jak do towarzyszącego mu wszędzie bólu. Potrafił również wykorzystywać to do własnych celów.

Zaczęły padać docinki, najpierw ostrożne, potem coraz śmielsze. Powietrze gęstniało od nadmiaru emocji.

– Jak ci się podoba twój zawód?

– Chyba w nocy nie możesz zmrużyć oka.

– On śpi spokojnie. Wielu ma powody, żeby mu dziękować.

– I wielu nie ma powodów, żeby mu dziękować.

– Wielu go przeklina, co, zabójco duchów? Ile przekleństw spadło na twoją głowę? Czy to dlatego wciąż wyglądasz młodo?

– Twoje kalectwo spowodowała klątwa, czy nie?

– Nie. Nie tak było. Jedna z jego ofiar capnęła go pazurami przy samej bramie. Od tego czasu on się nie starzeje.

Zaczepekki pozostały bez odpowiedzi. Tymczasem wokół ośrodka zamieszania na sali robiło się coraz ciszej. Śpiew umilkł, ale ucichła również muzyka. Dro nie rozglądał się, tylko spokojnie czekał na nieuniknione wezwanie. Zjadł już dość, żeby się nasycić, i właśnie przełykał ostatnie krople piekącego napitku, kiedy odebrał znak.



– No, niepotrzebnie się do nas fatygowałeś, Parl Dro. Nie mamy tutaj żadnych żywomorów.

– Bardzo się mylicie – oświadczył, a oni podskoczyli na czysty dźwięk jego głosu, który odezwał się po raz pierwszy po długim milczeniu. – Pół mili stąd, przy drodze. Pochylony dom z kamienną wieżą.

Ciszę, która zapadła po tych słowach, można było krajać rzeźnickim nożem posługacza. Nie dlatego, że chcieli to ukryć przed nim, raczej dlatego, że potwierdziły się ich najgorsze podejrzenia. Oczywiście nie wiedzieli, że wcale się do nich nie wybierał, że trafił tutaj przypadkiem.

Pierwszy z mężczyzn, którzy wcześniej beczeli jak owce, powiedział bardzo cicho:

– Jemu chodzi o dom Sobana.

– To dom Ciddey – dorzucił następny. – Niewiele już tam zostało. Tylko bieda i szczypta szaleństwa.

Chłopak w skórzanym fartuchu przechylił się przez ramię Dro, żeby napęlić kubek. Dro zakrył kubek dłonią, więc chłopak w zamian poczęstował go opowieścią.

– Sobanowie byli tu panami pięć lat temu. Stary Soban i jego dwie córki. Ale stracili pieniądze i wieś odkupiła od nich ziemię.

– Stracili pieniądze, bo ojciec wszystko przepił, zanim jeszcze Ciddey wyrosły mleczone zęby.

– Potem zaczął sprzedawać wszystko, co mu wpadło w rękę – ciągnął pierwszy mężczyzna. – Same śmiecie, nic niewarte graty.

– Pamiętacie, miał taki czarodziejski przyrząd, który podobno pochodził z dalekich krajów. A to były po prostu zespane ostrza od starych kos. Soban namówił kowala, żeby mu pomógł. Namówił cieślę, murarza, wszystkich.

– Słyszałem – wtrącił inny mężczyzna – że Soban sprzedał mleczne zęby Ciddey jako czarodziejski naszyjnik.

– Wariactwo.

– Ciddey też jest stuknięta. Szkoda, bo ładna z niej dziewczyna. Zostawiamy ją w pokoju przez pamięć dawnych czasów. Mieszka sama w tym starym domu.

– Nie całkiem sama – sprostował Dro.

– Ojciec zapił się na śmierć wiele lat temu – oznajmił pierwszy mężczyzna. – O niego ci chodzi?

– Chyba nie.

– Słyszy się to i owo – podjął pierwszy mężczyzna. – Dziewczyny uprawiały magię. Zbierały zioła, może warzyły trucizny. Miały dość ojca pijaka, więc... pozbyły się go.

– To kłamstwo – wtrącił jakiś głos.

Dro zauważył, że grupa śpiewaków odeszła od kominka i zgromadziła się wokół niego. Pośród gestykującego tłumu mignął mu wytarty czerwony rękaw, potem brudny zielony rękaw, potem ciemnozłota czupryna i długi nos, należące do minstrela, który grał tę piękną muzykę.

Byli wzburzeni i zaniepokojeni. Niespodziewane wydarzenie zepsuło im spokojny wieczór. Muzykant trzymał się na uboczu. Z pochyloną głową, uważnie stroił swój dziwaczny instrument obok kominka pokazując, że nie chce się do niczego mieszać. Widocznie nie pochodził z tej wioski.

– Była jeszcze druga córka – powiedział ktoś wreszcie tuż nad uchem Dro.

– Siostra Ciddey? W tym nie ma nic dziwnego.

– Właśnie że tak. Przecież Cilny Soban uciekła z domu i utopiła się w strumieniu na północnym zboczu góry. Według mnie to nie jest normalne.

– To prawda, Dro – wtrącił chłopak. – Dwaj pasterze znaleźli ją o świcie, kiedy wypędzali krowy na pastwisko.

– Cilny leżała na dnie strumienia – opowiadał ze smutkiem pierwszy mężczyzna – ale na wiosnę woda jest tak przejrzysta, że wszystko było widać. Jeden z chłopców był trochę głupkowaty. Myślał, że ona jest rusałką. Leżała w nocnej koszuli i w wianku na głowie, a ryby pływały w jej włosach.

– Co o tym myślisz, hę, zabójco duchów?

Dro zdjął dłoń z kubka i chłopak ponownie mu nalał. Tłum stał się naraz gadatliwy i naturalnie pragnął usłyszeć jakiś komentarz od niezwykłego przybysza. Zalewali go potokiem słów, zapamiętanych plotek i strzępków informacji, i czekali, żeby zabrał głos. Ale Król Mieczy siedział zadumany i milczący, pozwalając im gadać.

Wymawiając z przesadnym naciskiem imiona obu dziewcząt opowiadali mu, jak to Siddeej i Silnii potrafiły być dla siebie czułe i kochające, a po półgodzinie skakały sobie do oczu. Raz czy dwa któraś z sióstr zainteresowała się mężczyzną z wioski, a wtedy druga siostra wpadała we wściekłość i krzyczała, że taki konkurent, a tym bardziej mąż, to hańba dla rodu Sobanów. Kiedy Cilny skończyła ze sobą tej wiosny, właściwie nikt się nie dziwił. A kiedy Ciddey zażądała, żeby zwłoki nie zostały pogrzebane, tylko spalone, i żeby przyniesiono jej popioły w kamiennej urnie, nawet kapłan nie miał nic do powiedzenia. Sobanowie zawsze byli pogańskim rodem, amoralnym i gwałtownym. Od śmierci Cilny druga siostra rzadko wychodziła z domu. Czasami widywano ją w nocy, jak wędruje po górskich zboczach opodal strumienia albo wygląda z okna na wieży. Podobnie jak jej ojciec z uporem żądała, żeby wieśniacy dostarczali jej za darmo jedzenie i inne niezbędne rzeczy, składane przy bramie domu jako należna dziesięcina. Uśmiechając się półgębkiem, trochę dumni, a

trochę zakłopotani, wieśniacy przyznali, że wypełniali jej życzenia. Nikt nie przypuszczał, że Cilny może powrócić po śmierci i straszyć w okolicy. Ale skoro już o tym mowa, nie byłiby zdziwieni, gdyby powróciła.

Dro łyknął z trzeciego kubka.

Śmierć w strumieniu mogła wyjaśnić dziwną atmosferę przy studni, pulsującą, nadnaturalną siłę związaną z wodą. Znamienna była ta urna zawierająca prochy. Nadeszła pora, żeby zaspokoić oczekiwania zebranych miłośników sensacji, a następnie oblać ich zimną wodą. Kiedy tak siedział i wyobrażał sobie uwieńczoną kwiatami rusałkę, spoczywającą pod przejrzystą powierzchnią strumienia, zauważył, że muzykant wstał jednak od kominka i zaczął przysuwać się coraz bliżej. Prześlizgiwał się przez tłum ze zręcznością wskazującą na dużą praktykę, nie zwracając niczyjej uwagi. Zaintrygowany, lecz niezdziwiony, Dro zachował milczenie.

– Co powiesz, Parlu Dro? – zagadnął go chłopak w fartuchu.

– Powiem, że w pochylonym domu jest duch – oświadczył Dro. To samo mówił na początku, ale drobny dreszcz satysfakcji rozwiął się bez śladu. Muzykant z instrumentem na plecach przesączał się przez tłum niczym smużka barwnego dymu.

– I co zamierzasz zrobić?

– Och, chyba pójdę do łóżka. To znaczy jeśli macie wolny pokój.

Zawiedziony tłum zaczął szemrać. Niewątpliwie spodziewali się że Dro natychmiast wybiegnie z gospody.

– Więc nie wezwiesz Ciddey Soban?

– Raczej nie – odparł.

Wstał, nie zwracając uwagi na rozpalone ostrze, które przeszło mu lewą nogę. Muzykant zatrzymał się trochę dalej, dokładnie wpasowany pomiędzy dwóch krzepkich robotników, zupełnie jak gdyby wyrósł z

małego ziarenka, rzuconego w tym miejscu na podłogę. Był ledwie cal czy dwa niższy od Parla Dro, ale smukły i wiotki jak trzcina.

Dro odwrócił się do chłopca w fartuchu.

– Co z moim pokojem?

– Zaprowadzę cię. A co z żywomorem Cilny?

– Właśnie, co z tym będzie?

Rozległy się gniewne pomruki. Przepychając się do schodów Dro uświadomił sobie, że tłum przy stole skupia się i napiera na niego z nową siłą. Nie chcieli go wypuścić, ponieważ rozbudził ich ciekawość. Lecz nawet w tym ścisku Dro wyraźnie poczuł, że czyjaś dłoń, lekka jak piórko, delikatnie wyciąga sakiewkę z wewnętrznej kieszeni jego płaszcza. Nie spojrział na muzykanta. W zasadzie nie potępiał profesji kieszonkowca, chociaż bynajmniej nie zamierzał puścić tego płazem.

Chłopak odprowadził Dro do schodów.

– Prosto na górę. Drzwi po lewej. Naprawdę nic nie zrobisz w sprawie Cilny? Podobno jesteś żywą legendą.

Tłum zafalował. Nikt nie patrzył na Dro, wszyscy mieli nadąsane miny jak widzowie, których oszukano. Muzykant znowu starannie stroił swój instrument, pochylony nad stołem, z miną niewiniątka. Długie, matowozłote włosy spadały mu na oczy.

Chłopak pozwolił sobie na szyderczy uśmiech patrząc, jak Dro niezręcznie wskakuje na stopnie, niczym kulawa wrona.

– Ano, zawiedliśmy się na tobie.

Dro zatrzymał się na podeście i obdarzył chłopca ciepłym, życzliwym uśmiechem, na jaki tamten wcale nie zasługiwał. Zabójca duchów znowu czekał. Chłopak, niespeszony, rzucił drwiąco:

– Cóż za rozczarowanie. Nie spodziewałem się tego po tobie.

– Nigdy nie spoglądaj w lustro – poradził mu Dro – to unikniesz gorszych rozczarowań.

Wszedł w drzwi po lewej stronie.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Na godzinę przed świtem Parl Dro stał na wąskim drewnianym mostku ponad wzburzoną rzeką. Rwący nurt, wezbrany przez topniejące górskie śniegi, uderzał o kamienne przęsła mostu i łapczywie kłapał zębami w stronę przechodniów. Ale na moście znajdowało się coś gorszego. Niegdyś był to człowiek. Teraz pozostał jedynie bezcielesny stwór o długich szponach, ukształtowany przez lata pośmiertnej aktywności, zdolny przybierać postać równie rzeczywistą i materialną jak rzeka w dole, nawet bardziej materialną niż most, którego deski częściowo przegniły. Nienawiść przykuła go do tego miejsca, nienawiść do wszystkich, którzy żyli dalej po jego śmierci.

Od wschodu księżyc trwała walka, w której orężem była siła woli. Parl Dro zajmował pozycję na jednym końcu mostu, a duch na drugim. Krok po kroku każdy z nich usiłował rozerwać niematerialne osłony przeciwnika. Krok po kroku każdy z nich usiłował dotrzeć do przeciwnika i zakończyć bitwę decydującym starciem. Dro był pewien, że psychiczny łącznik znajdował się na środku mostu, w tym samym miejscu, gdzie duch zwykle chwycił przechodniów, wgryzał się w nich długimi, pozbawionymi dziąseł zębami, wypruwał z nich wnętrzości. Przez długie godziny, odkąd wzeszedł księżyc, Parl Dro próbował dostać się do tego miejsca, a jednocześnie nie dopuścić tam ducha. Duch ryczał z bólu i wściekle walczył o uzyskanie przewagi. Człowiek, skąpany w pocie i posiniaczony jak od fizycznych ciosów, chociaż była to tylko psychosomatyczna reakcja, wytrwale parł do przodu. Przypominało to wspinaczkę po pionowej ścianie

w ataku gorączki. Teraz zaledwie trzy cale dzieliły Dro od wystającej deski, gdzie przypuszczalnie tkwił łącznik.

Dro zebrał resztkę sił, żeby oderwać deskę i dotrzeć do łącznika, a wówczas wyczerpanie i strach zaatakowały go na nowo. Fala kołyszących mdłości przeniknęła duszę i ciało. Poczuł jednak, że jego dłoń mocno uchwyciła deskę, jak gdyby magiczna moc pokierowała mięśniami ramienia. Oderwał deskę, wsadził palce w miękkie próchno i namacał tkwiącą tam pojedynczą kość. Kość należała do ducha, kiedy jeszcze był człowiekiem. Człowiek zginął gwałtowną śmiercią na moście, a kość pozostała. Poprzez materialny kształt tej kości duch, wzbraniający się przed odejściem, podtrzymywał swoją ohydną więź z życiem. Z tej przyczyny zginęła już setka ludzi. Duch radował się, kiedy umierali wrzeszcząc z przerażenia. Gdyby mógł, wymordowałby resztę świata. Teraz był tak bliski unicestwienia albo przynajmniej metamorfozy, jak blisko siebie były dłonie Parla Dro. Ponieważ jedna dłoń trzymała kość, a druga niewielkie, lecz groźne cęgi, które skruszą tę kość na tysiąc bezimiennych kawałków.

Ale w tym okamgnieniu, kiedy wszystkie świadome siły Dro skupiły się na obronie łącznika, żywomór znalazł dojsście.

Dro podnosił już kość ku szczękom cęgów, kiedy duch go dopadł. Ucieleśniony dzięki długoletniej pseudoegzystencji, miał dość energii, żeby powalić człowieka na ziemię.

Dro usłyszał odległy trzask pękającego drewna i w tej samej chwili głowę wypełnił mu grzmot. Rzeka plunęła mu pianą w oczy. Mętnie uświadomił sobie, że padając przebił spróchniałe deski mostu. Teraz wisiał do góry nogami, a popękane deski jakimś cudem przytrzymały go za łydki i kolana. Kołysał się nad kipielą, uderzając całym ciałem o kamienny słup. Mniej więcej co czwarta fala zalewała mu oczy, oślepiała go i zmuszała do



połykania wody. Mimo wszystko nie zgubił kości, bo wciąż czuł ją w dłoni, ale cęgi zniknęły; wypuścił je podczas upadku.

Upłynęła minuta, która zdawała mu się rokiem, zanim uświadomił sobie kruchość kości i twardość kamiennego słupa, o który obijało się jego ciało. Krztusił się i kaszlał, miał wrażenie, że woda wdziera mu się do głowy głuszając łomotanie krwi. Kołysał się bezwładnie jak wahadło zegara, obolały i półprzytomny z braku powietrza, ale wciąż pamiętał o swoim zadaniu. Zaczął tłuc kruchą kością o powierzchnię słupa.

Co najzabawniejsze, w oszołomieniu zupełnie zapomniał o swoim przeciwniku. Kiedy nowe ostrze bólu przeszło mu lewą nogę, pomyślał idiotycznie, że pewnie się złamała.

Martwy, który żył, niczym odwrócone lustrzane odbicie atakował zwykle od lewej strony, dlatego łatwo mógł dosięgnąć serca ofiary. Dro zrozumiał nagle, że duch wbił zęby i pazury w jego lewą łydkę, gryząc, szarpiąc i rozdzierając ciało.

Ból stał się nie do zniesienia, kiedy Dro uświadomił sobie jego prawdziwą przyczynę. Zaczął wydawać ochryple, przeciągłe jęki, niczym konające zwierzę. Duch dalej pastwił się nad jego nogą, a on, wrzeszcząc w bezrozumnym szale, walił kością o kamienny słup, aż kość i ręka, w której ją trzymał, pokryły się krwią.

Kość pękła nagle, ale ból w nodze nie ustąpił. Dro miał wrażenie, że upiorny przeciwnik wciąż szarpie go zębami, chociaż już dawno został unicestwiony. I wciąż tak myślał, nawet kiedy ludzie znieśli go z mostu i biały blask słońca palił mu oczy.

To uczucie często powracało w snach, jak teraz, każąc mu przeżywać wszystko od początku z męczącą dokładnością.

Dawniej całymi godzinami walczył z tym koszmarem, zanim przebudził się drżący i spocony. Teraz szybko powracał do równowagi. Minuta: mniej.

Jedyną nietypową reakcją był impuls, żeby sięgnąć w dół i dotknąć nogi, sprawdzić, czy jest na miejscu. Ale to szybko mijało. Powracała zażyłość. Powracała pogarda. W każdym razie przez szczelinę okna widać było bladobłękitne jezioro rozpostarte nieruchomo pośrodku wioski, pomiędzy dachami domów, które nie było jeziorem, lecz zapowiedzią poranku.

Prócz niego wszyscy jeszcze spali. Skorzystał z tego, co gospoda miała do zaoferowania, czyli zaczerpnął mdłej, smakującej żelazem wody z beczki na dole i wziął następny kawałek przypalonego chleba. Na materacu, gdzie demon dręczył go we śnie, zostawił garść pieniędzy, wystarczającą aż nadto na pokrycie rachunku. Zgodnie z przewidywaniami zostało mu sporo gotówki. Sakiewka, którą z taką maestrią zwędził minstrel-złodziej, zawierała jedynie gładkie kamyki. Niejeden już kieszonkowiec dostał bolesną nauczkę, kiedy się przekonał, co za zdobycz wyciągnął z czarnego, złowieszczego płaszcza Parla Dro.

Na dworze chmara ptaków ćwierkała i poświstywała witając wschód słońca. Jezioro podniosło się wyżej i zatopiło dachy. W jego głębi rozkwitała różowość.

Dro ruszył główną ulicą w stronę stalowoniebieskiej drogi. Tam gdzie alejka prowadziła na dziedziniec z publiczną studnią, kilka kobiet plotkowało ściszonymi głosami, postawiwszy wiadra. Chciał, żeby go zobaczyły, toteż zobaczyły go i niepotrzebnie pokazywały go sobie palcami. Młoda dziewczyna o białej skórze zagapiła się na niego, a potem zaczerwieniła się i odwróciła wzrok.

Dro był zadowolony. Zauważono jego odejście, a tylko o to mu chodziło.

Białoskóra dziewczyna śledziła go z bezpiecznej odległości i widziała, jak ruszył drogą na wschód, oddalając się od wioski oraz – co ważniejsze – od domu z wieżą.

Wkrótce droga zaczęła wspinać się na niskie wzgórza. Poniżej rozpościerała się mapa długich, łagodnie sfalowanych pól, początkowo okrytych pastelową szarością, później rozbłyskujących jaskrawą zielenią w miarę, jak słońce podnosiło się wyżej na niebie, wreszcie rozpływających się na horyzoncie w błękitnej mgiełce. To była droga, która przywiodła go tutaj i poprowadzi dalej. Ale jeszcze nie teraz. Nie tak szybko.

Usiadł na zboczu, gdzie kolumnada drzew zstępowała majestatycznie niczym dworski orszak ku wiosce leżącej w górskiej dolinie. Drzewa dawały cień, odpoczynek dla oczu i łagodnie szeleściły liśćmi. W dole widział wioskę, maleńką, lecz bardzo wyraźną. Widział również wstążkę drogi, omijającą stary dom i prowadzącą na górę, która w dzień wyglądała jak gładki marmurowy stożek.

Dro patrzył, jak wioska o poranku budzi się do życia. Miniaturowe figurki zaroily się na ulicach, maleńkie jak zabawki zwierzęta wypędzono na pastwisko. Kiedy ciepły wiatr powiał od wioski, Dro słyszał muczenie krów, beczenie owiec przypominające kocie miaukoty, szczekanie psów, dźwięk kowalskich młotów, skrzypienie kół wozu.

Wczesnym popołudniem grupka mężczyzn i kobiet wyruszyła z wioski i zatrzymała się przed domem z wieżą. Stali tam przez parę minut. Od czasu do czasu wiatr przynosił do uszu Parla Dro odległe wrzaski i odgłos kamieni twardo uderzających o drewno.

Nie pochwalał tego zbyt, ale też nie był zmartwiony. Podobnie piękność Ciddey, nienatrętna i zdradliwa, zainteresowała go, lecz nie poruszyła.

Wreszcie oddział łowców czarownic powrócił do wioski. Wówczas Dro po raz pierwszy zauważył w tłumie pstrokate paraferalia muzykanta-złodzieja. Kiedy grupa dotarła do skrzyżowania drogi z wiejskim gościńcem, muzykant odstał na bok. Kilku wieśniaków wszczęło z nim

sprzeczkę, która jednak nie wyglądała groźnie. Potem minstrel skręcił na pole po drugiej stronie drogi. Ruszył na południe pośród łąnów młodej pszenicy i wkrótce Dro stracił go z oczu.

Popołudnie mijało powoli. Krajobraz w zmiennym świetle nabierał nowych barw.

Dro siedział oparty plecami o drzewo, odprężony, lecz czujny, obserwując wioskę spod przymkniętych powiek. Płaszcz leżał obok na ziemi. Buty, spodnie i koszula Dro były również czarne, czarne jak jego oczy, ale włosy w słońcu przybrały łagodniejszy odcień. Wyglądał obco, egzotycznie i niebezpiecznie. Tylko głupiec mógłby podkraść się do niego od tyłu. A jednak człowiek wspinający się ukradkiem po południowym stoku wcale nie był takim głupcem.

Spłowiata zieleń zlewała się z otoczeniem, ale krzykliwa czerwień odcinała się od trawy. Jeśli nawet muzykant chciał kogoś zaskoczyć, widocznie pogodził się ze swoją nieudolnością. Wyrósł nagle po lewej stronie Dro i spojrział na niego z głębokim wyrzutem.

– Pewnie spodziewałeś się mnie – oświadczył.

Dro podniósł na niego wzrok, niewyrażający ani zachęty, ani potępienia.

– Przynajmniej mógłbyś udawać, że jesteś zaskoczony – poskarżył się muzykant. – Nic byś na tym nie stracił.

– Ale ty mógłbyś stracić życie – odparł Dro.

Muzykant wrzucił ramionami i podjął uciążliwą wspinaczkę. Wreszcie stanął przed Dro, wyjął sakiewkę z kamieniami, którą ukradł poprzedniego wieczoru, i dramatycznym gestem rzucił ją Dro pod nogi.

– To był paskudny kawał – oświadczył.

– Kradzież też nie jest przyjemna.

– Dla ciebie to drobiazg. Jesteś sławny. Nigdy nie okradam ludzi, których nie stać na stratę paru groszy. Przecież musiałem zapłacić za kolację.

Myślisz, że dali mi na kredyt? Chcieli, żebym grał i płacił.

Parl Dro siedział wpatrując się w dolinę.

Muzykant zdjął z pleców instrument, który nosił zawieszony na wystrzępionym haftowanym pasie, położył go na trawie i usiadł obok Dro.

– W końcu – powiedział – zacząłem zalecać się do jednej dziewczyny, żeby zdobyć łóżko na noc. Ale byłem wykończony, więc to nie był najlepszy pomysł. No, lepiej przestanę narzekać, bo widzę, że za chwilę się rozpłaczesz.

Dro dalej spoglądał w dolinę.

Muzykant położył się na plecach i patrzył na liście drzew, rozkołysane plamki czystej zieleni na tle czystego błękitu. Jego twarz, z długim nosem i strzechą ciemnozłotych włosów, była melancholijna i głęboko strapiona. Czasem wydawała się pospolita, czasem wyjątkowo przystojna, czasem po prostu ponura, zależnie od kąta widzenia.

– Pewnie chcesz wiedzieć, dlaczego za tobą poszedłem – odezwał się w końcu muzykant.

– Niespecjalnie.

– No dobrze. Chcesz wiedzieć, dlaczego nie mam dość rozumu, żeby się wynieść. – Milczenie przedłużało się. – No dobrze – westchnął minstrel – powiem ci. Po prostu idziemy w tę samą stronę.

– To znaczy dokąd?

– Och, daj spokój. Tam, dokąd prędzej czy później zaprowadzi cię twoje powołanie. Nawet jeśli to tylko legenda, mam w tym swój interes. Chcę ułożyć o tym piosenkę. Mówię o Ghyste Mortua.

– O jakimś twoim znajomym – mruknął Dro.

– O miejscu, które obaj znamy. Jeśli w ogóle istnieje takie miejsce. Już od paru dni włóczę się po okolicy i próbuję to wywęszyć. Albo znaleźć kogoś, kto zna drogę. Założę się, że ty znasz.

– Czyżby?

– Widzisz, jeśli chcę zrobić karierę jako muzyk, potrzebuję piosenki, która rozsławi moje imię. Jednej unikalnej, cudownej pieśni, której żaden plagiator nie będzie mógł sobie przywłaszczyć. Wpadłem na ten pomysł pewnej nocy, kiedy miałem strasznego pecha, wylądowałem na samym dnie. I wtedy zrozumiałem, że moja piosenka czeka w Ghyste Mortua. Oczywiście nie należę do tych odważnych głupców, co gotowi są nadstawić karku za parę groszy. Myal Lemyal, czyli ja, to człowiek ostrożny. Wiem, że nie poradzę sobie bez przewodnika. A ty może czasami będziesz chciał posłuchać muzyki.

– A może nie będę chciał – cicho powiedział Dro.

– A może nie będziesz chciał. Między nami mówiąc zdaje się, że ta dziewczyna ze starego domu ma przez ciebie poważne kłopoty. Poszedłem tam z nimi. Wrzeszczeli, że ty odszedłeś, ale oni zostali, i rzucali kamieniami w drzwi. Nie jesteś wcale takim bohaterem, no nie?

Dro uśmiechnął się.

– W porównaniu z tobą?

– Och, dobrze, skoro się obrażasz.

Myal Lemyal wstał leniwie i sięgnął po instrument leżący na trawie. Był to toból o cudacznym kształcie, którego główną część stanowiło drewniane pudło rezonansowe, pomalowane w groteskowe barwy i inkrustowane kawałeczkami kości słoniowej. Z pudła sterczały dwa gryfy, każdy z pięcioma cienkimi strunami z drutu, krzyżującymi się w połowie długości. Przez końce gryfów przechodziła poprzeczka ze zmatowiałymi srebrnymi kołkami, na które nawinięto struny w wyraźnie przypadkowym porządku. Prócz tego z poprzeczki wystawała drewniana piszczałka, zakończona ustnikiem z kości słoniowej, której drugi koniec tkwił w pudle. Rejestr piszczałki przebiegał równoległe do osi instrumentu w taki sposób, że

zręczne palce, jak to wkrótce zademonstrował Myal Lemyal, mogły jednocześnie dosięgnąć do strun i do otworków. Gra na tym wydawała się niemożliwa, zwłaszcza kiedy Myal, opierając instrument na ramieniu w niepewnej równowadze i przebierając dziesięcioma palcami po strunach we wszystkich kierunkach, przytknął wargi do ustnika z kości słoniowej. Włosy natychmiast opadły mu na oczy, oczy zaczęły zezować. Wyglądał śmiesznie i nedorzecznie. A tymczasem z piekielnego instrumentu popłynęły niebiańskie dźwięki, melodyjne tony harf i lutni, fletów i fujarek, mandoliny, liry i trąbki, połączone w nieziemską harmonię, kontrapunkt i rytm.

Wreszcie Myal przestał grać, zsunął pas z ramienia, znowu położył instrument na trawie i zmierzył go melancholijnym spojrzeniem. Wzgórze jeszcze przez długą chwilę zdawało się rozbrzmiewać muzyką.

– Jak sam powiedziałeś – odezwał się Myal – może nie przepadasz za muzyką.

– Byłem tylko ciekawy – powiedział Dro – dlaczego taki geniusz musi włóczyć się po świecie i utrzymywać się z kradzieży.

– Geniusz? – uśmiechnął się Myal. Z tym anielskim uśmiechem wyglądał bardzo szlachetnie, nawet pięknie, ale złudzenie szybko prysło. – No, sam wiesz, jak to bywa.

– Czy instrument też ukradłeś?

– Instrument? Och, nie. Mój ojciec go ukradł. Zabił człowieka, żeby go zdobyć. Ten człowiek widocznie rzucił na niego klątwę. I na mnie też, jak widać. Ojciec łął mi skórę za każdym razem, kiedy się upił, czyli dość często. Kiedy był trzeźwy, uczył mnie grać na tym instrumencie. Nienawidzę swojego ojca. Nienawidzę siebie.

Zapadł w ponurą zadumę, podczas gdy czarnowłosa mężczyzna, wyglądający jak urodziwe wcielenie śmierci, wciąż patrzył na dolinę, drogę

i górę. Wkrótce Myal znowu wyciągnął się w trawie.

– Co zrobisz z tą dziewczyną, z tą Ciddey Soban?

– A jak myślisz?

– Wracaj i dokończ dzieła. Wyrzuć jej zmarłą siostrę z tego świata na tamten. Dopiero dzięki tobie będą naprawdę samotne i nieszczęśliwe.

Coś ukłuło go w piętę. Lękając się węży Myal odskoczył trzy stopy do tyłu, wylądował na trawie i zobaczył flaszkę, którą podawał mu Dro. Nieufnie wziął flaszkę, odkorkował ją i pociągnął nosem. Ponure rysy jego twarzy wykrzywiły się w grymasie uznania, niepodobnym do poprzedniego uśmiechu.

– Biała brandy. Nie piłem tego, odkąd byłem na ziemiach Zimnego Barona.

Skosztował trunku, po czym łyknął więcej. Dro nie protestował. Rozmawiali jeszcze przez chwilę, ale wymowa Myala stawała się coraz bardziej bełkotliwa. Pszczoły brzęczały nad kępkami koniczyny. Wielkie, ciemne jak winogrona chmury, otoczone złocistym rąbkiem, gromadziły się nad górami.

– D–dlaczego to robisz? – zapytał Myal. – Dlaczego wyganiaasz ich z tego świata, kiedy nie chcą odejść?

– Dlaczego lekarz wyrywa zepsuty ząb?

– To... nie tto samo. Wcale nie. Słyszałem o tobie, o takich jak ty. Biedne duszyczki krzyczą i płaczą, żeby ich nie wy... nie wypędzić.

– To konieczne. Martwe nie może udawać żywego.

– I dla... tego chcesz... znaleźć Ghyzemortwa...

O zmierzchu Myal Lemyal leżał nieprzytomny wśród koniczyny, opity białą brandy. Ale nawet przez sen mocno obejmował dłonią gryf groteskowego instrumentu, wplótłszy palce pomiędzy struny.

Po Parlu Dro nie zostało ani śladu.



Kiedy Myal ocknął się i ujrzał gwiazdy rozsypane po niebie jak złote monety, zrozumiał, że popełnił następny błąd.

Na wzgórzach powietrze było czyste i pachnące. Wiał lekki wietrzyk, który chłodził rozpaloną twarz Myala, ale nie przynosił ulgi. Parl Dro, urodziwy wysłannik śmierci, Król Mieczy i zabójca duchów, zniknął. Oczywiście Myal musiał zmarnować również tę okazję, jakżeby inaczej. Pomyślał, że największy błąd zrobił przychodząc na świat. Od tamtej pory spotykały go same niepowodzenia.

Najgorsze, że wciąż był pijany. Pomimo bólu głowy i nieuniknionych mdłości wciąż miał ochotę tarzać się po trawie, rycząc obłąkańczym śmiechem. Zirytowała go własna głupota. Zrzucił instrument na ramię i chwiejnie zaczął schodzić ze wzgórza, na przemian chichocząc i przeklinając sam siebie.

Ominął wioskę i potykając się ruszył przez pola w stronę ledwo widocznej góry. Dopiero kiedy wrócił na drogę, zaświtał mu pewien pomysł. Chociaż Dro go zostawił, z pewnością nie zostawi pochylonego domu i dwóch sióstr, jednej żywej, drugiej martwej. Prędzej czy później Dro ponownie odwiedzi ten dom. Myal musi tylko zaczekać w pobliżu, żeby odświeżyć ich znajomość. Może trzeba było obrać inną taktykę. „Nigdy nie miałem starszego brata. Nigdy nie miałem żadnego przykładu, żadnego wzoru do naśladowania”. Usłyszał własny głos i skrzywił się. Nie bardzo wiedział, co należy zrobić, żeby nabrać kogoś takiego jak Dro.

Dom stał przy drodze, jak zwykle pochylony i milczący. W cieniu wysokich drzew wyglądał naprawdę upiornie. Księżyc jeszcze nie wzeszedł, świeciły tylko gwiazdy.

Myal zadygotał, przejęty strachem i jednocześnie wzruszony tą romantyczną sytuacją. Przed pięcioma dniami widział Ciddey, żyjącą siostrę, kiedy wieczorem wchodził do wioski, wyczerpany wędrówką przez

góry. Ciddey była prawdziwą damą, przypominała mu kobiety Zimnego Barona albo Siwego Księcia, albo szlachetnie urodzone panny na niezliczonych dworach, przy których kręcił się jak ćma zwabiona blaskiem, opalając sobie skrzydełka. Ciddey również wyglądała jak ćma. Błada, krucha, delikatna. A także straszna, niebezpieczna... krąży w mroku, z nieludzko świecącymi oczami...

Myal poczuł przypływ paniki, jak dziecko zabłąkane w ciemnościach.

Popatrzył na dom stojący pośród drzew i w dzieciennym odruchu skulił się bojaźliwie. Naturalnie zaraz nadejdzie Parl Dro i zobaczy go w takim stanie. Ale na razie nie widać było ani śladu Parla Dro i jego groźnych egzorcyzmów.

Nagle Myal wpadł na szaleńczy pomysł. Nierzadko nawiedzały go podobne impulsy, z reguły niedorzeczne i opłakane w skutkach. To zjawisko zaczęło się już w dzieciństwie. Perwersyjne rozkazy, które wysyłał jego mózg – upuścić tacę wyładowaną cennym szkłem, przeskoczyć zbyt szeroką lukę pomiędzy rozpędzonymi wozami, napluć w twarz rządcy majątku – takie przekorne chętki, które dorosły człowiek potrafi na ogół opanować, dla Myala zawsze stanowiły nieodpartą pokusę. Przyczyną nie była lekkomyślna odwaga, ponieważ Myal nie był odważny, lecz po prostu te same reakcje chemiczne, które tak nierozważnie powołały go do istnienia.

Obecny impuls zaprowadził Myala przez drogę do żelaznej bramy i na dziedziniec barwy umbry. Lekko drżąc, Myal usiadł na kamiennej cembrowinie studni, zdjął instrument z pleców i zaczął śpiewać dla Ciddey (a może dla Cilny?) miłosną serenadę. Miał przyjemny głos, niezbyt silny tenor, który jednak w ciszy rozbrzmiewał bardzo głośno. Struny wibrowały pod jego palcami, dźwięki melodii uderzały o ściany niczym deszcz.

Kiedy okiennica nad jego głową rozwarła się z trzaskiem, Myal praktycznie przestał oddychać.

Zerknął w górę, nie przerywając pieśni. Błady snop światła padł na bluszcz, niczym pojedyncze skrzydełko ćmy.

Dziewczyna wychyliła się z oświetlonego okna. Była żywa... prawdopodobnie. Jej włosy, splecione w warkocze, lśniły jak blask księżyca.

Myal zakrztusił się i przestał śpiewać. Był na wpół zakochany w tej dziewczynie i zeszywniały ze strachu.

– O co chodzi? – zapytała dziewczyna. Popatrzyła na instrument. Drobne, wąskie dłonie, niczym łapki lisa, uchwyciły parapet. – Czego chcesz?

– Chcę... – Myal przełknął ślinę i kompletnie stracił głowę – chcę cię ostrzec.

– Nie fatyguj się. Znam wieśniaków. Nic mi nie zrobią. Ciągłe szanują ród Sobanów.

– Nie o tym mówię. Chodzi o mężczyznę zwanego Dro.

Usłyszał, jak gwałtownie wciągnęła oddech. Była śliczna. Pożałował, że nie może znaleźć się tysiąc mil stąd.

– On udał, że odchodzi, ale wróci... albo już wrócił. Chce dojść do Ghyste Mortua... tak myślę. Ale postanowił najpierw rozprawić się z tobą. Z tobą... i z twoją siostrą.

– Wynoś się! – krzyknęła dziewczyna w oknie.

Myal podskoczył, ale słysząc w jej głosie gniew i groźbę poczuł pod nogami znajomy grunt.

– Chciałem tylko pomóc. Przepraszam.

– Czekał – powiedziała dziewczyna. Nagle stała się wzruszająco bezbronna. – Co o nim wiesz?

– Tylko to, że on wróci. Jeśli pytasz mnie o radę, jeśli mnie posłuchasz, radzę ci uciekać.

– Dokąd mam pójść?

– Może... ze mną.

Popatrzył na nią, wzruszony własnym romantycznym gestem. Jednocześnie pożałował, że nie trzymał języka za zębami. Ku jego uldze i upokorzeniu dziewczyna roześmiała się.

– Z tobą? A kimże ty jesteś? I co będzie z moją zmarłą siostrą? Dokąd ona ma pójść? Również z tobą?

– Może – odparł z drżeniem Myal. – Parl Dro się pomylił. Może ja nie wierzę w duchy.

Ostry krzyk przeciął nocną ciszę.

Dochodził ze szczytu wieży, od północnej strony budynku.

Myal i Ciddey zamarli na chwilę. Dziewczyna pierwsza otrząsnęła się z bezruchu. Nie zamykając okiennicy odwróciła się i znikła w głębi domu.

Myal został na podwórzu. Ze ściśniętym gardłem wpatrywał się w róg wieży widoczny z tego miejsca.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Drzewa od północnej strony rosły tak blisko domu, jak gdyby ktoś zasadził je umyślnie, żeby ułatwić dostęp do wieży. Zwłaszcza jedno sięgało gałęziami niemal do parapetu okna na pierwszym piętrze. Oczywiście nikt nie przypuszczał, że kulawy człowiek potrafi wspinać się po drzewach.

Parl Dro dotarł do okna i przekonał się, że było zaryglowane od środka. Przeniósł ciężar ciała na zdrową nogę, ponieważ kalekiej nogi rzeczywiście nie należało zmuszać do wspinaczki po drzewach, po czym wyciągnął wąski nóż i wsunął ostrze w szczelinę między okienne ramy. Po paru sekundach ostrze uniosło haczyk i dwie mętne szyby rozchyliły się do środka. Pokój za nimi był pusty, tylko kilka wynędzniałych roślin umierało na podłodze w popękanych doniczkach z wyschniętą ziemią. wszedł do pokoju i równie szybko go opuścił. Rośliny w doniczkach – prawdopodobnie czarnoksiężskie zioła – nie interesowały go, podobnie jak przestały już interesować czarownicę, sądząc po ich stanie. Dro wysunął się przez drzwi i wszedł na strome schody. Schody prowadziły na górę, do pokoju na szczycie wieży, z grubymi drewnianymi drzwiami, wzmocnionymi płytami z zardzewiałego żelaza i zardzewiałym żelaznym zamkiem.

Dziewczyna była w domu, ponieważ wkrótce po zachodzie słońca widział, jak przechodziła z lampą od okna do okna, zamykając każde na haczyk. Potem światło zatrzymało się w pokoju na piętrze i przeświecało cienką linią pomiędzy drewnianymi okiennicami. To mógł być podstęp, ale Dro nie podejrzewał dziewczyny o taką przebiegłość, żeby zostawić lampę

w widocznym miejscu i przekraść się w całkowitych ciemnościach do innego pokoju. Poza tym myślała przecież, że odszedł.

Zaczął wspinać się po schodach i w tej samej chwili usłyszał niepowtarzalny, chwytający za serce dźwięk drucianych strun instrumentu Myala Lemyala.

Dro przystanął, zaciekawiony i dość zadowolony. Nawet dobrze się składało. Myal odgrywający trubadura po drugiej stronie domu odwróci uwagę Ciddey Soban. Co prawda zamiary Myala były zdecydowanie niejasne, może nawet dla niego samego. Łatwo przyszło wyprowadzić muzykanta w pole, a przecież jednocześnie Myal wykazał się talentem i sprytem – chociaż własne zdolności wyraźnie go nudziły, wręcz zapominał o nich. Nie każdy człowiek potrafiłby tego dnia wyśledzić kryjówkę Parla Dro na wzgórzu i nie każdy człowiek miał ambicje związane z Ghyste Mortua. No i nie każdy minstrel potrafił tak grać.

Główny temat był banalny, lecz przyjemny. Dro słuchał melodii jednym uchem, wspinając się na schody. Dotarłszy do drzwi odkręcił żelazny zamek czubkiem noża.

Kiedy wszedł do pokoju, zapomniał o muzyce.

Panowała tu intensywna, namacalna aura ożywionej śmierci. Przenikająca wszystko, niczym zimny odór zatechłych perfum. Promieniująca z niewidzialnego ośrodka aktywności, który usiłował przywłaszczyć sobie energię życia. Nic dziwnego, że Ciddey Soban była blada i szczupła. Wcześniejsze doświadczenia nauczyły Dro, że nawet kiedy zmarli powracali z miłości, zawsze wysysali siły vitalne z żywych, którzy ich przygarnęli. Nie mogli powstrzymać się od tego, podobnie jak ogień nie może się powstrzymać, żeby nie pochłonąć szczapy drewna rzuconej na palenisko. Po prostu tak już jest. Po prostu trzeba z tym skończyć.

Czasami Parl Dro otrzymywał duże sumy pieniędzy za swoją pracę. Czasami zakradał się jak złodziej, a w podzięce za wykonaną usługę ostre kamienie raniły mu plecy.

Fizyczny wygląd pokoju był równie niesamowity i przygnębiający.

Była to sypialnia czy raczej niegdyś służyła za sypialnię. Proste, dziewiczo wąskie łóżko z baldachimem i białymi, fałdzistymi zasłonami. Rzeźbiona skrzynia, w której niewątpliwie spoczywały suknie Cilny Soban, starannie poskładane, obłożone woreczkami ziół. Na skrzyni stało antyczne lustro z polerowanego srebra i leżały dwie czy trzy stare książki. Po wewnętrznej stronie drzwi wisiało na nitce kilka amuletów, niektóre wyglądały jak mleczone zęby. Na krzeselku z kości siedziała drewniana lalka, z kończynami zręcznie przymocowanymi do tułowia, ubrana na biało, w wyblakłą, widmową biel, jak wszystko dookoła. Lalka miała długie, proste włosy z jasnej wełny. Na ścianach wisiały gobeliny, na podłodze leżał dywan, na stole stał dzbanek i miska. Obok leżało kilka małych grzebyków wykładanych imitacją masy perłowej. Otwarta szkatułka z kości słoniowej zawierała skromne paciorki i bransoletki.

Był to bardzo smutny i bardzo straszny pokój. Idealna pożywka dla ducha, który zapuścił tutaj korzenie i przybrał fałszywy pozór ziemskiej egzystencji.

W najciemniejszym kącie, gdzie nie sięgał dywan, coś stało na podłodze. Był to wysmukły, wysoki na dwie stopy kamienny dzban.

Dro spojrział na dzban i w tej samej chwili poczuł jej obecność przesączającą się do pokoju. Nie było jej, kiedy tu wszedł. Cilny umarła na wiosnę, niezbyt dawno temu. Może pojawiała się tylko w czyjejś obecności. Ale podejrzewał również, że Ciddey kazała jej się ukryć. Nawet teraz zbliżała się niechętnie, wyczuwając wroga. Mogła karmić się miłością, tęsknotą, nawet strachem. Dro nie dawał jej nic. Teraz jednak, patrząc na

kamienną urnę, która zawierała jej popioły, zaczął wywierać na nią wpływ. Zaczął przyciągać ją do pokoju wbrew jej woli.

Zanim zarejestrował wzrokiem jej obecność, poczuł to na karku i w korzonkach włosów. Ale już po chwili zobaczył ją całkiem wyraźnie.

Była krucha i jasnowłosa, prawie przezroczysta. Nie, nie była zbyt groźnym upiorem. Oczywiście nosiła to samo ubranie co w godzinie śmierci – długą, powiewną koszulę nocną opisaną przez wieśniaków, chociaż z jakiegoś powodu brakowało wianka. Potem, w sposób charakterystyczny dla duchów, nieoczekiwanie wzbudziła w nim dotkliwe uczucie litości – zasłoniwszy się wstydliwie rękami. Był to gest młodziutkiej dziewczyny, która nigdy nie spała z mężczyzną, a teraz znalazła się sam na sam z obcym człowiekiem, ubrana tylko w nocną koszulę. Nie udawała, tego Dro był pewien.

– Nie bój się, Cilny – powiedział łagodnie. – Czy wiesz, kim jestem?

Jej głos był zaledwie szmerem, jak szelest suchych liści lub cienkiej bibułki.

– Ciddey opowiadała mi o mężczyźnie, kulawym mężczyźnie ubranym w czerń.

– Co ci mówiła?

– Że chcesz mnie zabić.

– Cilny, jak mogę cię zabić? – zapytał spokojnie. – Przecież ty nie żyjesz.

– Nie! – wykrzyknęła swoim szeleszczącym głosem, wzmocnionym przez panikę. – Nie... nie... – Popatrzyła na niego. – Ciddey zbudziła mnie. Spałam, a ona mnie zbudziła.

– Nie powinna była cię budzić. Powinnaś obudzić się w swoim czasie i odejść swoją drogą, do miejsca, gdzie musisz pójść.

– Nie. Zostanę tutaj. Chcę być z moją siostrą. Chcę być z Ciddey.



Nie chciał traktować jej brutalnie. Niekiedy można było pomóc, pocieszyć, ułatwić drogę. Przejście na tamtą stronę mogło dokonać się w spokoju, czasem nawet z ulgą i wdzięcznością. Tym razem jednak duch będzie błagał i szlochał. Dro był zahartowany na cierpienie, ale jej cierpienia nie należało przedłużać.

Zrobił krok w stronę urny z prochami, a wtedy dziewczyna krzyknęła.

Krzyk nabrał ogłuszającej mocy. Wypełnił pokój, wypełnił uszy Dro, przebił kamienne ściany. Dro wiedział, że Ciddey usłyszała ten krzyk.

Skoczył w stronę urny. Żeby jej dosięgnąć, musiał przejść tuż obok zjawy, częściowo przez nią. Przeniknęło go obezwładniające zimno. Nie zwrócił na to uwagi. Przyklęknął, zerwał pokrywę z urny i cisnął ją w kąt. W tej samej chwili zjawa rzuciła się na niego niczym biały obłok, błądliwy owad, rozpaczliwie trzepoczący opalizującymi skrzydełkami. Pierwotny lęk chwycił go za gardło. Nozdrza wypełnił mu odór rozkładu, fosforyzujące robaki pełzały mu po twarzy. Chciał – musiał – uciekać, wyrwać się tej niematerialnej zjawie, wrzasnąć, wybiec z pokoju... dobrze znane odczucia, które nauczył się kontrolować.

W całym tym zamieszaniu usłyszał, że na dole drzwi wieży otwarły się gwałtownie.

Popioły Cilny stanowiły jej łącznik ze śmiertelnym życiem.

Łącznik zawsze trzeba było zniszczyć albo przynajmniej zmienić. Metody były rozmaite, podobnie jak same łączniki. Kość należało strzaskać, żeby powietrze połączyło się z odłamkami. Szalik czy rękawiczkę należało spalić, żeby ogień połączył się z materią. Kluczem była przemiana.

Popioły spoczywały głęboko w kamiennej urnie. Dro widział je nawet poprzez zawieruchę bieli i czerni. Odczepił od pasa flaszkę białej brandy i

wyciągnął korek. Na szczęście nie trzeba było dużo, żeby upić Myala Lemyala. Zostało jeszcze dość na złożenie libacji.

Dro ostrożnie, pewną ręką wylał płyn, który pokrył całe dno naczynia. Uniósł się obłoczek dymu, jak od kwasu.

Nagle trzepocząca zjawą znikła i zapanował spokój. Cisza zastąpiła zgiełk.

Dro wstał powoli, rozejrzał się i zobaczył twarz Cilny wpatrującą się w niego ogromnymi, zrozpaczonymi oczami, ale to była tylko lalka na krzeselku. Cilny odeszła.

Nie krzyknęła po raz drugi. Może nie miała już siły. A może w ostatniej chwili spojrzała przez bramę i zobaczyła, że czekająca na nią kraina jest obca, nieznaną, ale bynajmniej niestraszna, niebudząca lęku.

Przez sekundę Parl Dro czuł się słaby i wycieńczony jak po ciężkiej chorobie. W takich chwilach, kiedy wysiłek woli wyczerpywał go jak utrata krwi, Dro skłonny był uwierzyć w przesąd, że za każdego ducha przywróconego śmierci zabójca duchów płaci jednym dniem swojego życia.

Oparł się plecami o ścianę i patrzył na drzwi czekając, aż otworzą się z rozmachem. Co wkrótce nastąpiło.

Dwie siostry były bardzo do siebie podobne, ale Ciddey miała w rysach twarzy jakąś zdradliwość, której brakowało Cilny. Może dlatego, że kręactwa Ciddey łatwiej było przejrzeć?

Wpadła do pokoju jak biała furia. Nie pytała, po co przyszedł i co tu robi. Wiedziała, oczywiście. Ona również wyczuła pustkę tam, gdzie przedtem wisiał w powietrzu ciężki, wilgotny zapach śmierci.

– Przepraszam – powiedział Dro. Powiedział tak tylko przez uprzejmość, a właściwie przez przekorę. Ponieważ nie była to pora na uprzejmości.

Dziewczyna zareagowała w szokujący, lecz łatwy do przewidzenia sposób. Rzuciła się na niego z miejsca, dosłownie skoczyła mu do gardła

jak atakujący kot. Powinien bez trudu złapać ją i przytrzymać, ale rozpacz zdwoiła jej siły. Dwa paznokcie rozorały mu policzek, zanim zdążył chwycić ją za rękę. Na szczęście dla niego była zbyt naiwna, wstydliva i dobrze wychowana, żeby wymierzyć tradycyjnego kopniaka, o którego skuteczności mogła ją pouczyć każda uliczna kobieta.

Trzymał ją, a ona szamotała się coraz słabiej w miarę, jak opuszczała ją wola walki. Potem wybuchnęła płaczem, a on wciąż ją trzymał.

Czasami, nie zawsze, to się zdarzało. Dro nie próbował już analizować swoich odczuć w takich chwilach. Przed laty potrafiłby zidentyfikować żal, współczucie, wyrzuty sumienia; nawet satysfakcję, nawet podniecenie seksualne. Ale te wszystkie emocjonalne reakcje nie miały wielkiego znaczenia. Nie bronił się przed nimi, podobnie jak nie bronił się przed objęciami dziewczyny, obojętny i niewzruszony. To był swoisty rytuał.

Wreszcie odepchnęła go tak gwałtownie, jak gdyby znowu chciała go uderzyć, ale to również należało do rytuału.

Przeszła przez pokój i usiadła na krześle, biorąc lalkę na kolana. Popatrzyła na lalkę.

– No – odezwała się – postawiłeś na swoim. – Głos miała zachrypły od płaczu, ale zupełnie spokojny. – Mam nadzieję, że nie spodziewasz się zapłaty.

– Nie.

Nagle zrzuciła lalkę z kolan. Teraz wpatrywała się w podłogę.

– Taki wielki człowiek – powiedziała. – Taki mądry. Taki sprytny.

Parl Dro kuśtykając ruszył do drzwi. Ciddey zawołała za nim:

– Chciałabym, żebyś trafił na kogoś, kto...

– Nie poniżaj się wypowiedaniem rynsztokowych obelg, których sama nie rozumiesz – przerwał jej. – To niczego nie zmieni. Ani dla mnie, ani dla ciebie.

Zaczekała, aż wyszedł z pokoju, po czym powiedziała cicho:

– Czy pomyślałeś kiedyś, jak wielu ludzi brzydzi się tobą, jak wielu ludzi przeklina cię i życzy ci wszystkiego najgorszego? Czy nie czujesz, że ludzka nienawiść ściga cię na każdym kroku, Parlu Dro?

Zaczął schodzić po schodach. Zastanawiał się, czy jeszcze coś od niej usłyszy. Przypuszczał, że tak.

Czekała jednak, dopóki nie dotarł na dziedziniec. Przystanął pod martwym figowym drzewem i zawahał się przelotnie. Światło gwiazd omywało studnię jak poprzedniej nocy i wciąż, jak poprzedniej nocy, w powietrzu unosiła się jakaś nieuchwytna, nienaturalna groza. Głos dziewczyny spłynął z wieży i spotęgował tę atmosferę. Obelgi padały na ziemię jak brzydkie owoce. Nie spodziewał się po niej takiej znajomości rynsztokowego słownictwa. Kiedy skończyła, był już za bramą, ale chociaż nie podniosła głosu, usłyszał każde słowo.

Myal Lemyal na pewno w krytycznej chwili wziął nogi za pas albo wykazując nadspodziewany rozsądek poszukał jakiejś kryjówki, ponieważ nigdzie nie było go widać.

Dro ruszył drogą na wschód.

Pół mili dalej ponownie minął wioskę, która wydawała się obca i mniejsza niż przedtem. Ponieważ dziś nie zamierzał tam nocować, wieś przybrała w jego oczach ponure, nieprzyjazne oblicze, jak gdyby zmieniła się w niegościnne pustkowie.

Myal Lemyal istotnie usunął się ze sceny. Pomimo swojego roztargnienia był równie wrażliwy na obecność żywomorów jak każdy zabójca duchów, chociaż błędnie interpretował je jako pozytywne zjawisko i zdecydowanie nie miał ochoty z nimi walczyć.

Jednakże ta ryzykowna profesja budziła w nim coraz większą neurotyczną fascynację. Z reguły najmocniej pociągało go to, czego

najbardziej się bał – słabość, nad którą ubolewał, lecz której nie potrafił zwalczyć.

Dro również fascynował go i przerażał w najwyższym stopniu. Poza tym Myal wmówił sobie, że bez pomocy Dro nie zdoła zrealizować swojego genialnego planu – odnaleźć Ghyste Mortua, legendarnego królestwa żywych zmarłych.

Toteż kiedy napięcie emocjonalne wypełniające nawiedzony dom wyzwoliło się w upiornym krzyku, Myal natychmiast rzucił się do ucieczki. Ale nie uciekł daleko. Po prostu wskoczył na najbliższy pagórek niczym spłoszony królik i zapadł w gęstą trawę, zdyszany i wstrząśnięty. Dziesięć minut później, kiedy odważył się podnieść głowę, przekonał się ze zdumieniem, że wciąż widzi w dole, całkiem blisko, przekrzywiony dach domu.

Wówczas wpadł na pomysł, żeby poczekać w tym miejscu na dalszy rozwój wypadków. Nie czekał długo. Wypita wcześniej brandy oraz nerwowe wyczerpanie połączone z fizycznym wysiłkiem okazały się skuteczne. Zanim Parl Dro wyszedł z bramy na drogę, Myal leżał wygodnie wyciągnięty, z rękami pod głową, pogrążony w głębokim śnie.

Wkrótce po północy, kiedy księżyc na nowiu wisiał w górze jak pęknięty talerz, Myal ocknął się, uświadomił sobie swój kolejny błąd, zaklął i znowu zasnął. On również przywykł do noclegów na gołej ziemi.

Przyśniła mu się najpierw matka, której wcale nie znał, a potem pijany ojciec ze skórzanym pasem, który znał aż za dobrze. Wzdychał, jęczał i rzucał się przez sen.

Tuż przed świtem Myal stoczył się z pochyłości i uderzył o pień młodej jodełki. Przez plątaninę trawy i gałęzi zobaczył ławicę gołębioszarych obłoków przesłaniających horyzont na wschodzie, spoza których przesączało się blade, tajemnicze światło.

Wszędzie panowała całkowita cisza, słychać było tylko szmer wiatru i pojedyncze ptasie głosy, jak spadające krople. Potem w domu na dole drzwi zatrzasnęły się z hukiem, jakby ktoś walnął w drewniany bęben.

Myal zerknął w dół przez gałęzie jodełki.

Ciddey Soban, biała jak porcelana, wyszła z cienia drzew i odwróciła się w jego stronę. Przez chwilę myślał, że dziewczyna zamierza wspinać się na pagórek, ale ona ruszyła na północ pomiędzy wzgórze, pozostawiając za sobą dom, drogę i Myala.

Serce Myala załomotało. Zerwał się, przeczesał włosy długimi palcami i poprawił instrument na plecach. Z niejasnym uczuciem lęku obszedł grzbiet wzgórze zasłaniający mu widok i odszukał wzrokiem jasną sylwetkę dziewczyny. Ruszył za nią zachowując dystans. Wiedział, że postępuje jak łajdak. Oczy miał pełne łez.

Siedziała na krześle Cilny przez całą noc. Rozmyślała o Parlu Dro, zabójcy duchów, i o tym, jak go nienawidzi.

Od czasu do czasu wspomnienie Cilny rozpraszało ponurą zadumę. Od czasu do czasu powracało nawet wspomnienie ojca, zbierającego bezwartościowe rupiecie, żeby je sprzedać jako magiczne przedmioty. To było nieuniknione. Ale każdej z tych myśli poświęcała najwyżej sekundę uwagi.

Na początku życzyła Parlowi Dro śmierci i w wyobraźni skazywała go na coraz to nowe męczarnie. Umierał uduszony i przebity nożem, umierał powieszony, pogrzebany żywcem, rozszarpany przez dzikie zwierzęta, wilki, koty i niedźwiedzie. W tych fantazjach ona również brała udział, podjudzała oprawców, wydawała rozkazy. Później Dro spotykał śmierć w bardziej wyrafinowanej, nie tak szybkiej postaci, a ona nie była przy tym obecna. Jeszcze później w ogóle nie myślała o jego śmierci, tylko o nim. Był znacznie młodszy, niż się spodziewała, sądząc po opowieściach.

Wyobrażała sobie jego młodość, jego dzieciństwo, nawet jego narodziny. Wyobrażała sobie jego przyszłą starość: choroby i ubóstwo, bogactwo, samotność, zadowolenie z życia – wszystko naraz, niemal bezstronnie. U schyłku nocy zaczęła postrzegać go jako żywą istotę, drugiego człowieka, oddzielną, autonomiczną jednostkę. Jej nienawiść nie była już siłą skierowaną przeciwko Parlowi Dro. Jej nienawiść utożsamiała się z Parlem Dro. Był jak czarne drzewo rosnące pośród całkowitej pustki. Nie mogła myśleć o niczym innym.

Kiedy ptaki zaczęły wyśpiewywać swój hymn do nadchodzącego dnia, Ciddey wstała. Przez chwilę nie wiedziała, dokąd chce iść i po co. Potem z tępym ukłuciem w sercu przypomniała sobie, że wszystko już się rozstrzygnęło, że nie musiała układać żadnych planów. Musiała tylko działać.

Na dworze zbity wał chmur leżał nisko nad horyzontem, niczym kolejne wzgórza za szeregami wzgórz. Góra błyszczała zimno i czysto na tle jaśniejszego nieba.

Ciddey ruszyła na północ skrajem pochyłości. Nawarstwione złoża mroku unosiły się z ziemi niczym stada ptaków wzbijające się w niebo. Tak dobrze znała to wszystko. Początek nocy i dnia, krajobraz, górę. Ona sama wydawała się zaledwie ulotnym cieniem w rzeczywistym świecie, zaledwie wspomnieniem dziewczyny, która niegdyś tu mieszkała.

Wkrótce z grzbietu wzgórza ujrzała przed sobą lśniący strumień.

Żółte wiosenne asfodele znikły z brzegów strumienia. Ciddey niepewnie rozejrzała się szukając jakichś kwiatów, ale w trawie rosły tylko letnie stokrotki. Strumień nie był tak czysty jak na wiosnę. Gлина z łożyska zabarwiła wodę na brązowo. Nurt również nie był tak bystry jak wtedy, kiedy z gór spływały topniejące śniegi.

Ciddey zdjęła pantofelki, jak gdyby zamierzała brodzić w strumieniu. Ustawiła je starannie obok siebie na brzegu.

Woda zachowała jeszcze nocny chłód. Ciddey zadrżała i gwałtownie wciągnęła oddech. Przez chwilę nie mogła postąpić ani kroku dalej. Stała chwiejąc się pod nierównym naporem lodowatego prądu i rozglądała się nieprzytomnie. Niemal natychmiast na wzniesieniu, osiemdziesiąt stóp dalej, pojawił się jakiś człowiek. To był ten sam mężczyzna, który w nocy śpiewał pod jej oknem, który pewnie zrobił to na rozkaz Dro, żeby zmylić jej czujność. Przeznaczenie go zesłało.

Patrzyła na mężczyznę, a on patrzył na nią. Nagle zaczął krzyczeć i wymachiwać ramionami, jednym czerwonym, drugim zielonym. Potem zaczął biec ku niej po pochyłości. Instrument podskakiwał mu na plecach.

Nie zdąży jej powstrzymać.

Ciddey rzuciła się na wznak do strumienia. Zimna woda zakryła jej twarz, wypełniła nozdrza i oczy. Nie uderzyła się o dno, woda osłabiła impet upadku. Prąd uniósł ją i popchnął do przodu. Nie była dostatecznie ciężka, żeby opaść na dno.

Warkocze jej się rozplotły. Powinna była porządnie zapleść włosy. Nie pomyślała o tym.

Dotąd wstrzymywała oddech, ale teraz wciągnęła do płuc lodowatą ciemność. Zimno było tak przeraźliwe, że nic już nie czuła.

Usłyszała odległy, stłumiony plusk, kiedy mężczyzna wskoczył do strumienia, w niewłaściwym miejscu, ponieważ prąd zniósł ją dość daleko.

Wszystko odpływało niemal łagodnie. Wszystko oprócz jednej rzeczy. Zrozumiała, że nie wolno jej tego wypuścić.

Ostatnie, co zobaczyła, zanim przestała cokolwiek widzieć, to była para czarnych oczu Parla Dro. Te oczy jak gdyby wydobywały ją z tonącego, umierającego ciała. Jej świadomość, cienka jak nić, nawlekła się na nie jak



na dwie igły. Jej nienawiść była tak ostra. Poczwała dreszcz triumfu. Potem stała się piórkiem unoszonym przez falę ciemności. A potem umarła.

W górze strumienia Myal Lemyal, brodząc po kolana w lodowatej wodzie, przemoczony i zziębnięty, rozgarniał rękami płytki nurt. Zanim ją znalazł, niewiele mu brakowało do szaleństwa.

Wyciągnął ją na brzeg. Miała obrzmiałą twarz i wytrzeszczone oczy, jak gdyby została uduszona. Myal wzdrygnął się ze strachu, ale położył ją na brzuchu i próbował wycisnąć z niej wodę.

Wreszcie zrezygnował. Zostawił ją tak, leżącą twarzą do ziemi, w koronie bladych włosów. Podeszwy jej małych, bosych stóp, bardzo czyste i lekko zaróżowione, zaróżowiły się mocniej w promieniach słońca.

Myal usiadł na brzegu niedaleko od niej i zaczął obgryzać paznokcie. Od czasu do czasu zerkał na nią ukradkiem. Wreszcie zsunął instrument z pleców i oparł go w zgięciu ramienia.

Zagrał piosenkę dla Ciddey Soban. Nie wiedział, czy piosenka była piękna. Ale instrument zamoczył się w strumieniu, niektóre struny zwilgotniały i stopniowo straciły ton. Gdyby ojciec usłyszał jego grę, spuściłby mu lanie.

W końcu Myal przestał grać. Objął instrument, przycisnął go mocno do siebie i zapatrzył się na płynącą wodę.

Mniej więcej po godzinie przemoczone buty i ubranie dały o sobie znać przejmującym zimnem. Myal kichnął, przetarł oczy ręką i wstał. I zobaczył, że nadepnął na jeden mały pantofelek Ciddey.

Powoli odszedł od strumienia.

Słyszał muczenie krów, porykujących jak fagoty pośród wzgórz. Zapach trawy i kwiatów wiercił mu w nosie i drażnił gardło. Myal kichnął jeszcze raz, przeklinając cały świat i siebie samego, po czym zawrócił na wschód, w stronę drogi.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Pięć mil na wschód za wioską teren zaczął się stopniowo obniżać. Pojawiły się głębokie doliny i roziskrzone parowy. Drzewa wyniosłe jak maszty, na których czubkach drżały okrągłe chmury listowia, stały szeregami na krawędzi urwiska lub tworzyły tajemnicze szpalery w mglistych, odległych dolinach rzek.

Gdzieś w tej okolicy Parl Dro przespał noc, zawinięty w swój czarny płaszcz. Powietrze było ciepłe i łagodne, ochładzało się dopiero przed świtem. Ale kilka godzin po wschodzie słońca upał powracał z uśmiechem, przepraszając za krótką nieobecność.

Na murze ogradzającym farmę od wschodu siedział chudy dzieciak, machając nogami wśród winorośli. Nagle zobaczył czarno odzianego mężczyznę, który kulejąc maszerował drogą. Dzieciak wśliznął się w zarośla, a potem wyskoczył na przechodzącego człowieka.

– Daj mi trochę pieniędzy!

Dro nawet nie spojrzał na dziecko.

– Dlaczego?

– Potrafię wróżyć – odpowiedział dzieciak. – Przepowiem ci przyszłość. Daj mi dwadzieścia pensów.

Dro zatrzymał się i popatrzył na dziecko. Była to dziewczynka z włosami wyblakłymi od słońca. Rzucił jej dwudziestkę, która leniwie obróciła się w powietrzu. Dziewczynka złapała monetę i powiedziała:

– Wiem, kim jesteś. Myślałam, że to tylko legenda. Mówili, że kiedyś będziesz tędy przechodził.

– Kto tak mówił?

– Wszyscy. Powtarzali to od lat. Teraz coś ci powiem. Strzeż się. Patrz przed siebie i za siebie. Masz wielu wrogów.

– Naprawdę? – mruknął Dro.

– Ale nie mnie – dodało dziecko. – Dla mnie jesteś piękny.

Dziewczynka pobiegła wzdłuż muru. Za każdym krokiem wzbijała obłoczki różowego kurzu. Gleba była tutaj bardziej kwaśna i wyschnięta.

W południe trafił do gospody, gdzie sprzedawano wino i złocisty ser. Brzoskwinie dojrzewały na murze. Ślepy pies wygrzewał się w słońcu i zaskomlał, kiedy padł na niego cień Parla Dro.

Później droga skręciła na południe. Wąska ścieżka prowadziła na wschód, ale znikła wśród drzew barwy melasy, kiedy słońce chyliło się ku zachodowi. Dro wynurzył się z lasu i stanął na zboczu opadającym ku rzece, która w tym miejscu tworzyła pętlę. W zakolu rzeki drzemała zrujnowana forteca, roztopiająca się w barwach zachodu. Na brzegu leżała wieś. Jak zwykle przecinała ją szeroka główna ulica i kilka niewiele węższych przecznic. Kanały odprowadzające ścieki uchodziły chyba do bagna, graniczącego z rzeką od północy. Smuga dymu wiła się nad dachami. Kilka rybackich łódek leżało rzędem na brzegu, jak wyłowione ryby.

Pod wpływem przecucia, które owładnęło nim niedawno, lecz z nieodpartą siłą, Dro ominął wioskę. Ruszył na przełaj skrajem bagien. Ścieżynka ułożona z cegieł prowadziła przez błoto i kałuże wody na spaloną słońcem łąkę w zakolu rzeki, gdzie stała forteca.

Zewnętrzne ściany rozsypały się ze starości. Wewnętrzne, wyszlifowane przez deszcz i wiatr, były cudownie gładkie. Jakiś baron lub pomniejszy książę rządził tutaj przed stu czy dwustu laty, udając wielkiego pana, władcę rzeki. Teraz nikt tu nie przychodził. Nikt nie wydeptał ścieżek przez łąkę. Nikt nawet nie wypasał tu kóz i owiec, bo trawa była dziewiczo bujna.

Wieśniacy uważali pewnie, że w fortecy straszy. Ruiny rzeczywiście miały ponury, tajemniczy wygląd. Tylko zabójca duchów, taki jak Parl Dro, wiedział z całą pewnością, że nie ma tu żadnego ducha. Pozostała jedynie pusta łupina.

Wiatr wiał wzdłuż rzeki, a wraz z zapadającym zmierzchem powracał chłód. Dro rozpałił ognisko w załomie murów, gdzie rozwalona klatka schodowa prowadziła w górę, pod kopułę nieba. W ziemi obok schodów zapuściła korzenie dzika jabłoń, obwieszona zielonymi, przedwcześnie dojrzałymi owocami. Dro zerwał kilka jabłek i ułożył w popiele obok ogniska. Po upieczeniu nie będą takie kwaśne.

Wielka sowa wyruszyła na łów i żeglowała ponad łąką bezszelestnie jak papierowy latawiec.

Parl Dro siedział oparty o ścianę. Musiał tylko trochę zaczekać. Był czujny, ale bardzo spokojny. Pośród rozlicznych umiejętności posiadał sztukę subiektywnego zatrzymania czasu, wyłączenia wszystkich niepotrzebnych zmysłów. Pozwalał im odpocząć, tak jak pozwalał odpocząć kalekiej nodze. Każdy dzień wędrówki oznaczał walkę z tym bólem, a każdy postój przynosił oszałamiającą ulgę. Wyczerpany, nie zwracał większej uwagi na otoczenie.

Potem spod przymkniętych powiek zobaczył kobietę w płaszczu złotych włosów, pochyloną nad ogniskiem. Była bardzo rzeczywista, ale kiedy uniósł powieki, zniknęła.

Dziecko na farmie obudziło w nim pewne wspomnienie, wspomnienie przełomowej chwili. Siedział i rozmyślał o przeszłości czekając, aż teraźniejszość powróci do rzeczywistych wymiarów.

Jego ojciec był żołnierzem w jakiejś pomniejszej granicznej wojnie, dostatecznie dużej, żeby go zabić. Matka Parla Dro umarła wkrótce potem, kiedy miał około czterech lat. Miejscowy dziedzic założył przytułek, gdzie

bezdolne dzieci wychowywały się w stosunkowo dobrych warunkach. Kiedy Dro miał dziesięć lat, pracował już na polu. Ponieważ jednak wykazywał zdolności do nauki, wyjątkowo wspaniałomyślny dziedzic posyłał go dwa razy w tygodniu do szkoły w miasteczku.

Szkoła była rudera. Dach przeciekał i w zimie na belkach pod sufitem tworzyły się sople lodu. Dzieci skupiały się w gromadkę wokół żelaznego garnka z rozżarzonymi węglami. Do szkoły uczęszczało pięćdziesięciu chłopców i około piętnastu dziewczynek, które krewni uznali za dostatecznie niezwykle i utalentowane, żeby pobierały nauki. Wszystkie dziewczynki prócz jednej były to obce stworzenia, które zawsze przychodziły do szkoły w towarzystwie piastunek. Zimą przynosiły również własne naczynia z żarem. Ostatnia dziewczynka była biedna i przychodziła sama. Siedziała sztywno wyprostowana, w czystej, znoszonej, pocerowanej sukience. Włosy również zawsze miała czyste; długie, jasne warkocze spływały jej na plecy i na ławkę. Małe, bogate dziewczynki nie rozmawiały z nią. Pomiedzy sobą głośno nazywały ją wywłoką, ponieważ nie miała piastunki i nikt jej nie pilnował. Uboga dziewczynka odpowiadała równie głośno w przestrzeń, że nikt nie potrzebuje jej pilnować, ponieważ w przeciwieństwie do nich jest grzeczna i dobrze wychowana.

Dro widywał ją dwa razy w tygodniu przez trzy lata szkoły. Potem pewnego dnia, kiedy miał trzynaście lat, nagle ją zauważył. Grywała z chłopcami w kości i zawsze wygrywała, a także ścigała się z nimi i czasem wygrywała. Właziła również na drzewa, ale nie w towarzystwie chłopców, ponieważ uważała, że to nie wypada. Parl Dro zauważył ją po raz pierwszy pewnego wieczoru wczesnym latem. Wyszedł na pole za szkołą i zobaczył ją na jabłoni. Słońce ściekało po jej włosach jak rozpuszczony miód. Rozmawiała ze sobą, z ptakami lub z drzewem. Dro wspiął się na sąsiednie drzewo, usiadł i patrzył na nią. Nie była zmieszana ani obrażona, kiedy go

zobaczyła. Zupełnie swobodnie zaczęli ze sobą rozmawiać. Nie pamiętał, o czym mówili, ale to nie miało znaczenia. Może o książkach albo o tegorocznych zbiorach.

Następnym razem, kiedy wybierał się do szkoły, zjawił się wcześniej i powoli przeszedł obok jej domu. Była to mała chałupka, która trzymała się głównie dzięki temu, że dwie sąsiednie chałupy podierały ją z obu stron. A jednak była to najschludniejsza chałupka na wiele mil wokoło. Kiedy dziewczynka wyszła z domu, nie okazała zdziwienia na jego widok. Nie miała żadnej rodziny poza babką, która tego ranka upiekła chleb. Dziewczynka trzymała dwie kromki gorącego, chrupiącego chleba posmarowanego smalcem. Z wdziękiem wręczyła jedną kromkę Dro, dodając uprzejme pozdrowienie.

Miała imię, ale on nigdy nie mówił do niej po imieniu. Przezwisek, które nadała jej babka z powodu jedwabistych włosów, brzmiało: Silky[1]. Tak nazywał ją Dro i babka, ale nikt więcej.

Tego lata spędzali razem wiele czasu. Niekiedy uciekali ze szkoły na wagar. Włóczyli się po wzgórzach. Rozmawiali o legendach i podaniach związanych z tą krainą, o dawnych czasach, kiedy rządzili tutaj królowie, a kobiety o gorącej krwi wyruszały stąd na wojnę. Pokazał jej, jak łowić ryby w strumieniu. Ona oświadczyła, że Dro postępuje okrutnie łowiąc ryby, których nie potrzebuje jeść. Później, kiedy jej babka ciężko zaniemogła z ubóstwa, Silky sama błagała Dro, żeby pokazał jej jeszcze raz, jak się łowi ryby. Razem zanieśli swój łup do chaty, ryby barwy rzecznych kamyków, bardzo smaczne, zwłaszcza kiedy alternatywą był głód. Dro kradł dla nich chleb z piekarni dziedzica, dla Silky i jej babki. Kiedy nadeszły tłuste czasy, Silky w rewanżu ukradła dla niego nóż z kuźni. Parl bez trudu podrzucił go z powrotem kowalowi, zanim zauważono stratę. Byli bardzo młodzi, toteż wszelkie kontakty seksualne między nimi ograniczała ich młodość, brak

doświadczenia oraz surowy kodeks honorowy. Ale uczyli się razem i razem poznawali pierwsze przejawy namiętności, przelotne, gorące pocałunki, przyspieszone bicie serc, dotyk rąk i ciał pośród letniej trawy. Poznaliby więcej, gdyby wypadki potoczyły się innym torem.

Kiedy nadeszły żniwa, dziedzic zwołał na pola wszystkich robotników. Przez trzy czy cztery tygodnie Parl nie miał zobaczyć szkoły ani Silky. Pożegnali się ze smutkiem, pod jabłonią na polu za budynkiem szkolnym, jak gdyby rozstawali się na rok.

Żniwa przebiegały jak zwykle, męcząco, lecz zadowolająco. Panowały upały i zboże było suche jak pieprz. Wyznaczono ludzi, którzy pełnili straż na wypadek pożaru. W nocy Parl zasypiał pod gołym niebem, roziskrzonym od gwiazd. Powietrze pachniało winem, winogronami i skoszoną trawą. Robaczki świętojańskie tańczyły w zaroślach. Parl prawie nie myślał o Silky, zadowolony, że nie musi o niej myśleć, ponieważ będzie na niego czekała.

W ostatnim tygodniu żniw nadeszła burza. Rycząc tratowała pola jak wściekły zwierz. Kukurydza kładła się na ziemi pod gwałtownymi uderzeniami wiatru. Błyskawice przeszywały niebo jak stalowe strzały. Piorun trafił w drzewo na wzgórzu, które zapłonęło z hukiem, siejąc wokół białe elektryczne iskry.

Ludzie pracowali nie zważając na pioruny i błyskawice. Kiedy spadł deszcz, pracowali w deszczu. Pola, jęczące pod naporem wichury, poddały się zniszczeniu. Resztę zbiorów pochłonęła burza.

Gorsza jednak od materialnej straty, gorsza od groźby zmniejszonych racji i obciętych poborów, co niechybnie musiało nastąpić, była prymitywna rozpacz ogarniająca wszystkich. Burza była oznaką gniewu bogów, karą zesłaną jakby po to, żeby udowodnić, że mimo pozorów ładu i porządku nie ma nic pewnego na tym świecie. Parl nie był zdziwiony, kiedy dziedzic

przejeżdżając między namokłymi stogami spostrzegł go, poklepał po ramieniu i powiedział:

– Koniec z twoją szkołą, chłopcze. Przykro mi. Potrzebuję cię tutaj.

Minął kolejny miesiąc, zanim Parl znalazł dość czasu i energii, żeby wybrać się w dwugodzinną wędrówkę do miasteczka. Musiał wyruszyć dwie godziny przed wschodem słońca. Miał nadzieję, że nikt nie zauważy jego nieobecności, kiedy inni chłopcy i mężczyźni o świcie stawiają się do pracy. Pewnie dostanie lanie, ale ta myśl była bardzo odległa. Narastało w nim uczucie dziwnego przygnębienia, niemal strachu. Z młodzieńczą niecierpliwością dążył do wytkniętego celu, nie dbając o nic innego.

Przez kilka mil nawet biegł. Świt był zaledwie ulotną smugą światła nad wzgórzami, kiedy Parl Dro dotarł do miasta. Brama była jeszcze zamknięta. Nie czekał dłużej, tylko przelazł przez ogrodzenie w miejscu, które znał, nieulękły i niecierpliwy. Potem, kiedy wszedł w alejkę, gdzie czyściutki domek błyszczał pomiędzy swymi znacznie bardziej niechlujnymi sąsiadami, coś go nagle powstrzymało.

Niezdecydowanie kręcił się po ulicy, aż jakaś kobieta wyszła z pobliskiego domu, niosąc wiadro na wodę. Spojrzała na niego i wyraz zaskoczenia pojawił się na jej twarzy. To spojrzenie zupełnie wytrąciło go z równowagi, sam nie wiedział dlaczego. Odwrócił się i uciekł.

Pobiegł prosto na pole za zrujnowanym budynkiem szkolnym. Znowu nie wiedział, dlaczego tak postąpił, może dlatego, że znał to miejsce, że dawniej często tu przychodził.

Stanął na polu i nie wiedział, co ma dalej robić. Ogarnęło go straszliwe, niepojęte wyczerpanie. Nerwy miał napięte jak struny, czuł mrowienie i kłucie w rękach. Miał wrażenie, że jakieś owady łążą mu po czaszce pod włosami. Potem, bezmyślnie idąc przed siebie, natknął się na jabłoń i oprzytomniał. Dzień jeszcze nie wstał na dobre, niebo było srebrzyste, ale



nadał panował półmrok. Przez chwilę ohydna wizja drzewa była bardziej złudzeniem niż faktem. Wpatrzony w drzewo, usłyszał głos Silky wołający go z ciemności.

Odwrócił się i oto stała przed nim w swoich czystych, pocerowanych łachmanach, z rozwianymi jasnymi włosami.

– Cześć, Parl – powiedziała. – Myślałam, że już nigdy nie przyjdiesz.

Wpatrywał się w nią, jak poprzednio wpatrywał się w drzewo. Kiedy zaczęła się zbliżać, wezbrała w nim fala potwornego strachu, jak gdyby jego krew i kości zamieniły się w płonący lód.

– Czekałam na ciebie, Parl. Kiedy tylko mogłam, czekałam tutaj, pod drzewem.

Parl mimowolnie cofnął się o krok. Wówczas jej twarz jak gdyby zadrżała. Wciąż jeszcze nie rozumiał, co tu jest nie w porządku. Potem nagle, tak jak poprzednio, rzucił się do ucieczki. Uciekał z pola, uciekał od tego drzewa i od niej, a biegnąc wydawał ochryple, nieartykułowane krzyki.

Zatrzymał się dopiero wtedy, kiedy uderzył w jakieś drzwi. Stał na progu i łomotał w nie pięściami. Jego wrzaski obudziły wszystkie ujadające psy w sąsiedztwie. Potem drzwi otwarły się i Parl niemal wpadł do środka. Jakby z wielkiej odległości rozpoznał babkę Silky i wtedy zrozumiał, do czyich drzwi się dobijał.

– Och – powiedziała. – Och, ktoś ci powiedział.

Zaczęła płakać. On również płakał. Zaprowadziła go do krzesła i zamknęła drzwi.

Nie opowiedziała mu dokładnie, co się stało, ponieważ oczywiście myślała, że wiedział. Domyślił się tego tylko z jej żalosego monologu. W nocy, kiedy burza zniszczyła zbiory, Silky została nieco dłużej pod jabłonią na polu za szkołą. Kiedy piorun uderzył w drzewo, trafił także w Silky. Silky umarła. Nie żyła od ponad miesiąca.

Babka zaparzyła ziołową herbatę, którą dawniej pijali wszyscy troje. Teraz żadne nie mogło jej pić. Staruszka wyraźnie chciała zatrzymać Parla przy sobie. Tak często widywała go z Silky, że teraz jego obecność wydawała się wskrzeszać wspomnienie dziewczyny. Potem babka podeszła do skrzyni i wyjęła coś stamtąd z tajemniczą miną. Przysunęła się blisko i pokazała mu jakieś zawiniątko. Rozwinęła je. W zawiniątku leżało trochę lśniących włosów.

– Wszystko, co mi po niej zostało – powiedziała.

Przystrzygła jedwabiste włosy Silky rano tego dnia, kiedy dziewczynka zginęła. Piorun spalił wszystko, zniszczył ciało i urodę, tak jak zniszczył drzewo. Ale te kosmyki włosów zachowały się przez czysty przypadek. Teraz, zdobywając się na wielką ofiarę, babka wręczyła Parlowi zawiniątko.

Jak tylko ujrzał te włosy, ogarnęły go mdłości. Prawda, którą miał poznać i zrozumieć w późniejszych latach, objawiła mu się teraz za sprawą instynktu. Wyczuwał, choć nie wiedział, co reprezentują sobą ścięte włosy i jaką moc mają. Nie rozumiał jeszcze, co oznacza ta moc.

Nawet teraz kierował się instynktem. Przyjął kosmyk włosów, chociaż wewnątrz kurczył się z odrazy.

Przesiedział prawie cały dzień w domu babki Silky, z zawiniątkiem leżącym obok. Prawie nie rozmawiali. Staruszka nie pytała, czy Parl nie powinien być gdzie indziej. Prawie straciła poczucie rzeczywistości. Parl, chociaż pamiętał o swoich obowiązkach, o polach i rozgniewanym dziedzicu, postrzegał wszystko jak przez mgłę, jak gdyby szklany klosz oddzielił od świata jego, spaloną jabłoń, martwą dziewczynkę i ścięte włosy.

Pod wieczór Parl wstał i grzecznie pożegnał się ze staruszką.

Idąc na pole spotkał swoich trzech dawnych kolegów ze szkoły. Zatrzymali się na jego widok, pragnąc wyrazić mu współczucie czy też, jak

mu się zdawało, napawać się jego bólem. Wreszcie jeden z nich powiedział:

– Słyszałem, że kapłani mają poświęcić miejsce, gdzie zginęła. Podobno jej duch nie może zaznać spokoju.

Drugi szturchnął go dając mu do zrozumienia, że zachowuje się nietaktownie. Odeszli.

Nietoperze śmigają nad polem i rozpływały się w ciemnościach. Niebo zachmurzyło się, spadł deszcz. Spalone drzewo lśniło od wilgoci dziwnym, twardym, szklistym blaskiem.

Po godzinie zjawiała się Silky. Cicho szła ku niemu w deszczu.

Była silna. Tym razem wyglądała niemal jak żywa. Przedtem była prawie przezroczysta. Parl czuł niesamowite przyciąganie, energię przepływającą od niego do niej. Chciał ją zobaczyć i niemal z przyjemnością uświadomił sobie, że to on podtrzymywał jej istnienie. Ale pod wpływem wewnętrznego impulsu bronił się przed tą przyjemnością, buntował się przeciw niej. Kiedy Silky stanęła obok i położyła mu rękę na ramieniu, zeszywniał z odrazy. Zupełnie nie czuł dotyku jej palców.

Piorun nie zostawił na niej żadnych śladów. Później Parl przekonał się, że duchy z reguły nie są naznaczone piętnem śmierci, nie mają żadnych widocznych ran ani innych obrażeń. Cała ich egzystencja opierała się na naśladowaniu życia; tak bardzo pragnęły zapomnieć o chwili śmierci, że nieświadomie przybierały odpowiedni kamuflaż.

Usiedli razem na płaskim kamieniu. Rozmawiali. Wkrótce Parl wziął ją za rękę i tym razem jej ręka wydawała się materialna.

Silky była młoda i niewinna. Może właśnie naiwność skłoniła ją do tego, co zrobiła później. Może szczerze i uczciwie pragnęła być razem z nim, na równych prawach. Niektórzy oszukiwali z zemsty i przez zazdrość, nienawidząc tych, co żyją prawdziwym życiem, niektórzy nigdy nie zabijali natychmiast, z rozmysłem, tylko grzali się przy żywych jak przy ogniu.

Silky była uczciwa. To, co z niej pozostało, nie mogło tak okrutnie zmienić się we wroga.

Miała trzynaście lat. Piękne, szlachetne, zrozpaczone dziecko. Nie, to jej naiwność, chęć zatrzymania go przy sobie sprawiły, że pragnęła jego śmierci.

Powiedziała, że powinni wejść do szkoły. Oboje wiedzieli, że można się tam dostać bocznymi drzwiami. Deszcz ciągle padał i Silky nalegała, żeby schować się pod dach. Parl zapytał ją z zakłopotaniem, czy deszcz może jej zaszkodzić. Uśmiechnęła się promiennie do niego.

– Nie. Widzisz, moje włosy i sukienka są całkiem suche. Ale ty jesteś przemoczony.

Zaprowadziła go do drzwi, które otworzył. Nie dlatego, że przeszkadzał mu deszcz, ale ponieważ ona chciała, żeby weszli do budynku.

Wędrowali pomiędzy ławkami i pulpitemi, na których leżały porozrzucane nieporządnie książki i tabliczki. Mysz harcowała po podłodze. Spłoszyli ją, kiedy obgryzała wielką świecę, której nauczyciel używał do mierzenia czasu. Było bardzo ciemno, ale Parl wszystko widział. Nawet kiedy dziewczynka wbiegła po wąskich schodach na strych, bez trudu dotrzymał jej kroku.

Podłoga strychu, ułożona bezpośrednio na belkach stropu sali szkolnej, w wielu miejscach przegniła od wilgoci. Nawet teraz przez dziurawy dach siąpił deszcz. W zimie sople lodu przebijały poszycie i topniejąca woda kapiała na głowy uczniów pięćdziesiąt stóp niżej. Legary popękały dawno temu. Uczniom nie wolno było wchodzić na strych.

Silky lekko przebiegła po niebezpiecznej podłodze. Wszędzie leżały stare pergaminy, osnute siecią pajęczyn. Stopy Silky nie zostawiały śladów.

Kiedy Parl zrobił pierwszy krok, zaskrzypiała deska. Przy drugim kroku usłyszał cichy trzask drewna. W tej chwili zrozumiał, dlaczego Silky go

tutaj zwabiła, ale to nie miało znaczenia. Na jej twarzy malowała się dzika radość, lęk, że sprawi mu ból, ślepe i bezmyślne szczęście, które go przywoływało. Jeśli coś zobaczyła, to było ich wspólne życie – ich wspólne niezycie – dwojga dzieci i kochanków, zaślubionych na zawsze w ciemności..

Potem jego stopa przebiła spróchniałą deskę, tak jak wiele lat później jego ciało przebiło spróchniałe belki mostu.

Manewr powrotny był trudny, niemal beznadziejny, ale jakoś tego dokonał. Rzucił się do tyłu. jak najdalej od niej. Wylądował w drzwiach, pośród deszczu drewnianych szczątków. W głowie mu szumiało i przez ten szum słyszał jej przymilny głos, namawiający go do powrotu.

Kiedy wreszcie na nią spojrzął, wciąż się uśmiechała. Wyciągnęła ramiona w niemej zachęcie. Chwila przykrości i wszystko będzie dobrze. Tylko chwila, tylko jedna chwila.

Potykając się zbiegł po schodach do szkolnej sali. Sam nie wiedział, co chce zrobić, ale jego rozbiegane spojrzenie natychmiast zatrzymało się na wysokiej woskowej świecy, obok której leżała hubka i krzesiwo, zupełnie jak gdyby wcześniej to zaplanował.

Nie wiedział – skąd miał wiedzieć? – że końcowy akt musi odbyć się w ich obecności. Wyczuwał to jednak instynktem, tym siódmym zmysłem, który miał zadecydować o jego przeznaczeniu, siódmym zmysłem, który budził się w jego duszy przez cały ten okropny dzień.

Zanim Silky sfrunęła ze schodów, Parl zapalił już świecę. Spojrzała na nią ciekawie, potem wzięła tabliczkę i kawałek kredy. Nie zdziwił się, że mogła utrzymać te przedmioty w swoich bezcielesnych rękach. Doznał wstrząsu dopiero wtedy, kiedy pokazała mu, co napisała. Chociaż i tak nie mógł tego przeczytać bez pomocy lustra. Ponieważ Silky, jak wszystkie duchy, bez

wahania posłużyła się odwróconym pismem, biegnącym od prawej ku lewej. Jeśli w ogóle potrzebował jakiegoś dowodu, właśnie go otrzymał.

Wyjął zza pasa zawiniątko z włosami, a wówczas oczy i usta dziewczyny rozwarły się szeroko w przerażeniu. A on po raz pierwszy ujrzał wizję piekła, kiedy pierwsza wielka biała ćma rzuciła się na niego, bijąc go skrzydłami po twarzy, szarpiąc paznokciami, paląc spojrzeniem nieludzkich oczu...

Płonący zwitek włosów spadł ze świecy na podłogę.

A kiedy ją unicestwił, w tej jednej chwili zrozumiał raz na zawsze, że można zabijać zmarłych, że trzeba zabijać zmarłych i że to jest niewyobrażalnie straszne.

Była to ostatnia lekcja, której nauczył się w szkole, ostatnia noc, którą spędził w tym mieście i w tej okolicy.

Woda kapiąca z dachu ugasiła dymiące popioły, a on wybiegł na dwór, w ciemność nocy. Biegł aż do świtu. Uciekał od przeszłości.

Uciekał w przyszłość, ku swemu przeznaczeniu, którego nie znał. Zapłakałby, gdyby je znał.

Ogień przygasał. Nadpalona gałąź pękła i z sykiem puściła sok. Mur fortecy zakrywał światła wioski przed wzrokiem dorosłego Parla Dro. Słysząc było tylko cichy szum rzeki, płytkiej w lecie, i czasem omdlewające rechotanie żab.

Zadawał sobie wiecznie to samo pytanie. Czy zniszczyłem jej życie po śmierci tylko dlatego, że ona chciała odebrać mi moje ludzkie życie?

Odpowiedź nadeszła jak zwykle i uśmierzyła niepokój, ale nie do końca. Nie zabił jej powodowany strachem czy wściekłością. Instynktownie rozumiał, że ta istota, która chciała go zamordować, obojętnie z jakich powodów, była tylko odbiciem, zniekształconym odbiciem dziewczyny, którą niegdyś znał, która tak bardzo zasługiwała na miłość, z której ludzkim

życiem pragnął związać własne życie. Tam, dokąd odeszła, nie była już tą istotą, tą parodią samej siebie.

Księżyc wzeszedł. Gdzieś bardzo daleko zaszczekał lis. Dro usłyszał cichy chrzęst butów na kamykach. Ktoś szedł drogą, którą on sam wcześniej przemierzył.

Teraźniejszość upominała się o swoje prawa.

Parl Dro siedział bez ruchu, plecami do ściany. Łąka stłumiła odgłos coraz bliższych kroków. Raz przybysz potknął się w ciemności. Gdyby nie wcześniejsze ostrzeżenie, Dro mógłby pomyśleć, że to jakieś nocne zwierzę zaatakowało przeciwnika lub rzuciło się na zdobycz ukrytą w trawie. Potem stopy trafiły na niepewny grunt w miejscu, gdzie zwały się zewnętrzne mury twierdzy. Teraz potknięcia słychać było wyraźnie. Głos nagle zawołał:

– Dro! Parlu Dro! Jesteś tam?

Dro odpowiedział równie donośnym głosem:

– Jestem tutaj, Myalu Lemyalu.

Kroki przyspieszyły, przeszły w nierówny bieg. Nagle muzykant wyłonił się zza muru. Twarz miał śmiertelnie bladą, oczy wydawały się równie czarne jak oczy Dro. Zlepione potem włosy przykleiły mu się do czoła, rękawy trzepotały idiotycznie. Opanował się na widok Dro.

– Więc jesteś tu.

– Chyba że tylko ci się przywidziałem.

Myal Lemyal dziko potrząsnął głową. Zdjął instrument z ramion i ostrożnie położył go na ziemi. Potem z ochryplym, nieartykułowanym okrzykiem skoczył przez ogień prosto na Dro. W prawej ręce trzymał ostry kamień, lewą celował w szyję Dro, wyraźnie zamierzając go udusić.

Dro zerwał się lekko i bez wahania, jak gdyby obie nogi miał zdrowe i umocowane na sprężynach. Kiedy Myal dotarł do celu, Dro już tam nie było. Myal uderzył w ścianę z jękiem rozczarowania. Odwrócił się

niezgrabnie i złapał Dro za rękaw. Dro nie bronił się. Myał podniósł kamień, zamierzając roztrzaskać twarz Dro. Twarz pozostała skupiona i dziwnie obojętna. Kamień wyskoczył z dłoni Myala, minął cel i furkocząc poleciał w ciemność za ogniskiem. Obaj usłyszeli, jak uderzył w mur. Nieudany rzut pozbawił napastnika równowagi. Myał zatoczył się i całym ciężarem ciała wpadł na Dro, który go podtrzymał.

– Zabiję cię – wymamrotał Myał, opierając głowę na ramieniu Dro. – Ty morderco. Zabiję cię. Zobaczysz. Zabiję cię.

– Oczywiście, że mnie zabijesz.

Dro delikatnie ułożył go na ziemi. Myał dygotał z gorączki i wściekłości. Miotając się w nie kontrolowanych drgawkach o mało nie wpadł do ogniska. Dro odciągnął go. Palący żar przenikał przez ubranie Myala. Myał płonął.

– Flaki z ciebie wypruję i zawiążę ci na szyi – powiedział płonący człowiek. – Na kokardkę.

– Jak mnie znalazłeś?

– Nie wiem. Znalazłem cię. Chcę cię zabić. Szedłem kawał drogi, żeby cię zabić. Podejdz bliżej, to cię zabiję. Szedłem taki kawał drogi, szlag by cię trafił. – Myał zaczął płakać. – Nigdy nie potrafię nic zrobić jak należy.

Wciągnął głowę w ramiona. Płakał, jak gdyby serce miało mu pęknąć. Wreszcie powiedział:

– Nie bij mnie. Nie bij mnie pasem. Nie.

Dro nazbierał więcej gałęzi i dorzucił do ognia. Płomienie strzeliły wysoko. Myał wciąż leżał na boku, wpatrując się w ogień. Łzy spływały mu po policzkach i kapały na włosy.

– Następnym razem – powiedział – następnym razem zrobię to jak należy. Nie bij mnie, tato.

– Nie będę cię bił – zapewnił Dro.



– Będziesz – odparł Myal. – Ja cię znam. Zbijesz mnie, tato, jak tylko wysuszysz ten bukłak piwa.

Dro siedział i obserwował go. Atak spazmów stopniowo mijał. Myal wpatrywał się w ogień spokojnym, nieprzytomnym wzrokiem.

– Łatwo cię znaleźć – odezwał się po chwili. – Zostawiasz za sobą jakiś cień. Nie widzę go, ale wiem, dokąd prowadzi. Mogę iść za tobą łatwo jak po sznurku.

– Innymi słowy posiadasz nadnaturalne zdolności.

– Pożycz mi nóż – powoli wymówił Myal – żebym mógł cię zabić. To zabierze tylko chwilę. Potem go wyczyszczę.

Powieki mu opadły. Westchnął.

– Powinni cię skazać na śmierć – mruknął. – Nigdy nie miałem starszego brata, żeby z niego brać przykład. Żeby go zabić.

– Idź spać – powiedział Dro.

– Szkoda, że nie umarłem.

– Ja też żałuję.

Myal zaśmiał się.

– Czy opowiadałem ci kiedyś o córce Siwego Księcia...?

Zasnął przy ognisku, odprężony i szczęśliwy, obok człowieka, którego przyszedł zabić.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Córka Siwego Księcia robiła słodkie oczy do Myala, co mu pochlebiało i jednocześnie napełniało strachem. Teraz przysunęła się do niego bokiem, w wianku jasnożółtych asfodeli na jasnych włosach. Była bosa i jej ubranie ociekało wodą.

– Wstawaj – powiedziała – musisz przejść tylko dwadzieścia kroków. – Ten głos nie pasował do niej. Był ciemny, czysty i zdecydowanie męski.

– Nie chcę wstawać – odparł Myal. – Nie chcę nigdzie iść.

– Owszem, chcesz – odpowiedział głos.

Córka księcia zniknęła. Śmierć, Król Mieczy, zawijała Myala w koc. Muzyczny instrument leżał przy boku Myala i również został okryty kocem. Wysłannik śmierci był przystojny, starszy od Myala o jakieś dziesięć czy dwanaście lat, może więcej, i miał podrapany policzek. Kobiety drapią. Po plecach, kiedy idą z tobą do łóżka, po twarzy, kiedy nie chcą iść z tobą do łóżka albo ty nie chcesz, a one się złością.

– Widzę, że jednak cię dopadła – powiedział Myal konwersacyjnym tonem – naznaczyła cię pazurami. Bardzo się cieszę. – Nie był pewien, o kim mówi. Stał teraz, ale nie miał nóg. Opierał się na dwóch papierowych kolumnach, które stopniowo się wyginały. Wysłannik śmierci podtrzymał go. Zaczęli iść.

– Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo – oświadczył Myal.

– Obawiam się, że tak.

Byli na dworze. Straszliwe zimno czy też gorąco poraziło Myala. Upadł na twarz. Umierał i było mu wszystko jedno.

Po chwili znowu żył. Leżał przerzucony przez grzbiet niedużego konia i obserwował ziemię – wysokie trawy, małe kamyki, dzikie kwiaty – umykającą między końskimi kopytami. Po drugiej stronie obok swojej podskakującej głowy widział dwie długie, odwrócone nogi w czarnych butach maszerujące nierównym krokiem i falujący skraj czarnego płaszcza.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Myal.

Przeżył chwilę jasnowidzenia, był tego całkiem pewien. Potrafił rozpoznać te chwile, ponieważ wtedy czuł się najbardziej chory. Wczoraj – czy może to było jeszcze dawniej? – ruszył za Parlem Dro na wschód. Na początku zakładał, że Dro będzie trzymał się drogi. Potem zdumiał się, kiedy dotarł do gościńca. Ta droga wydawała się zbyt trudna dla kulawego człowieka. Ale przecież prowadziła na południe. Według legendy Ghyste Mortua znajdowało się na wschodzie albo na północnym wschodzie. Tymczasem nieprzyjemne, piekące swędzenie w ciele Myala urosło i spotężniało w oślepiający płomień. Chociaż głowa go bolała, myślał jasno i rwał się do czynu. Nieokreślone marzenia o zamordowaniu Parla Dro, dotąd mgliste i nieśmiałe, teraz nabrały mocy, wyrazistości. Niemal nieświadomie Myal podjął trop. Po zachodzie słońca zabłądził w lesie i krzyczał do drzew. Ale Dro odcisnął na nich ślady swojej czarnej, wypaczonej duszy, które ukazywały się powoli w miarę narastania gorączki.

Kiedy Myal ujrzał czerwony odblask płomieni, unoszący się cienką spiralą z fortecy na bagnach, podniósł ostry kamień z pobocza drogi. Ale coś mu nie wyszło. Zawsze coś mu nie wychodziło.

– Ciddey – wymówił tuż nad ziemią.

– To z jej powodu, tak? – zapytał Król Mieczy.

Myal spojrział na buty króla.

– Była za młoda, żeby umierać – powiedział sentymentalnie. Łzy popłynęły mu z oczu. Każda napływająca łza oślepiła go na chwilę, a potem znowu odzyskiwał wzrok, kiedy kropla spadała z oka prosto na ziemię. Jedna trafiła w rozchylony kielich kwiatu. Wyobrażał sobie, jak kwiat myśli: Ach! Teraz muszę znosić słony deszcz.

– Gdybyś tylko zostawił je w spokoju – powiedział Myal. – Zostawiła pantofelki na brzegu. Wpadła do wody. Chciałem ją wyciągnąć, ale kiedy ją znalazłem, już nie żyła.

Jeszcze raz poddał się gorączce. Leżał spowity w swój ból, czekając na kolejne błogosławione omdlenie. Potem Król Śmierci potrząsał nim. Albo tak mu się zdawało. Koń przystanął.

– Coś ty powiedział?

– Co ja powiedziałem? Nie wiem. Jesteś pewien, że coś powiedziałem? Może po prostu bredziłem w gorączce. Nie trzeba brać tego poważnie...

– Ciddey Soban. Mówiłeś, że nie żyje?

– Och. – Myal ziewnął. Nowe łzy popłynęły mu z oczu. – Utopiła się. To twoja wina, ty przeklęty łajdaku.

Ale coś w głosie Dro, chociaż zupełnie pozbawionym wyrazu, uświadomiło Myalowi, że oczywiście zabójca duchów nie wiedział o śmierci Ciddey. Mimo wszystko głupio zabijać człowieka za zbrodnię, o której nic nie wiedział.

– Kiedy jej siostra odeszła, nie miała po co żyć – wyjaśnił Myal.

Dro stał wpatrując się w nadchodzący świt. Myal widział go wykręcając głowę, ale ta pozycja była zbyt męcząca. Wreszcie Dro powiedział:

– Masz szczęście, że twoja muzyka nie jest tak beznadziejna jak twoje gadanie.

Koń znowu zaczął iść.

Myał zaśpiewał piosenkę, którą ułożył dla Ciddey Soban. Śpiewał cichutko, tuż nad ziemią, dopóki nie zemdłał.

W wiosce nad rzeką było siedem gospód, ale tylko jedną prowadzili kapłani. Święty przybytek stał z boku, pobielona wieża z drewnianą dzwonnica na szczycie. Sam zajazd, otoczony murem, był starym, długim, parterowym budynkiem z cegły. Kapłani przechodzili przez furtkę w bramie, żeby nabrać wody ze studni. Oliwne drzewka pięły się po murach. Pachniało tu końmi i wytłoczynami z oliwek. Dro pożyczył konia i koc od kapłanów. W całym okręgu tylko oni mogli zaopiekować się chorym człowiekiem. Dro dowiedział się tego, kiedy o pierwszym brzasku wyruszył na zwiady. I nawet kapłani żądali zapłaty. Przechodząc o poranku przez wioskę widział, jak pracują w sadach i ogrodach, łowią ryby w stawie, pieką chleb, doglądają koni, psów i drobiu. Zastanawiał się, czy przy tych licznych zajęciach gospodarskich mieli jeszcze czas na modlitwy.

Kiedy wrócił do fortecy prowadząc konia dla Myała, muzykant był stanowczo zbyt chory, żeby wytrzymać jazdę do wioski.

Dro widywał już taką gorączkę, która nasilała się i opadała jak fale przyływu. Zaczekał na kolejny odpływ, po czym wyprowadził Myała na łąkę i załadował go na grzbiet konia. Zanim się z tym uporał, było już prawie południe.

Plan Dro był prosty. Przekaze Myała pod opiekę kapłanów i zostawi im dość gotówki, żeby pokryć koszty leczenia i rekonwalescencji. To zmazywało wszelkie winy, rzeczywiste czy urojone; Dro mógł podjąć przerwana podróż. Taki był pierwotny plan. Nowina, którą usłyszał z ust Myała, zmieniała postać rzeczy. Jeśli była prawdziwa. W gorączce człowiek miewa najrozmaitsze przywidzenia, których nie sposób odróżnić od rzeczywistości. Ale to była słaba wymówka. W podobnych przypadkach

Parl Dro kierował się swoim specyficznym zmysłem, który potwierdził już śmierć Ciddey Soban. Tak więc sprawdziły się jego najgorsze przeczucia.

Świątobliwi braciszczkowie czekali z noszami przy bramie. Trzej mnisi ułożyli Myala na noszach i zanieśli do parterowego budynku.

Dro stanął w otwartych drzwiach i zajrzał do pokoju przedzielonego drewnianymi przepierzeniami, gdzie krzyżowały się smugi słonecznego światła. W kącie leżały ramy od łóżek. Jedno łóżko było przygotowane.

Kapłani nosili kremowe szaty, tej samej barwy, co wyblakłe bielone ściany. Wszystko zlewało się w niemal nadnaturalną jasność, sprzęty, ludzie i tkaniny. Odzyskawszy przytomność Myal pomyślał pewnie, że trafił do jakiegoś dziwaczного raj, zamieszkanego przez brzydkie anioły.

Jeden z aniołów zbliżył się do mężczyzny w czerni.

– Chwalebny i miłosierny uczynek, mój synu – powiedział kapłan, który był dużo młodszy od Dro. – Przywiozłeś do nas chorego wędrowca i zapłaciłeś za jego leczenie. Bądź spokojny, twoja pobożność doczeka się nagrody.

– Naprawdę? Więc postąpiłem bardzo przezornie.

Kapłan uśmiechnął się z powagą.

– Wspominałeś, że dzisiaj ruszasz w drogę. Chyba będziemy mogli coś dla ciebie zrobić. Chodzi o konia. Oczywiście zwykle nie handlujemy końmi, ale na pewno dogadamy się co do ceny. Skoro masz... ee... trudności.

– Jakie trudności?

Kapłan wybałuszył na niego oczy.

– Twoje... upośledzenie.

– Ojej – westchnął Dro – więc jestem upośledzony?

– Mówię o twojej nodze. O twoim kalectwie.

– Ojej – powtórzył Dro – mówisz o moim kalectwie.

Kapłan dalej wytrzeszczał oczy, zanim wreszcie uświadomił sobie, że Dro celowo zignorował propozycję. Wsunął spracowane dłonie w rękawy szaty obawiając się, że ich wygląd zdradza zbyt wiele.

– Na pewno wolałbyś jechać niż iść piechotą.

– Ale do gospody pójde pieszo – odparł Dro.

Kuśtykając ruszył do wyjścia, a kapłan cmoknął językiem. Dro zatrzymał się, odwrócił i popatrzył na niego. Kapłan mimowolnie cofnął się o krok, jego dłonie wysunęły się z rękawów.

Dro wyszedł za bramę i przedostał się po kamieniach przez kanał na drugą stronę ulicy. Ale mijając otwarty kram garbarza stwierdził, że kapłan idzie obok niego.

– Mój synu, musimy rozstać się w przyjaźni.

– To chyba nie jest konieczne?

– Owszem, tak napisano w świętych księgach – odparł kapłan z zadowoloną miną. – Wszyscy, którzy spotykają się jako obcy, powinni rozstać się jako przyjaciele.

– Szkoda, że ta zasada nigdy się nie przyjęła.

Jakaś kobieta z gracją pochylała się nad piecem garncarskim, gdzie wypalały się garnki. Miała włosy koloru palonej gliny. Wpatrywała się w Dro z napięciem i tęsknotą. Ten wzrok poruszył jakąś strunę w jego pamięci, ale kapłan pociągnął go za rękaw i niepożądane wspomnienie uleciało.

– Kiedy będziesz wybierał się w drogę, pamiętaj o koniu. Możemy załatwić to po cichu, jeśli wolisz. W ten sposób zapłacisz niższą cenę. Nie zapomnij.

– Bardzo przepraszam – powiedział Dro – chyba już zapomniałem.

Wszedł do pierwszej gospody.

Kapłan został pod drzwiami z rozdziawioną gębą. Rudowłosa kobieta znikła, kiedy się odwrócił.

Dwadzieścia minut później weszła do gospody przebrana w inną, wyzywającą sukienkę. Miedziane kolczyki zwisały jej z uszu. W izbie nie było nikogo, tylko parę kotów i Parl Dro, popijający w kącie miejscowe wino.

Kobieta wzięła kubek z lady, podeszła do Dro i usiadła naprzeciwko. On popatrzył na nią w milczeniu.

– Nie poczęstujesz mnie winem? – zagadnęła.

– Nie poczęstuję cię, ale możesz sama się poczęstować.

Podsunał jej butelkę.

Kobieta napełniła kubek i opróżniła go. Skórę miała lekko zaróżowioną od słońca. Jej oczy, barwy lisiego futra w lecie, chwyciły i odbijały metaliczne błyski kolczyków.

– Mój mąż wyjechał – powiedziała cicho. Dro siedział i patrzył na nią. – To znaczy – ciągnęła – że mój dom jest pusty. Moje łóżko jest puste.

– Nie – odparł. – Dziękuję ci.

– Nie podobam ci się.

– Jesteś bardzo pociągająca.

– Ale nie dla ciebie.

– Przecież sam to powiedziałem.

– Ale nie chcesz tego udowodnić. Może tylko kogoś ci przypominam? – Uśmiechnęła się do niego. – Chciałabym żeglować po czarnych jeziorach twoich oczu. Jesteś piękny. Jeszcze piękniejszy niż w legendach. I dużo młodszy. Widzisz, ja wiem, kim jesteś. Może to drugie też jest prawdą. – Czekala, żeby zapytał, o co chodzi. Oczywiście nie zapytał, więc mówiła dalej: – Podobno żaden zabójca duchów nigdy nie sypia z kobietami. Podobno powstrzymywany popęd daje dodatkową moc. Jak w tym



przysłowiu, że tylko dziewica może schwytać jednorożca. Oczywiście wcale nie mówię, że jesteś dziewicą. Albo że jednorożce istnieją naprawdę. – Na dworze powietrze szemrało jedwabście. Proste, srebrzyste strumyczki wody przesłoniły otwarte drzwi. Kobieta popatrzyła na deszcz. – Chyba wiem, dokąd idziesz. Jeśli to miejsce istnieje. Kiedy tam dojdiesz, może pożałujesz, że nie byłeś dla mnie miły.

– Dlaczego?

– Och, teraz się zaciekawiłeś. Dlaczego? Ponieważ kiedy mówiłam, że mój mąż wyjechał, nie powiedziałam całej prawdy. Porzucił mnie dwa lata temu, żeby spróbować sił w twoim zawodzie. Nie miał takich zdolności i nie zdobył takiej sławy jak ty. Pewnie również nie żył tak długo. Porzucił mnie i wyjechał szukać starego miasta, zwanego Ghyste Mortua. Nigdy nie wrócił. Nigdy nie myślałam, że wróci. Może znalazł sobie inną kobietę i wolał z nią zostać. A może znalazł to miasto, na szczycie wzgórza albo na dnie jeziora, zniszczone trzęsieniem ziemi. Miasto duchów. I ono go zabiło. Nigdy tego nie rozumiałam. Tłumaczył mi, że Ghyste jest z tego świata i nie z tego świata. Że można je znaleźć tylko w pewnych porach roku, przy określonym układzie gwiazd. Ale on miał gorącą krew, ten mój mąż. Pewnie dlatego nie nadawał się do twojego zawodu, Parlu Dro.

Podniosła się i migotliwy odbłask deszczu padł na jej twarz.

– Dziś rano – powiedziała – tuż przed wschodem słońca zobaczyłam dziewczynę idącą ulicą. Nikogo nie było w pobliżu. Przeszła dokładnie pod moim oknem. Nie rozpoznałam jej, ale było jeszcze ciemno. Potem zobaczyłam, że coś błyszczy na drodze. Zostawiała za sobą mokre ślady stóp. Szła do schroniska kapłanów. Kiedy stanęła przed murem, słońce właśnie wzeszło i widziałam przez nią na wylot każdą cegłę.

Kobieta patrzyła na deszcz. Wreszcie Dro odezwał się:

– Może powinnaś zmienić zawód.

– Może już zmieniłam. Później wróżyłam z kart. Odkryłam Króla Mieczy, to ty. A ze znaków zodiaku Dwie Ryby, znak wody, i Harfę, znak powietrza – to chyba będzie twój chory przyjaciel – znak słabości i geniuszu. Ona też się pojawiła. Panna na jednorożcu, zaciskająca mu łańcuch na szyi. Strzeż się, piękny bohaterze.

– Dobrze – odparł Dro. – Dziękuję za ostrzeżenie.

– Jeśli będziesz czegoś ode mnie potrzebował – powiedziała – mieszkam w domu za sklepem garncarza. Nazywają mnie Cinnabar.

– Zapamiętam.

– Postaraj się.

Przez całe deszczowe popołudnie, kiedy cienie gromadziły się w zajeździe, gorączka unosiła Myala na ognistych skrzydłach. Gadał i gadał, a kapłani jeden za drugim zakradali się do jego pokoju, żeby posłuchać. Usłyszeli sporo niezwykłych opowieści, kiedy krzątali się przy jego łóżku pod pretekstem, że trzeba rozpaścić ogień, dorzucić węgla, przynieść koce, zioła i mokre szmaty, żeby zwilżyć spieczoną wargi chorego.

Usłyszeli o dziwnych skłonnościach Zimnego Barona, o nagich dziewczicach dosiadających ogierów w księżycowe noce. Dowiedzieli się o córce Siwego Księcia i o pewnym zdarzeniu w lesie. Dowiedzieli się o dworskich orgiach i zabawach. I o smutnych chwilach, kiedy pożółkłe liście leciały z drzew, a pieniądze spoczywały w cudzych sakiewkach. Dowiedzieli się o ojcu Myala, wiecznie pijanym, z nabiegłymi krwią oczami i pasem w garści, oraz o wszystkich okrutnikach przybierających postać ojca w późniejszych latach, o książętach, oberżystach, rządcach i więziennych dozorcach. Kapłani zbiegli się do Myala jak mrówki do miodu. Wzdychali i popłakiwali, słuchali z wytrzeszczonymi oczami i zapartym tchem. Cierpieli nędzę, uciekali przed niebezpieczeństwem i

przeżywali miłosne przygody razem z Myalem. Kradli, głodowali, grali piosenki, uwodzili kobiety i leżeli w kącie więziennej celi razem z Myalem.

Kiedy mroczny dzień dobiegał końca, kapłani osłabłymi dłońmi czepiali się łóżka Myala, ledwie żywi od tyłu zastępczych wrażeń.

Potem na zachodzie pękła opona chmur i bursztynowy promień słońca zajrzał przez okno. Jak na zawołanie fala gorączki trawiącej Myala rozprysła się na jakimś wysokim, rozpalonym brzegu. Z nagłym westchnieniem Myal opadł bezwładnie na materac i rozluźnił wszystkie mięśnie. Oddychał powoli i rytmicznie, jak gdyby śpiewał cichą, spokojną pieśń. Pieśń bez słów.

Braciszkwowie ocknęli się z żalem. Głosami pełnymi rozczarowania pomodlili się do wyższej instancji o rychłe wyzdrowienie wędrowca. Potem wszyscy wyszli w pośpiechu oprócz jednego, który miał obowiązek czuwać przy chorym.

Ostatni kapłan zasnął marząc o obiedzie, który stopniowo zmienił się w obiad u Zimnego Barona. Bezwstydna dziewczyna na czarnym koniu wjechała do sali, rzucając biesiadnikom kwiaty i owoce. Kiedy zbliżyła się do kapłana, rzuciła mu na kolana rozwścieczonego więziennego dozorcę wymachującego skórzanym pasem.

Kapłan przebudził się ze zdławionym okrzykiem.

Zapadła już ciemność, słońce zaszło i niebo za oknami było granatowe. Kapłan chciał wstać i zapalić świece, ale poczuł na nodze dotyk czegoś żywego. Oczywiście nie był to grubiański dozorca, dotknięcie było zbyt lekkie. Kapłan zachichotał myśląc, że któryś szczeniak dostał się do pokoju. Wyciągnął rękę, żeby pieszczotliwie poklepać pieska – i natrafił na zimne, ruchliwe łuski.

Kapłan zerwał się z wrzaskiem, przewracając krzesło. Wówczas w smudze światła z refektarza, wpadającej do pokoju przez uchylone drzwi,

ujrzał jakiś mglisty, biały obłok przesłaniający łóżko wędrowca. Wyglądał trochę jak dym, trochę jak woda, a w samym środku coś unosiło się i obracało powoli.

Kapłan doznał okropnego uczucia, że uchodzi z niego siła, jak gdyby miał zemdleć. Ogarnęło go lodowate zimno.

Chwiejnie dowlóknął się do drzwi. Nie myślał o swoim pacjencie, w ogóle nie myślał, kiedy zataczając się wpadł do refektarza.

Gospoda zapełniła się wieczorną klientelą. Zabójca duchów siedział na ławce w rogu. Zjadł skromny posiłek pół godziny przed zachodem słońca. Butelka wina była pełna w trzech czwartych i zakorkowana. Dro popijał wodę, kiedy dwaj kapłani wpadli do sali.

Wszyscy podnieśli wzrok. Wprawdzie kapłani lubili sobie wypić, ale nie pokazywali się w publicznym przybytku grzechu.

Co najdziwniejsze, dwaj braciszki natychmiast podeszli do obcego w czarnym płaszczu.

– Odpowiedz mi – zawołał grubszy z nich, chociaż obaj byli dość tędy – czy jesteś tym człowiekiem, którego szukamy?

– Zaczynaj od początku – odpowiedział leniwie Dro. – Kim jestem według ciebie?

– Jednym z tych rozwiązłych i bezbożnych... – zatrajkotał chudszy kapłan.

Drugi szturchnął go.

– Cicho bądź, ty głupcze. – Zwracając się do Dro dodał: – Przypuszczamy, że potrafisz odprawiać egzorcyzmy.

Dro popatrzył na nich.

– A więc?

Tłustszy kapłan przywołał na pomoc swoją godność.

– A więc potrzebujemy twoich usług, mój synu.

Cała sala wpatrywała się w nich z nastawionymi uszami. Nawet koty przycupnięte rzędem na beczkach z piwem otworzyły szeroko ślepia i słuchały.

– Chodzi o to, mój synu – powiedział mniej tłusty kapłan, pokonując swoją odrazę – może się mylimy, ale...

– Ale dziwna rzecz zdarzyła się w zajęździe, gdzie leży twój chory przyjaciel. Uważamy, że powinieneś nam to wytłumaczyć, mój synu.

– Przyznaję – powiedział Dro – że któryś z was mógł wykraść się za mur pewnej nocy. Ale nie mogę uznać was obu za ojców, ponieważ to jest biologicznie niemożliwe. Poza tym ta kobieta chyba wprowadziła was w błąd. Wystarczy trochę arytmetyki. Powiedziałbym, że żaden z was nie może być moim ojcem, chyba że zaczęliście interesować się kobietami jeszcze przed waszym narodzeniem.

Cała sala wybuchnęła hałaśliwą, tłumioną wesołością. Obaj kapłani zmienili się na twarzach. Chudszy warknął:

– Zostaw go. To łajdak i bluźnierca. Tamten dureń w zajęździe na pewno zasnął zamiast czuwać. Przychodzimy tu i narażamy się na zniewagi, bo jakiemuś głupcowi przyśniło się, że ma żywą rybę na kolanach.

Odwrócił się gwałtownie i zmierzył surowym spojrzeniem wieśniaków, ledwie powstrzymujących śmiech. Podskoczył, kiedy Parl Dro minął go zmierzając do drzwi.

Obaj kapłani przepchnęli się do wyjścia i patrzyli, jak Dro przekracza uliczkę po kamieniach i wchodzi do bramy. Pospieszili za nim. Pijący zaczęli wysypywać się z gospody w niewielkich grupkach, ale zatrzymywali się przy murze.

Na całej szerokości ulicy i na placyku przed świętym przybytkiem oraz gospodarczymi budynkami zrobiło się gwarno od wykrzykiwanych pytań, jasno od krzesanych ogni. Tłum przyciąga tłum. Wkrótce setka ludzi

blokowała przejście. Kapłani uwijali się tam i sam jak kremowe pszczoły, przepychając się przez ciżbę, która milkła na ich widok. Nie ogłoszono żadnej wiadomości, ale plotka zataczała coraz szersze kręgi. W zajeździe był duch.

Kapłani nie zbliżali się do zajazdu, podobnie jak tłum zgromadzony za murem. Dro musiał się zatrzymać, ponieważ przestraszeni braciszkuwie zabarykadowali drzwi zajazdu deskami, gałęziami i koszykami – jak gdyby taka trywialna przeszkoda mogła powstrzymać ducha. Dro rozrzucił zaimprovizowaną barykadę, potem kopniakiem otworzył drzwi i zatrzasnął je za sobą, jak tylko znalazł się w środku.

Pokój był teraz czarny, z czarnymi, bezgwiezdnyimi dziurami okien. Dro podniósł przewrócone krzesło kapłana i podparł nim drzwi w innym celu – żeby żadna żywa dusza nie weszła do środka.

Było tu zimno i wilgotno – wilgotno jak w lochu.

Początkowo nic się nie działo, tylko gwar podnieconego tłumy na ulicy wydawał się zbyt odległy i stłumiony.

Oczy Dro rozszerzyły się przenikając mrok. Dodatkowy, siódmy zmysł pozwalał mu widzieć w ciemności. Dro nie dotknął świecy ani krzesiwa. Co jakiś czas za ścianą błyskały ogniki krzesane przez tłum, ale te błyski stopniowo przygasały. Potem Dro usłyszał melodyjny szum, szum strumienia spływającego z gór. Strumienia Cilny i Ciddey.

Myal, którego kapłani tak mężnie porzucili na łaskę losu – co więcej, zamknęli go w zajeździe razem z nieznanym niebezpieczeństwem – nadal nie odzyskał przytomności. Leżał na łóżku, pogrążony w spokojnym śnie. Ten spokój napełnił Parla Dro zimną furią.

Dro postąpił krok do przodu, ale w tej samej chwili zjawa powróciła.

Powoli uformowała się w mroku tuż nad krawędzią łóżka Myala. Była widoczna aż do kolan. Resztę jej nóg, materac i ciało Myala zakrywała

dymna, falująca woda. Zjawa była prawie przezroczysta, Dro zauważył jednak, że wcale nie wyglądała jak topielica, chociaż z pewnością dokładnie, jeśli nawet podświadomie, pamiętała okoliczności swojej śmierci. Twarz miała spokojną i początkowo bez wyrazu, ale kiedy spojrzała na niego, kiedy skupiła na nim uwagę, jej twarz uległa przeobrażeniu. Oczy jakby zapadły się i powiększyły, aż zostały same oczodoły. Uśmiechnęła się pokazując tylko dolne zęby i ten uśmiech był przerażający, nie do opisania. Uniosła ręce, w których trzymała żywą rybę. Podniosła ją do ust, jak gdyby chciała ją pocałować, po czym wbiła zęby w trzepoczący rybi grzbiet. Strumyczek bladej, połyskliwej krwi spłynął jej na brodę.

Ryba była złudzeniem. Czarownica stała się jeszcze bardziej czarownicą po śmierci. Tworzyła iluzje, żeby go zastraszyć. Kiedy wyczuła, że nie wzbudziła w nim lęku, wszystko znikło, ryba, krew, nawet upiornie falujący strumień.

Zjawa unosiła się w powietrzu, wciąż złośliwie uśmiechnięta. Potem uśmiech zgasł i zjawa zaczęła się cofać, coraz dalej i dalej, popychana nieugiętą wolą Dro.

Otworzyła usta w bezgłośnym krzyku i ponownie uniosła ręce. Paznokcie miała już bardzo długie. Walczyła z nim, ale on był bardziej doświadczony w tej walce. Pchnął ją przez cały pokój i przyparł do ściany, niczym fosforyzujące odbicie na bielonym murze. Jej włosy rozsypały się wokół głowy jak wachlarz, jak blada, bezbarwna aureola słonecznych lub księżycowych promieni. Przytrzymał ją tak, a potem nie spuszczać z niej wzroku zacisnął bezlitosną dłoń na gardle Myala i odciął mu dopływ powietrza. Muzykant krztusząc się i kaszląc powrócił do przytomności.

Dro puścił go. Myal wyrzucił z siebie potok chrapliwych wymówek. Dro uciszył go, chwytając za włosy i odwracając twarzą do ściany.

– Patrz.

Myal zamarł, zesztyniał jak kamień w uścisku Dro.

– Co... co to jest?

– Nie wiesz?

– Ciddey... to Cid...

– Nie wymawiaj jej imienia. Ma już nad tobą dostateczną władzę. Jak się czujesz?

– Niedobrze mi. – Absurdalna pretensja zabrzmiała w głosie Myala. – Jestem chory.

– Rozchorujesz się jeszcze bardziej, jeśli ona dalej będzie na tobie żerować.

– Żerować...

– Zużywa twoją życiową energię, żeby podtrzymać własne istnienie. Nie czujesz lego?

– Czuję... trochę. Czuję się okropnie.

Dro puścił go i Myal opadł z powrotem na materac. Dro ani na chwilę nie odrywał oczu od zjawy, rozpiętej jak ćma na ścianie. Nawet kiedy mówił, trzy czwarte jego uwagi i sił koncentrowało się na tym, żeby nie dopuścić jej do Myala, tego źródła życia. Również żeby uniemożliwić jej ucieczkę. Ponieważ mogła zdecydować się na ucieczkę jako jedyny ratunek.

– Co zabrałeś na pamiątkę ze strumienia, Myalu? – zapytał Dro.

– Co?

– Z tego strumienia, gdzie się utopiła. Wziąłeś coś, co do niej należało. Pukiel włosów, wstążkę, cokolwiek.

– Nie!

– Nie ukrywaj tego. To jest jej łącznik. Spójrz na nią. Zabije cię, tak czy inaczej. Albo namówi cię, żebyś popełnił samobójstwo, bo jest zazdrosna o twoje życie. Albo wysie z ciebie po trochu siły życiowe, aż do końca.



– Chyba... – zaczął Myal. Zakaszłał. – Chyba zabrałem ze sobą jej pantofelek. Sam nie wiem po co. Zapomniałem o tym. Był taki maleńki, uszyty z materiału. Nadepnałem na niego na brzegu. Byłem już wtedy chory. Nie wiedziałem, co...

– Gdzie?

– W instrumencie. Gdzie jest instrument? Widocznie ktoś go schował.

– Leży tutaj, obok łóżka. Wyciągnij rękę i podaj mi go.

– Nie mogę się ruszyć, jestem za słaby.

– Poradzisz sobie.

– No dobrze... spróbuję...

Myal niepewnie pomacał dookoła. Ręce tak mu się trzęsły, że z trudem odnalazł pas. Chwycił go niezdarnie i wciągnął groteskowe drewniane pudło na materac. Dotyk instrumentu uspokoił go, ale pantofelek był zwinięty, wepchnięty pod struny i wciśnięty przez otwór do wnętrza instrumentu. Niewidoczny. Myal nie pamiętał, żeby to zrobił. A jednak...

Dro nie patrząc wyrwał pantofelek z dłoni Myala.

– Cokolwiek teraz się stanie, zostań na miejscu i nie ruszaj się.

– Ale co się stanie?

Myal skulił się i zerknął na zabarykadowane drzwi, ale zakręciło mu się w głowie, Opadł na materac i zakrył oczy poduszką.

Parł Dro stał w połowie drogi między łóżkiem a drzwiami. Rzucił pantofelek na ziemię. Powyginana podeszwa pękła. Mały, samotny, patetyczny pantofelek.

Dro wyjął krzesiwo zza koszuli i skrzesał ognia. Na dźwięk krzemienia uderzającego o stal Myal zakopał się głębiej w poduszki. Dro pochylił się, niezręcznie z powodu kalekiej nogi, podpalił pantofelek, po czym zebrał siły czekając na atak umierającego ducha. Który nie nastąpił.

Płomienie objęły pantofelek, pochłonęły go i zgasły, a Dro wciąż patrzył na to, co zostało z Ciddey Soban, przyszpilonej jak piękny owad do ściany. Nawet nie drgnęła. Wpatrywała się w niego pustymi, ogromnymi oczami. A potem rozpląnęła się jak topniejący lód. I znikła.

Natychmiast piwniczna wilgoć i chłód ulotniły się z pokoju jakimiś spirytystycznymi kanałami.

Parł Dro głęboko zaczerpnął tchu. Znajome wyczerpanie zwałyło się na niego, przygniotło go do ziemi. Wyczerpanie i coś jeszcze. Coś... coś...

Na zewnątrz gwar tłumu rozbrzmiał głośniejszy, kiedy znikły niewidzialne bariery zawieszane w powietrzu. Tupot nóg rozległ się na dziedzińcu i drzwi zadygotały od ciosów. Tłum był tak liczny i skoncentrował się tak mocno, że wytworzył wspólnie jakąś namiastkę siódmego zmysłu. Wystarczającą, żeby odgadnąć, kiedy egzorcyzmy dobiegły końca.

Dro odsunął krzesło od drzwi.

Myał jęknął.

– Już po wszystkim? Skończone?

– Mam nadzieję.

Dro zatrzymał się z ręką na drzwiach, zaskoczony własnymi słowami. Nigdy przedtem nie miał żadnych wątpliwości.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pijacka biesiada trwała aż do rana.

Prawie wszyscy wieśniacy słyszeli nowinę, niektórzy byli świadkami. Świadkami, którzy praktycznie nic nie widzieli, tylko czuli i trochę rozumieli. Kapłani uroczyście wkroczyli do bezpiecznego teraz zajazdu, błogosławiąc ściany i sprzęty, skrapiając wszystko wonnościami. Pobłogosławili i pokropili również Myala. Blady i roztrzęsiony muzykant zacisnął w rękę pas od instrumentu i powiedział do Parla Dro:

– Przepraszam.

– Jesteś skończonym głupcem – oświadczył Dro.

Wyszedł w noc, a wieśniacy otoczyli go i ponieśli na ramionach wśród okrzyków i brzęku butelek. Był zbyt zmęczony, żeby protestować. Nie, to nie chodziło o zmęczenie. Chciał coś odpędzić od siebie, coś gorszego niż dręczący ból – dręczącą wątpliwość. Usiadł więc wśród wieśniaków i próbował się upić, podczas gdy oni próbowali wyciągnąć z niego jakieś niesamowite opowieści. Nic nie wskórali, toteż wkrótce sami zaczęli opowiadać historie o duchach, prawdziwe lub zmyślane. Powiedzieli mu, że w fortecy na łące straszy. Kiedy odparł, że spał tam poprzedniej nocy, wymienili znaczące spojrzenia. Dro miał dość rozsądku, żeby ich nie przekonywać, że w ruinach nie ma żadnych duchów. Nikt bez siódmego zmysłu z reguły nie potrafił odróżnić ducha od cegły.

Po paru godzinach większość wieśniaków leżała na ziemi, mniej lub bardziej pijana. Dro wciąż był trzeźwy, chociaż czuł lekkie pulsowanie w całym ciele pod wpływem wypitego alkoholu.

Wyszedł z gospody i ruszył ulicą w ciemność rozjaśnioną gwiazdami, żeby pozbyć się prawdziwego czy wymyślanego szumu w głowie. Dopóki udawał, że jest trochę pijany, mógł korzystać z przywilejów pijaka, czyli nie myśleć.

Deszczowe chmury znikły. Księżyc leniwie sunął po niebie nad dzwonnica.

Kobieta imieniem Cinnabar siedziała przed sklepem garncarza. Królowa Ognia. Otwór garncarskiego pieca żarzył się słabo i odblask padał na jej włosy, policzki, pierś, na jej ruchliwe ręce. Przy świetle księżyca lepiała małego pieska z gliny. Podniosła wzrok i zobaczyła Parla Dro, który przyglądał się jej stojąc w otwartej bramie.

– Widzę, że jesteś śmiertelnie zmęczony – powiedziała.

– Każdy jest zmęczony.

– Czasami.

– Mogę wejść? – zapytał.

Spuściła oczy, niemal onieśmiewiona.

– Przecież powiedziałam, że tak.

Dro wszedł do sklepu. Pachniało tu paloną gliną i jakimiś ciepłymi, subtelnymi perfumami, których używała. Nie zauważył tego przedtem.

– Jeszcze raz proponuję ci moje łóżko – zwróciła się do psa. – Tym razem tylko w formie noclegu. Łóżko jest wyjątkowe. Puchowe materace, miękkie jak szesnaście chmur ułożonych jedna na drugiej. To ci dobrze zrobi. Wyglądasz jak cień człowieka. Ale kogoś ci przypominam, prawda?

Stanął obok. Jej palce zręcznie modelowały psa. Wyglądał niemal znajomo, całkiem jak żywy, gotów w każdej chwili zaszczekać, podnieść łapę czy machnąć ogonem. Dro pochylił się i delikatnie pocałował ją w skroń. Jej włosy błyszczały złotem w blasku ognia i wydierały cudowny zapach.

– Jesteś bardzo zdolna, Cinnabar – powiedział – i pięknie pachniesz.

Palce kobiety przerwały pracę.

– Mój mąż podarował mi grzebień z jakiegoś dalekiego kraju. Zapach jest w drewnie i kiedy się czeszę, włosy nasiąkają tym zapachem.

– Szkoda, że straciłaś męża – zauważył.

– Wcale tego nie żałujesz odparła. – Wstała, odwróciła się i spojrzała na niego oczami błyszczącymi od łez. – A może żałujesz. Wstyd mi za siebie – wyznała. – Zalecam się do obcego mężczyzny. A czy ja jestem obca dla ciebie? Czy jestem do niej bardzo podobna?

– Chcesz, żebym sobie poszedł.

– Nie – zaprotestowała. – Łóżka w gospodzie są pełne robactwa.

– Odpowiednie towarzystwo.

– Och, ty – powiedziała. Łzy wyschły.

Pocałował ją w gąszcz ciemnych włosów. Potem przez długą chwilę przywierali ciasno do siebie, odnajdując niezrównaną pociechę w bliskości drugiego ciała.

– Jutro, zanim odejdziesz – szepnęła – chcę... muszę ci coś powiedzieć. Czy twój towarzysz wyzdrowiał i może już podróżować?

– Jaki towarzysz?

– Ten chłopiec w zajeździe. Ten, którego nawiedzał duch.

– On jest dla mnie niczym.

– Ach – szepnęła – nie bądź taki pewny.

Teraz ona go pocałowała. Łagodnie, powoli, zmysłowo gładziła go po włosach. Wkrótce wzięła go za rękę, poprowadziła po schodach na górę i korytarzem do puchowego łóżka, miękkiego jak szesnaście chmur.

Dźwięki muzyki wylewające się z drzwi zajazdu były cudowne, niemal czarodziejskie. Opadały na dziedziniec niczym promienie porannego słońca. Ogłupiałe gołębie spacerowały po kamieniach, gruchając w

zadziwieniu. Nieopodal leżał kot, ze zmrużonymi ślepiami i brzuchem wystawionym do słońca, widocznie najedzony i lubiący muzykę.

Muzykant czuł się wspaniale, dopóki grał. Kiedy skończył, znowu ogarnęła go ogromna fala słabości. Zdyszany i oszołomiony, odłożył instrument i zwinął się w kłębek na łóżku. Cisza. Kot przemknął obok drzwi, a gołębie poderwały się w powietrze. Na progu stanęła kobieta o włosach koloru terakoty.

Myal popatrzył na nią niepewnie. Kobiety zwykle intrygowały go i przerażały. Również niektórzy mężczyźni. Ale potem uspokoił się. Twarz kobiety miała wyraz sytości i słodczy. Jej serce należało do innego. Była całkowicie niedostępna; bezpieczna.

– Naprawdę masz dryg do muzyki – powiedziała.

– Och, dziękuję – Myal uśmiechnął się skromnie.

– Parl Dro – oznajmiła kobieta – wyruszył z wioski godzinę przed wschodem słońca.

Twarz Myala wydłużyła się z rozczarowania. Usiadł prosto, zbladł i ponownie opadł na łóżko.

– Więc to koniec.

– Niekoniecznie. Jeśli do jutra nabierzesz sił, żeby ruszyć za nim.

– W każdym razie to za wcześnie. W każdym razie i tak go nie dogonię.

W każdym razie co to ciebie obchodzi?

Domyślał się, dlaczego to ją obchodzi. A więc takie kobiety pociągały Króla Śmierci. Też dobrze. Ale dlaczego interesowała się Myalem?

– Wróżyłam z kart. Pokazały was obu. Obaj jesteście potrzebni, żeby utrzymać równowagę.

– Czy on ci mówił o...

– Ghyste Mortua? Wiem o tym. Mam swoje powody, żeby źle życzyć żywomorum z tego miejsca.

– To tylko bajka – oświadczył wykrętnie Myal.

– Tak jak ten duch wczoraj w nocy?

Myal obejrzał się odruchowo. Pomimo błogosławieństw kapłanów, pomimo egzorcyzmów niełatwo mu przyszło zasnąć w tym pokoju. Tylko osłabienie, obezwładniające jak narkotyk, pozwoliło mu zasnąć.

– No, przynajmniej to ładna bajka. Może prawdziwa.

– Tam było miasto – powiedziała cicho, wpatrując się w niego niewidzącym wzrokiem, skupionym na odległych obrazach. Myal patrzył na nią w oszołomieniu i też zaczął je widzieć.

Miasto nazywało się Tulotef. Zbudowano je na zboczu wysokiego wzgórza, ponad doliną, gdzie głęboka rzeka wpadała do dziwnego jeziora w kształcie gwiazdy, z czterema rozgałęziającymi się kanałami. Na wzgórzach rosły lasy. Odległe szczyty, blade jak zima, wystrzelały spomiędzy drzew. Drogi prowadzące do Tulotefu były nieliczne i ukryte. Miasto wystarczało samo sobie. Inne miasta witało mieczami i strzałami. Na oblężnicze armie wylewano wrzący sok migdałów i oliwek. Mury Tulotefu, strome, ciemnoszare, uwieńczone blankami, można było przekroczyć tylko za zgodą mieszkańców i tylko przez bramy. Ludzie żyjący za murami uważali się za czarowników. Wszyscy, od najbiedniejszego do najbogatszego, znali się trochę na magii, a wielu znało się całkiem dobrze. Tak głosiła legenda. Powstało przysłowie: „Kiedy zatańczymy w Tulotefie”, co oznaczało: „Nigdy”. Potem nieszczęście spadło na Tulotef i zrównało z ziemią całe miasto, wieże, dachy, bramy, mury. Pewnej letniej nocy nastąpiło trzęsienie ziemi, samo w sobie niegroźne, samo w sobie całkiem nieszkodliwe. Ale legenda głosi, że wokół szczytu wzgórza, na którym zbudowano Tulotef, biegło pęknięcie, uskok geologiczny. Niewidoczny uskok przez setki lat czekał spokojnie, wytrzymując słońce, śnieg, wiatr i wszystkie podziemne wstrząsy, niczym

uśpiony smok. Potem nadszedł ten końcowy wstrząs, sam w sobie niewielki, który rozerwał ostatnie, cienkie jak włosy spojenia podtrzymujące wzgórze. Wkrótce po północy, kiedy dzwony, pieśni i procesje napełniły miasto hałasem z okazji miejscowego święta, strażnik zobaczył wielkiego czarnego ptaka, który poderwał się ze szczytu wzgórza rozkładając ogromne skrzydła.

Nietrudno było wyobrazić sobie tę chwilę. Nagłą ciszę, uniesione głowy, zdumione twarze, wyciągnięte ręce, migotliwe światło lamp i świec, zamierający dźwięk dzwonów, lśnienie oczu i ornamentów. Potem gigantyczny grzmot, potworny ryk ziemi, kiedy wierzchołek wzgórza pękł, rozpadł się, wybuchnął. Deszcz odłamków, kamieni, gruzu runął na Tulotef. Na wrzeszczące twarze, na świąteczne ogniska. Potem tony granitu, kamieni i obruszonej gleby zsunęły się ze wzgórza na miasto. Był to szturm ostatniej armii. Uderzył o mury jak fala przypływu i mury pękły, bramy stanęły otworem. Przetoczył się przez miasto, zdławił życie, pogasił ogień. A potem samo miasto, jak olbrzymia mogiła, zaczęło się obsuwać. Ześliznęło się ze wzgórza i runęło do jeziora w kształcie gwiazdy.

Nie przeżyła ani jedna żywa istota.

A jednak, jeśli legenda mówiła prawdę, wszyscy przeżyli. W pewnym sensie. Teraz to miejsce nazywano Ghyste Mortua, ponieważ w niektóre noce zmarli powracali do nieistniejącego Tulotefu, tysiące złych, mściwych, władających magią duchów. W głębi jeziora zaś spoczywało nietknięte wszystko, co łączyło ich ze światem, każdy łącznik, jakiego mogli sobie życzyć: ich skarby, ich kości, cegły i zaprawa murarska z ich domów.

Zwabiali żywych, porywali żywych, żerowali na żywych, mordowali żywych. Otwierali groby, rzucali zaklęcia. Cała okolica cuchnęła zepsuciem i występkiem.

Jeśli to była prawda.



– Wiem jedno – powiedziała rudowłosa kobieta – ktokolwiek tam pójdzie, nie wraca.

– Więc tylko głupiec tam pójdzie – zauważył Myal. Ręce mu się trzęsły, chociaż słyszał już te opowieści.

– Parl Dro tam pójdzie. I ty.

– Ja? Żartujesz. Chyba po moim trupie. Och. Chciałem powiedzieć...

– Że to przymus. Wiem. Już to widziałam. Człowiek zawsze wynajduje jakiś powód, jakiś pretekst – żeby obalić lub potwierdzić legendę, zwyciężyć w walce, ułożyć poemat lub pieśń – ale to miejsce samo w sobie stanowi wyzwanie. Jak hazard. Dawniej przyciągało armie najeźdźców. Teraz przyciąga niektórych ludzi. W pewnych porach roku. Również niektóre kobiety.

– Ciebie nie... – zaczął Myal.

– Nie mnie.

Myal przysunął do siebie instrument i objął ramionami drewniane pudło.

– Wiedziałaś – ciągnęła kobieta – że on odejdzie dzisiaj, zanim on sam o tym wiedział. A ty odejdiesz jutro. Jesteś jego dłużnikiem, prawda? Zapłacił kapłanom za twoje leczenie.

– Jestem mu dłużny cios nożem w żebra – odparł Myal.

Kobieta roześmiała się. Myal popatrzył na nią ze zdumieniem.

– Śpij dobrze – powiedziała. – Jutro o pierwszym brzasku przyprowadzę ci konia. Moją własną klacz, nie żadnego z koni kapłanów. Pokażę ci również drogę, przynajmniej początek. Pewnie i tak go znajdziesz, ale to na wszelki wypadek. Jeśli popuścisz jej wodzy, dogonisz go jutro przed zachodem słońca.

– Nie stać mnie na konia – sprzeciwił się Myal.

– Ja nie sprzedaję konia. Kiedy go dogonisz, musisz najpierw zaprowadzić klacz na pastwisko, a potem zawrócisz ją i odeślesz do mnie.

Ona też zna drogę.

– Nie stać mnie także na wynajęcie konia – pompatycznie oświadczył Myal. Ścisnął instrument tak mocno, jak gdyby bał się go stracić. Ramiona dygotały mu z wysiłku.

– To pożyczka. Za darmo.

– Jaki masz w tym cel?

– Jesteś bardzo podejrzliwy.

– Nauczyłem się tego.

– Więc oducz się.

Uśmiechnęła się do niego. Jej uśmiech był jak promień słońca. Wyszła.

Prawie przez godzinę Myal leżał sztywno jak drąg, lękając się wszystkiego, nawet samego siebie. Potem strach minął. Bezpieczny w samotności, Myal wziął się w garść. Jednak spodobał się tej kobiecie. Chciała mu pomóc, bo leciała na niego. Co do Dro, którego sława mogła się jeszcze przydać, Myal potrafił go ugłaskać. Co do Ghyste Mortua, to była tylko zwariowana, romantyczna fantazja z rodzaju tych, w które minstrel powinien wierzyć lub udawać, że wierzy. A cudowna pieśń o mieście duchów, o zrujnowanych wieżach, o zielonkawych robaczkach świętojańskich pląsających w odwiecznym mroku – ta pieśń była już prawie gotowa. Czuł ją w koniuszkach palców. Potrzebował tylko zachęty. Powinien dalej szukać z nadzieją. Ale nie po to, żeby znaleźć.

Zasnął i obudził się wczesnym wieczorem na dźwięk dzwonu, wzywającego kapłanów na kolację. Nikt nie zatroszczył się, żeby przynieść mu coś do jedzenia, ale mimo to Myal czuł się świetnie. Zdrowy, wypoczęty i podniesiony na duchu.

Śmiało wszedł do refektarza, dość pewnie stąpając na długich nogach.

Kapłani popatrzyli na niego z obawą. Pulchne policzki mieli wypchane jadłem.

Myal bez pośpiechu przeszedł wzdłuż stołów, oderwał skrzydełko piezonego kurczaka i wziął pełny puchar żółtego cydru.

– Doprawdy, mój synu – skarcili go kapłani – goście nie jadają w refektarzu.

– Mój przyjaciel Dro zapłacił za wszystko, prawda? – odparł Myal marszcząc brwi. – Zanim musiał wyjechać beze mnie. Podajcie mi tamten bochenek. I sól.

Dostrzegł swoje odbicie w wypolerowanym dzbanie. Nagle znowu zrobił się przystojny. Włosy mu błyszcząły, twarz nabrała posągowych rysów. Wyglądał zupełnie jak książę. Zawsze wierzył, że w rzeczywistości jest księciem. Ten człowiek z pasem – czyż taki stwór mógł być genetycznym ojcem Myala?

Myal rozparł się na krześle. Zjadł trochę szynki, zamówił kąpiel. Ukradł trzy sakiewki z dwóch habitów.

W środku nocy, rozkosznie ościęzły po wymoczeniu w gorącej wodzie i przepłukaniu gardła cydrem, wyszedł znowu na dziedziniec za potrzebą. Potem, w przypiływie śmiesznej wielkoduszności, zwrócił sakiewki, chociaż nie do kieszeni właścicieli. Cisnął je niedbale na kupę kompostu, w najbardziej grząskie miejsce.

Przebudził się w znakomitym nastroju. Nie miał nawet zgagi po cydrze.

Zabrał instrument, poszedł do studni, naciągnął wody i przez chwilę pluskał się w wiadrze. Kiedy podniósł wzrok, niebo pojaśniało, a przy bramie stała rudowłosa kobieta. Teraz znał już jej imię. Zapytał jednego z kapłanów. Kapłan był zaszokowany. Widocznie trudno mu przyszło wymówić imię kobiety.

Kobieta przeszła przez dziedziniec i wręczyła Myalowi jabłko. Ten nieśmiertelny symbol nie wzbudził w nim niepokoju. Co innego, gdyby to była inna kobieta. Zjadł jabłko z przyjemnością, chociaż córka Siwego

Księżca namówiła go kiedyś, żeby wspólnie zjedli jabłko zawieszona na sznurku u krokwi. Było to niełatwe zadanie. Raz czy dwa zderzyli się zębami i Myal bał się, że partnerka go ugryzie. Jabłko było fantem. Kto zjadał ostatni kęs, przegrywał. Myal przegrał. W razie wygranej otrzymałby taką samą karę.

Ale w towarzystwie Cinnabar czuł się swobodnie. Widocznie podziwiała go, ale tylko platonicznie, nie pragnąc niczego więcej.

Za murem potulnie czekała dereszowata klacz. Myal nie jeździł konno od miesięcy, od lat, ale klacz miała łagodny, sympatyczny pysk. Polubił ją od razu i przyjaźnie podzielił się z nią jabłkiem.

Kiedy dosiadł konia i zarzucił na ramię instrument, Cinnabar pokazała mu torbę z zapasami przytroczoną do siodła.

– Możesz to zatrzymać. Ale odeślij mi konia.

– Oczywiście, obiecuję – odpowiedział szczerze.

Cinnabar włożyła mu do ręki małego, dziwaczego pieska z gliny. Myal parsknął śmiechem, bo figurka wyglądała jak żywa. Była jeszcze ciepła od wypalania. Spojrzał na Cinnabar i przełknął ślinę. Za każdym razem, kiedy otrzymywał jakiś dar, prawdziwy dar, był głęboko, niemal boleśnie wzruszony.

– W drogę – powiedziała.

Uśmiechała się do niego przez łyzy. Myal również miał łyzy w oczach i głupkowato szczyrzył zęby. Kiwnął jej głową kilka razy, po czym uderzył piętami klacz.

Ruszyła galopem, a zaskoczony Myal o mało nie wyleciał z siodła.

Wkrótce pozostawili za sobą wioskę. Myal stopniowo przywykł do nierównego galopu dereszowatej klaczy. Potem przypomniał sobie, że Cinnabar nie dała mu żadnych wskazówek. Wprawdzie poprzednim razem odnalazł Dro, co świadczyło o jego wybitnych zdolnościach dedukcji. Teraz

jednak jechał na ślepo, zdając się na instynkt wierzchowca. Przecież Cinnabar mówiła, że koń zna drogę. Myal zastanowił się i doszedł do wniosku, że mówiła prawdę, ponieważ jechali w stronę wschodzącego słońca.

Początkowo droga biegła równolegle wzdłuż zakola rzeki, potem zmieniała kierunek.

Po lewej wznosiły się niskie wzgórza. Po prawej leżała bezkresna równina przecięta rzeką, okrytą miękkim, przejrzystym welonem mgły, błyszcząca w porannym słońcu.

Potem koń i jeździec zanurzyli się w las. Nie widzieli już rzeki, wzgórz i drogi. Gałęzie smagały Myala po twarzy. Ptaki podrywały się w powietrze spod końskich nóg. Klacz zwolniła i przeszła w trucht, ostrożnie wybierając drogę.

Myal był dumny z siebie.

Przełożył instrument przez ramię i oparł go na piersi. Szorstki materiał pasa, niezdarnie pomalowana skrzynia, kawałki kości słoniowej osadzone byle jak w drewnie napełniły go znajomym podnieceniem. Dotknął strun palcami i kiedy stare odciski dały o sobie znać lekkim bólem, napłynęła wzburzona, oczyszczająca fala spokoju. Improwizując zagrał tylko na strunach taniec dla konia.

Czasami zachwycała go skomplikowana budowa instrumentu. Dla niego to było łatwe, ale kto inny oprócz niego potrafił na tym grać? Na całym świecie istniały tylko dwie takie osoby: sam wynalazca oraz wymachujący pasem ojciec Myala, który nigdy w pełni nie opanował tej sztuki. Myal z zaciekawieniem obserwował własne palce. Podstawową rolę odgrywał jakiś tajemniczy związek pomiędzy planowaniem, wykonaniem i uchem wewnętrznym. Dotknięcie struny na jednym gryfie nie tylko wydobywało z niej dźwięk, ale także powodowało nacisk na odpowiednio zestrojoną

strunę na drugim gryfie – która z kolei wydawała własny dźwięk i jednocześnie naciskała na pierwszą strunę. Palce dotykające strun trafiały z konieczności na otworki piszczałki i kiedy grający dmuchał w ustnik, rozlegały się jeszcze inne dźwięki. Ale jakim cudem jeden człowiek mógł pomieścić w głowie co najmniej trzy przeciwstawne tonacje, wzajemnie zależne i powiązane ze sobą? W rzeczywistości Myal wykorzystując złożoną budowę instrumentu potrafił wydobyć z niego sześć, siedem czy nawet osiem linii melodycznych, rytmy, akordy i kontrapunktowe fugi.

Muzyka podobała się klaczy.

Słońce przeświecało przez liście.

Myal zatrzymał konia dopiero wtedy, kiedy wyjechali z lasu i znaleźli się na stromym, skalistym zboczu.

Przed nimi rozpościerał się rozległy krajobraz. Z góry Myal wyraźnie widział dziwaczne naturalne ukształtowanie terenu, poćwiartowanego jak ogromna szachownica przez odległe, mgliste szeregi drzew, kreski wąwozów, koryta dolin. Ostatnia linia podziału – rzeka – płynęła na południe, cienka jak nić. Myal nie zauważył żadnych dróg. Zsiadł z konia i zerknął na urwisty stok.

– Jeszcze nie zabłądziłaś? – zapytał klacz.

Ruszyła do przodu naciągając wodze.

Zeszli ze zbocza i trafili na wyschnięte łożysko strumienia. Myal szedł przodem prowadząc klacz pośród omszałych, nieregularnie porozrzucanych głazów. Po południu dotarli do wylotu strumienia. Dalej teren był płaski i przypominał park, z drzewami elegancko rozmieszczonymi w malowniczych grupkach. Myal zajrzał do torby z zapasami i posilił się. Klacz z wdziękiem skubała trawę, jakby bawiła się w ogrodnika.

Bez pośpiechu jechali przez prawie płaską okolicę. Grunt nadal opadał nieznacznie, a na północnym wschodzie i na południu, w odległości wielu

mil, wznosiły się szeregi skalistych wzgórz. Po niebie płynęły chmury niczym żagle ogromnych okrętów. Popołudniowe godziny mijały spokojnie jak płatki opadające z przekwitającego kwiatu.

Czarna, maszerująca figurka Dro wyrosła przed Myalem nagle jak zaczarowana, najpierw maleńka jak kropka, potem jak żuk.

Myal zareagował z należytą ostrożnością. Ściągnął wodze i klacz przystanęła. Zaczął dygotać, żołądek podjechał mu do gardła. To go rozzłościło. Klepnął klacz, która ruszyła ostrym kłusem.

Dro z pewnością słyszał odgłosy pogoni, ale nie obejrzał się i nawet nie zszedł z drogi.

Myal przemknął obok niego w obłoku kurzu i wyrzucanych kopytami grudek ziemi, zawrócił klacz i zajechał mu drogę. Popatrzył spod uniesionych brwi na Dro, wędrującego samotnie przez rozległą, pustą krainę.

– No, no, cóż za spotkanie.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

– Gdzie ukradłeś tego konia?

Dro mówił obojętnym głosem, wypranym z wszelkich emocji. Myal poprawił się w siodle. Poczł nagłe przygnębenie.

– Nie ukradłem go. Pożyczyła mi go twoja przyjaciółka.

Dro nic nie odpowiedział.

Myal poczuł się zmęczony i osłabiony. Jeszcze przedwczoraj leżałem nieprzytomny w gorączce, pomyślał i w duchu uzalił się nad sobą.

– To nie był mój pomysł – oświadczył – żeby za tobą jechać. Namówiła mnie ta twoja rudowłosa. Chyba myślała, że będziesz mnie potrzebował.

Dro zaśmiał się krótko i ostro.

– Dobra, dobra – mruknął Myal. – Okropnie śmieszne.

Zsunął się z klaczy i pogłaskał ją ze smutkiem. Klacz opuściła łeb i zaczęła szczytać trawę. Światło zdawało się zastygać, wiatr przynosił zapach drzew i koniczyny. W obliczu nadciągającej nocy Myal odczuł przemożną potrzebę towarzystwa. Popatrzył na Dro.

– Muszę odesłać klacz z powrotem do wioski.

– Dlaczego sam jej prowadzisz?

– Mówiłem ci. Idę do Ghyste Mortua. Tak jak ty.

Dro szerokim, teatralnym gestem wskazał na wschód, ustępując Myalowi miejsca na nieistniejącej drodze.

– Proszę bardzo.

– Nie o to chodzi – desperacko powiedział Myal. – Jestem ci winien pieniądze. Nie lubię mieć długów.



Urwał. Zastanawiał się, dlaczego tak mu na tym zależy. Pewnie po prostu bał się nocować samotnie w tej niesamowitej, dzikiej okolicy, gdzie prócz nich nie widać było żadnych śladów ludzkiej obecności.

– Zwalniam cię z tego długu – odparł Dro. Wyminął Myala i ruszył dalej.

Myal stał i odprowadzał go wzrokiem, szukając jakichś argumentów, walcząc z falą absurdalnej paniki. Czarna sylwetka znowu zmaląła, była coraz mniejsza, a światło stało się czerwone. Myal Spojrzał na zachód. Słońce zniżyło się nad grupą drzew. Drzewa stały w ogniu, ale nie płonęły, a słońce cal po calu wysuwało się z klatki utworzonej przez gałęzie.

Dro oddalił się już o dwieście jardów.

Klacz zadreptała w miejscu. Myal zawołał ją, a ona odwróciła się i popatrzyła na niego. W miedzianym świetle sama wyglądała jak odlana z miedzi. Kiedy zawołał ją ponownie i zrobił krok w jej stronę, potrząsnęła głową, wyrzuciła w górę kopyta i pogalopowała z powrotem tą samą drogą. Po chwili znikła za drzewami. Widocznie zrozumiała okrzyk Myala jako rozkaz powrotu do domu, ale dla niego to wyglądało na czystą złośliwość. Torba z prowiantem nadal była mocno przytroczona do siodła. Myal obejrzał się na Parla Dro, który znowu był mały jak czarny żuk. Pobiegł za nim na miękkich nogach, sztywnych od konnej jazdy. W głowie mu szumiało. Czarna sylwetka stopniowo urosła do rozmiarów dłoni Myala. Wówczas Myal zwolnił i dalej szedł szybkim, chwiejnym krokiem.

Wkrótce Dro obejrzał się przez ramię. Spojrzał i odwrócił wzrok, nie przerywając marszu. Myal zdobył się na jeszcze jeden wysiłek. Instrument walił go po plecach, jak gdyby dodawał mu odwagi. Potem albo Dro zwolnił, albo Myal rozwinął nadspodziewanie dużą szybkość, ponieważ nagle zrównał się z Dro i szli teraz obok siebie.

– Nie zwracaj na mnie uwagi – rzucił niedbale Myal. – Po prostu przypadkiem idę w tę samą stronę.

– Widzę.

– Ten przeklęty koń zwiął. Całe przeklęte żarcie było w tej przeklętej torbie przy siodle. Przeklęty pech.

Dro maszerował dalej. Myal zerknął na niego i odwrócił wzrok.

– Całkiem przyjemne miejsce na biwak – mruknął.

– Więc zostań tu.

– Nie uważasz – ciągnął Myal – że powinniśmy trzymać się razem? W takiej okolicy na pewno po zmroku grasują dzikie zwierzęta. We dwóch łatwiej nam będzie... obronić się przed nimi.

Dro szedł dalej. Myal umilkł i starał się dotrzymać mu kroku. Kulawy mężczyzna maszerował szybko i narzucał własne tempo.

Ramię w ramię wędrowali milcząc przez dziki park, a noc zamykała się za nimi jak brama.

Ciemność gęstniała w zaroślach, w koronach drzew, w zagłębieniach gruntu. Na niebie, ciemnym i gładkim jak płachta lawendowego aksamitu, zabłyśły tysiące gwiazd.

Niespodziewanie pojawiła się wyrwa w krajobrazie. Za zwartą ścianą milczących topoli grunt zapadł się tworząc następny parów, tym razem bardzo płytki, najwyżej siedem jardów głębokości i jakieś pięć stóp szerokości. Gęsta ciemność wypełniała go po brzegi. Po drugiej stronie wznosił się nagi, garbaty pagórek z samotnym dębem, okrytym pagodą liści.

Cichy szmer wody rozlegał się nie w parowie, ale po drugiej stronie, przy krawędzi. Woda tryskała ze źródła w skale i bezużytecznie spływała do parowu.

Dro podszedł do źródła i ukląkł, żeby się napić albo napełnić flaszkę; w gęstniejącym mroku trudno było coś zobaczyć. Kiedy Dro wstał i ruszył pomiędzy topole nazbierać chrustu na ognisko, z kolei Myal napił się ze

źródła. Potem poszedł za Dro. Ognisko zostało zbudowane nadzwyczaj ekonomicznie. Dro wykorzystał naturalne zagłębienie gruntu, użył suchych gałęzi na podpałkę, a wilgotniejsze ułożył obok, żeby przeschły w ciepłe. Kilka kamieni dawało osłonę i nagrzewało się od żaru.

– Świetnie to robisz – stwierdził Myal z podziwem.

Dro rozpałił ogień i usiadł, opierając się plecami o pień topoli. Zsunął kaptur z głowy. Ciemna twarz, wyłożona odblaskiem płomieni, tak bardzo przypominała królewskie oblicze, że onieśmielony Myal nie odważył się usiąść, tylko stał niezręcznie, jakby czekał na pozwolenie. Bez ostrzeżenia Dro podniósł na niego czarne, płonące oczy. Myal aż skręcił się pod tym badawczym, hipnotycznym, bezlitosnym i wrogim spojrzeniem, a potem nagle się załamał.

– Więc to koniec naszej pięknej przyjaźni? Naprawdę myślisz, że jestem do niczego? Powiedz!

Dro nie odwrócił wzroku, nawet nie mrugnął, tylko jego usta poruszyły się, kiedy powiedział:

– Naprawdę tak myślę.

– Wobec tego nie będę się narzucał – oświadczył Myal ironicznym tonem.

– Wiem, kiedy należy się pożegnać.

– Widocznie twoje życie składa się z samych pożegnań.

Wściekły i bezsilny, Myal odwrócił się na pięcie i wpackował się prosto na drzewo.

Wyplątawszy się z gałęzi ruszył przed siebie skrajem parowu. Zatrzymał się poza zasięgiem wzroku Dro. Znalazł głąz, który zapewniał jaką taką osłonę i oparcie dla grzbietu. Zwinął się w kłębek na ziemi, przyciskając do siebie instrument. Ziemia była chłodna i magnetycznie nieruchoma.

Przez jakiś czas Myal leżał skulony, samotny i maleńki pod ogromnym nocnym niebem. Wymyślał cięte odpowiedzi na każdą uwagę Dro,

rozpamiętywał liczne niedole swojego życia i powtarzał w duchu, że sam jest sobie winien.

Zasnął i przyśniło mu się, że gliniany piesek Cinnabar wyskoczył mu z kieszeni, biegał po łące, szczekał i machał ogonem, aż rozbił się o kamień. Czerwona krew popłynęła z pękniętej gliny i Myal zapłakał przez sen. Szukając pociechy we śnie namacał druciane struny i zaczął grać. Była to piosenka, którą ułożył dla Ciddey Soban.

Dro nie odczuwał zbytnej skruchy, ponieważ podejrzewał, że zwariowany minstrel oddalił się najwyżej o sto jardów. Poza tym Dro nie był człowiekiem szczególnie podatnym na wyrzuty sumienia. Pomiędzy trzynastym a piętnastym rokiem życia wędrował po kraju imając się różnych zajęć; był pastuchem, parobkiem na farmie, stróżem, woźnicą i na swój sposób opanował sztukę przetrwania. Myal Lemyal, jak widać, prowadził równie twarde, niebezpieczne i demoralizujące życie. Wprawdzie jego metody przetrwania różniły się od metod Parla Dro, ale przecież zdawały egzamin. Myal nie domyślał się, jak wiele szacunku ma dla niego Dro. I nawet w najdzikszych myślach nie podejrzewał, jak mało czasu Dro może mu poświęcić. Nie chodziło o jakąś szczególną antypatię – po prostu Dro przywykł do samotności. Czasami zrywał z tym przyzwyczajeniem, na jeden dzień, na jedną noc. Ale zwykle unikał towarzystwa. Zwykle wystarczał sam sobie.

W wieku piętnastu lat Parl Dro, który wtedy nie był jeszcze nieuleczalnym samotnikiem, założył się po pijanemu o funt srebra, że spędzi noc w nawiedzanej stodole. Zrobił to dla pieniędzy, ale również pod wpływem starannie podsycanej pogardy. Przez dwa lata usilnie starał się zapomnieć o tej nocy, kiedy Silky wróciła do niego pod spaloną jabłonią. W wieku piętnastu lat nie wierzył w duchy.

Leżał wygodnie na sianie w stodole i pociągał z bukłaka z winem dostarczonego przez gospodarzy, w słabym świetle wiszącej lampy – umowa nie wymagała czuwania w ciemnościach. Tuż przed zachodem słońca gospodarze pokazali mu miejsce, gdzie duch wyłaniał się z niebytu. Pokazali mu również nadpaloną rękawiczkę, przybitą do belki w podłodze. „To dlatego on przychodzi”, wyjaśnili wskazując rękawiczkę. Opowiedzieli mu, jak to kiedyś pewien człowiek próbował spalić rękawiczkę w kominku, ale ogarnęła go śmiertelna słabość, zaledwie płomienie liznęły materiał. Wyciągnął rękawiczkę z ognia, zanim zdążył pomyśleć. Teraz wieśniacy chełpili się swoim żywotem w stodole. Zapraszali tam podróżnych na noc. Ostatni, który przyjął zakład, zapewniali Dro, kompletnie postradał zmysły. Parl kiwnął głową z uśmiechem. Spodziewał się różnych sztuczek, ale niczego więcej. Leżał na słomie i rozmyślał o worku srebra, którego potrzebował we własnym przekonaniu. Nie zwracał uwagi na atmosferę grozy panującą w stodole. O północy przyszedł duch.

Nie przypominał już istoty ludzkiej, chociaż wciąż wydawał się materialny i trójwymiarowy. Fizyczne oznaki śmierci pozostały, co było niezwykle i w tym przypadku odrażające, ponieważ ów człowiek zginął rozsiekany na strzępy przez wrogów. Zmaterializował się w powietrzu wrzeszcząc z bólu, z poszarpanym ciałem, z wytopionymi oczami.

Parl zareagował normalnie, to znaczy chciał rzucić się do ucieczki. Coś go powstrzymało. Potknął się o belkę, do której była przybita rękawiczka. Koszmarny, bezoki, wrzeszczący stwór zaatakował go na ślepo. Zanim go dopadł, Parl zorientował się, że wciąż trzyma w ręku bukłak z winem. Cisnął bukłak w wiszącą lampę.

Lampa pękła z brzękiem szkła. Płonąca oliwa zmieszana z winem chlusnęła na słomę. Po kilku sekundach stodoła stanęła w ogniu, wypełniła się dymem, światłem i trzaskiem płomieni. Żywotór pochwycił Parla i

wciąż wrzeszcząc przycisnął go do swego krwawiącego, straszliwie zmasakrowanego ciała. Parl spaliłby się razem z rękawiczką, ale tkwiąca w nim siła woli – uśpiona, a jednak wszechpotężna, silniejsza od mięśni, silniejsza od umysłu, silniejsza niż głód, pożądanie, ambicja, strach – ta siła woli ocknęła się nagle i odrzuciła precz skomlącego, warczącego żywomora.

Rękawiczka spłonęła w chwilę później i okropne odgłosy ucichły. Ślepa, martwa twarz upiora złagodniała nagle, jakby uwolniona od cierpienia. Stwór rozpląnął się cicho w dymie, a Parl Dro wydostał się ze stodoły i pomknął do lasu jak ścigany lis.

Na wzniesieniu obejrzał się i zobaczył czarne sylwetki ludzi tańczące wokół ognia, próbujące ugasić pożar. Nie dostał obiecane srebro, zdobył jedynie przezwisko podpalacza i kolejny dowód na to, że zmarli nie zawsze umierają.

Ogień pomiędzy kamieniami przygasał. Dro pochylił się, żeby dorzucić gałęzi, i znieruchomiał. Gdzieś znad krawędzi parowu dobiegała muzyka.

Dro siedział i słuchał, wypuściwszy gałęzie z rąk. Subtelne tony przeplatały się ze sobą, jak jedwabne nici wszywane w tkaninę nocy. Melodia była prosta, tragiczna, napełniała serce ulotnym, słodkim, przeszywającym bólem. Myał Lemyał, jak każdy prawdziwy artysta, potrafił obudzić w duszy słuchacza nowe, nieznanne uczucia i podsycać je, dopóki trwała pieśń. Ale Myał był czymś więcej niż artystą. Kiedy grał na tym dziwacznym instrumencie, który jego ojciec zdobył za cenę ludzkiego życia, stawał się bogiem powracającym na ziemię z zamierzchłych czasów.

Potem zimny powiew przeleciał nad parowem i Dro poczuł ciarki pełzające po kręgosłupie.

Bardzo powoli odwrócił głowę i spojrział w ciemność, pomiędzy nakrapiane światłem liście topoli.

Pod dębem na pagórku po drugiej stronie parowu siedziała Ciddey Soban, promieniująca słabą poświatą, jaką wydzielają niektóre grzyby, uśmiechnięta, ciemnooka, nieruchoma jak głaz.

Dro zerwał się na nogi. Zjawa patrzyła prosto na niego, obracając głowę węzowym ruchem, żeby nie stracić go z oczu. Była teraz prawie nieprzezroczysta, tylko jeden konar drzewa przeświecał słabo przez materiał spódnicy. Jej skóra, jej włosy wyglądały całkiem zwyczajnie. Ciddey była o wiele silniejsza od swojej siostry.

Dro bez pośpiechu ruszył skrajem wąwozu w stronę, skąd dobiegała muzyka.

Wkrótce dotarł do głazu i znalazł Myala leżącego na ziemi. Muzykant spał głęboko i przez sen grał na swoim instrumencie.

Dro kopnął go w żebra. Myal jęknął cicho, jego dłonie zatrzepotały na strunach, ale nie przestawał grać. Dro nachylił się i mocno uderzył go w twarz. Muzyka umilkła, a przerażony Myal poderwał się do siedzącej pozycji.

– Ja nic nie zrobiłem! – zawołał jeszcze nie całkiem przytomnie, odruchowo protestując przeciw zasłużonej czy niezasłużonej karze.

– Popatrz na drugi brzeg. Wtedy przestaniesz wrzeszczeć, że nic nie zrobiłeś.

Myal chciał już spojrzeć, ale zawahał się.

– Co tam jest?

– Poprzednim razem też o to pytałeś. Odpowiedź jest taka sama.

– Nie wierzę ci – oświadczył Myal odwracając wzrok.

Dro ponownie pochylił się nad nim, spokojny i groźny.

– Wierzysz czy nie, ona cię wykorzystuje. Wezwałeś ją grając tę piosenkę. Domyślam się, że to jest piosenka, którą dla niej ułożyłeś. Teraz powiedz mi, co jeszcze jej ukradłeś po śmierci.

– Nic!

– Mam cię zrewidować?

Myal odsunął się tyłem.

– Zostaw mnie w spokoju. Mówię ci, nic nie zabrałem, tylko ten jeden pantofelek... który spaliłeś.

– Na początku nie pamiętałeś o tym pantofelku. Zastanów się.

– Już się zastanowiłem. Nie wziąłem nic innego.

– Musiałeś coś wziąć. Ona tu jest. Potrzebuje łącznika, żeby wrócić.

– Ja nic nie mam.

– Jeśli będziesz dalej się cofał, spadniesz do parowu – ostrzegł Dro.

Myal zatrzymał się. Najwyżej stopa dzieliła go od krawędzi Przesunął się w bezpieczne miejsce i wstał, czujnie obserwując Dro.

– W każdym razie wiem, że nie mam nic, co do niej należało.

– Więc zabrałeś coś nieświadomie.

Myal o mało nie spojrział na drugi brzeg parowu, ale opanował się i pospiesznie odwrócił głowę.

– Dlaczego czekała aż się ściemni?

– One potrzebują ciemności. Tylko w nocy mogą tworzyć fałszywe obrazy. Dzień jest dla prawdy.

– Słyszałem o duchach, które ukazują się w dzień.

Dro zignorował to. Po drugiej stronie parowu czekała śmierć, a mimo to Myal powtórzył ze śmiesznym, bezsensownym uporem:

– Naprawdę tak słyszałem.

– Ale teraz jest ciemno – odparł Dro – i ona wróciła.

– Wróciła?

– Zobacz sam.

– Nie. Wierzę ci na słowo. Boję się. Nie zabrałem niczego oprócz pantofelka. Nie...



– Porozmawiamy o tym później – przerwał Dro. Przesunął się, jak gdyby szukał pewnego oparcia pod nogami. – Powiedz mi, czy jesteś praworęczny czy leworęczny?

– Oburęczny – odparł Myal. – Inaczej nie mógłbym grać na tym instrumencie.

– Ona – ciągnął Dro – była leworęczna, o ile pamiętam. Każda czarownica do tego dąży. Ta piosenka, którą dla niej ułożyłeś... znasz ją na pamięć?

– Piosenkę? Chyba nie chcesz, żebym ją zagrał. Mówiłeś...

– Chcę, żebyś ją zagrał. Od końca.

– Co?

– Słyszałeś. Potrafisz to zrobić?

– Nie. – Myal podniósł instrument i przyjrzał mu się. – Nie jestem pewien.

– Spróbuj.

– A jak się uda, to co?

– Dostaniesz nagrodę. Duchy są jeszcze bardziej przesądne od żywych ludzi. Odwrócenie, lustrzane odbicie może wywołać skutek. Jeśli to podziała, ona odejdzie. Zaczynaj.

Myal odkaszlnął nerwowo. Poprawił instrument. Dro spojrzał na drugi brzeg parowu.

Nagle Myal zaczął grać. Dźwięki tryskały spod jego palców. Odwrócona melodia nie była już wzruszająca, ale rozbrzmiewała ohydną, makabryczną wesołością, niczym piekielny taniec.

Ponad brzękiem strun Myal usłyszał nagle kobiecy śmiech, wysoki i czysty jak dzwoneczek. Ten dźwięk niemal go sparaliżował. Włosy stanęły mu dęba i sterczały śmiesznie na głowie. Zadygotał.

– No dobrze – powiedział Dro – możesz przestać.

– Czy... czy ona...

– Tak. Odeszła.

Po raz pierwszy Myal zerknął ukradkiem na drugi brzeg parowu, ciemny i pusty.

Nawet on musiał przyznać, że to poszło zbyt łatwo. O wiele za łatwo.

– Wczoraj w nocy – powiedział Myal – nie widziałem jej.

– Zgadza się – mruknął Dro. Ruszył z powrotem skrajem parowu w stronę ogniska, przeświecającego słabo pomiędzy topolami. Myal nie ośmielił się pójść za nim, chociaż bał się zostać sam. Po chwili Dro obejrzał się przez ramię.

– Mimo wszystko będziemy podróżować razem – oznajmił. – Wolę nie spuszczać cię z oka. Na wypadek, gdybyś sobie przypomniał, w jaki sposób dałeś jej władzę nad sobą. Muzyka pomaga. Ale to więcej niż muzyka.

Myal nie ruszył się z miejsca. Rzucił ze złością:

– Mówiłem ci, że wczoraj jej nie widziałem. To nie ma nic wspólnego ze mną.

– Co jej powiedziałaś, kiedy jeszcze żyła? – zapytał Dro tym swoim dziwnym, stłumionym głosem, który rozbrzmiewał tak czysto i wyraźnie w nocnej ciszy.

Myśli Myala zawirowały. Słowa utkwiły mu w gardle jak ostre kamyki. Nie chciał ich pamiętać. Nie wymówił ich na głos.

„Jeśli pytasz mnie o radę... radzę ci uciekać”.

A ona: „Dokąd mam pójść?”

A on: „Może... ze mną”.

Nie wypowiedział na głos tych słów, ale Dro mógł odczytać je z jego twarzy, naznaczonej poczuciem winy.

– Powinieneś wiedzieć – oświadczył Dro – że nie widziałeś jej wczoraj w nocy, ponieważ nie byłeś ze mną.

– Nie rozumiem – powiedział Myal. Ale trochę rozumiał.

– Pomyśl o tym – odparł Dro. – Zrozumiesz.

Myal jakimś cudem otworzył przed Ciddey drogę prowadzącą do świata żywych i Ciddey posługiwała się nim jako środkiem wiodącym do celu. Ale celem był Dro, którego nienawidziła, z którym miała własne porachunki. Na razie, dopóki nie nabrała sił, mogła tylko ich straszyć. Ale kiedy stanie się mocniejsza, kiedy Myal i kolejne powroty dostarczą jej więcej energii...

Dro zatrzymał się przy ognisku i dorzucił drewna. Myal szedł za nim, bojaźliwie omijając każdy krzak i cień, oglądając się często na dąb po drugiej stronie parowu. Ale w blasku ognia trochę się uspokoił.

Dro zajął poprzednie miejsce, oparty plecami o pień drzewa, czujny i nieruchomy. Myal usiadł na trawie, zadowolony z bliskości ognia. Ostro rzeźbiona sylwetka Dro była tarczą chroniącą przed nocą.

– Jak długo masz zamiar czuwać?

– Nie martw się o mnie. Postaraj się tylko przypomnieć sobie, co takiego jej zabrałeś, czym ona się posługuje, żeby wracać. Rusz głową. Chyba jeszcze nie zgłupiałeś z kretelem.

Myal nie zareagował na zaczepkę. Był oszołomiony i wdzięczny za towarzystwo, niemal szczęśliwy. Wreszcie zapytał cichutko wiedząc, że ta prośba zabrzmiała niestosownie:

– Nie masz przypadkiem czegoś do jedzenia?

Myal wynurzył się z krzaków, pedantycznie wyrównując szwy na rękawach, żeby pokryć zakłopotanie. Był bez koszuli i podskakiwał w niedokładnie naciągniętych butach.

– Rozebrałem się i dokładnie przeszukałem ubranie.

Dro stał i patrzył.

– Nie znalazłem niczego, co do niej należało. Niczego. Nawet jednego włosa.

- No dobrze. – Dro odwrócił się.
- Oczywiście nie wierzysz.
- Wierzę ci.
- Może ona tobie coś dała – zuchwale powiedział Myal.
- Zostawiła mi tylko ślad paznokci na twarzy. Który zdążył się zagoić.
- Tak. Szybko się zagoiło, co? Wszystko ci się udaje.

Zjedli resztę chleba i popili wodą ze źródła. Myal zaczął gwizdać, żeby zagłuszyć nieustanne wyrzuty sumienia. Potem zorientował się, że gwizdże piosenkę Ciddey, i mróz przeniknął go do kości.

Dro ruszył w drogę bez uprzedzenia, po prostu wstał i odszedł. Myal poszedł za nim, potulnie jak pies, pełen nienawiści do samego siebie.

Wędrowali brzegiem parowu, który zwężał się i wreszcie zamknął. Zeszli w dolinę, przemierzili ją i weszli w następną dolinę.

Krajobraz tonął w jednakowej, gładkiej czerni. Żaden dym nie wzbijał się w niebo, żaden kamień nie został położony ludzką ręką. Nie było nawet zachwaszczonych pól. Nawet ruin. Jeżeli ktoś tędy wcześniej przechodził, nie zatrzymywał się po drodze i nie pozostawił żadnych śladów.

Myal czuł się coraz bardziej nieswojo. Przez całe życie wędrował z miasta do miasta, z wioski do wioski, z dworu do dworu. Nie nadawał się na takie wyprawy. Nie miał nawet butelki, żeby nabrać wody na zapas ze źródła lub strumienia. Swoją butelkę stracił pół roku wcześniej w pechowej bójce i nigdy nie przyszło mu do głowy, że będzie potrzebował następnej. A jednak wybrał się na poszukiwanie Ghyste Mortua. Na poszukiwanie Tulotefu.

Kiedy po raz pierwszy o tym usłyszał? Kiedy zapragnął ułożyć pieśń o mieście duchów? Nie potrafił sobie przypomnieć.

W każdym razie teraz nie miał już wyboru.

Chociaż przedtem łąził za Dro jak pies dopraszający się o towarzystwo, odkąd postawił na swoim, marzył, żeby od niego uciec. Ale dokąd mógł uciec, jeśli ścigała go ta upiorna zjawia?

Dolina kończyła się stromym, szerokim podejściem. Długi, zakurzony stok porastała wyschnięta, zbielała trawa, od której odcinała się ciemna zieleń pojedynczych drzew. W pobliżu szczytu Myala ogarnęło zniechęcenie na widok urwiska żółtawej gliny. Mięśnie nóg miały zeszywniałe od wczorajszej konnej jazdy. Początkowo rozruszał się w marszu, ale teraz sztywność powracała.

Na szczycie wzniesienia rosły krzaki dzikich porzeczek, obsypane wczesnymi jagodami. Myal zerwał kiść porzeczek i pochłonał je żarłocznie. Potem zerwał następną kiść, po raz pierwszy tego dnia zbliżył się do Dro i z przymilnym uśmiechem wręczył mu podarek.

Ku jego zdziwieniu Dro przyjął porzeczeki i zjadł je, jak gdyby przedtem sam ich nie zauważył.

– Już po południu. Kiedy odpoczniemy? – zapytał Myal.

– No, no – rzucił Dro niemal żartobliwym tonem – chyba jeszcze nie znudził ci się ten piękny spacer?

– Nie rozumiem, dlaczego nie jeździsz konno, skoro masz... skoro jesteś... no, nie rozumiem tego. Przecież stać cię na konia.

– Jeśli zacznę jeździć konno, wkrótce wcale nie będę mógł chodzić – odparł Dro. – Muszę ciągle katować tę przeklętą nogę, żeby utrzymać ją w formie.

– Och. – To osobiste wyznanie sprawiło Myalowi przyjemność, prawie mu pochlebiło. Ośmielony, zagadnął: – Ty chyba znasz drogę do Tulotefu?

– W zasadzie tak. Ale nie wymawiaj tego słowa. Jak myślisz, dlaczego nadano mu inną nazwę?

– Ta druga sprawa – zaczął Myal – ta dziewczyna...

– Nie – przerwał Dro. – O tym również nie wspominaj.

Myal, zmieszany i przestraszony, zastosował się do polecenia.

Podejście ciągnęło się bez końca. Dolina, którą przemierzyli wcześniej, wyglądała z góry jak obcy kraj, odległy i nierzeczywisty, do którego nie ma powrotu.

Matka Myala umarła sześć miesięcy po jego urodzeniu. Kolejny błąd, ponieważ kobieta, która dała mu życie, umarła prawdopodobnie z jego winy. W ten sposób do jego licznych grzechów dodano nieumyślne matkobójstwo. Wychował go, czy raczej wytresował, okrutny ojciec. W wieku dwunastu lat Myal uciekł z domu. Nadal uciekał. Nadal również kradł; jego pierwszym złodziejskim łupem był muzyczny instrument – ukradziony po raz drugi. Przedtem ważył się tylko na drobne kradzieże, zachęcany do tego pasem w ojcowskim ręku.

Słońce zniżyło się i zapadł zmierzch, a oni wciąż wspinali się po pochyłości, na którą weszli godzinę przed południem. Myal doszedł do wniosku, że samo życie jest jak beznadziejna wspinaczka. Nogi i plecy bolały go coraz bardziej, chociaż parokrotnie zatrzymywali się pod drzewami na krótki wypoczynek. Nie rozumiał, jakim cudem kulawy Dro mógł maszerować tak obojętnie, z takim chwiejnym, niedbałym wdziękiem. Myal zaczął podejrzewać, że Dro narzuca mordercze tempo po prostu na złość swemu towarzyszowi.

Co zrobi, jeśli się zatrzymam?

Myal przystanął. Dro jak gdyby tego nie zauważył. Szedł dalej, zanurzając się w gęstniejący zmierzch.

– Hej – wrzasnął Myal. – Hej!

Spłoszony ptak poderwał się z drzewa. Dro przystanął, ale nie obejrzał się. Myal zawołał do niego:

– Nie idę dalej. Robi się ciemno.

Potem uświadomił sobie, że Dro zatrzymał się wcale nie ze względu na niego.

Myal absurdalnie zdołał prawie zapomnieć o zjawie, ponieważ zabroniono mu o niej wspominać. Uczucie niepokoju, które powróciło wraz z nastaniem ciemności, tłumaczył sobie jako zwykłą obawę przed kolejnym noclegiem na gołej ziemi, wśród dzikich zwierząt i bez kolacji. Ciddey Soban została zepchnięta do najgłębszych zakamarków świadomości. Myal nie chciał o niej myśleć.

Ale teraz przypomniał sobie wszystko, z oczywistych przyczyn.

Dro wyprzedzał go o pięćdziesiąt stóp. A trochę dalej, jakieś czterdzieści stóp przed Dro, dziewczyna wspinała się lekko na zbocze. Nie obejrzała się, nie zawahała, nie groziła, nie szydziła. Po prostu szła przed siebie, blada jak wschodząca gwiazda. Ciddey. Straszna, niezmienna Ciddey.

Myal z trudem przełknął ślinę. Podszedł do Dro powoli, ostrożnie, jak gdyby stapał po cienkim lodzie. Gdyby zjawa odwróciła się, gotów był znieruchomieć, zmienić się w drzewo, schować się w mysią dziurę...

Nie odwróciła się.

Myal zatrzymał się obok Dro i przez zasłonę ciemności spojrzął na niewzruszoną twarz zabójcy duchów.

– To nie moja wina – szepnął.

Dro mówił cichym głosem, ale nie szeptał.

– Może. Ona nie powinna się pojawiać bez łącznika. Chyba nic takiego nie ma. A jednak wróciła.

– Chcesz, żebym jeszcze raz zagrał piosenkę od końca?

– Nie. Chyba nie ma sensu. Myślę, że poprzednim razem ona odeszła tylko ze względu na etykietę.

– Co zrobimy?

– Pójdziemy za nią. Właśnie o to jej chodzi. Może dowiemy się czegoś, jeśli zdamy się na jej wolę.

– Dokąd... dokąd ona idzie?

– A jak myślisz?

– Do Tulo... do Ghyste.

– Do Ghyste. Pewnie zna drogę. To dość logiczne.

– We wszystkich bajkach – powiedział Myal – złe duchy zawsze ścigają ludzi, a nie prowadzą. Co będzie, jeśli ona się zatrzyma?

– Zamknij się – rzucił Dro cichym głosem. – Idziemy.

Myal ruszył przed siebie, zapominając o obolałych mięśniach.

Szli za Ciddey Soban, a ona prowadziła ich przez czarną jaskinię nocy.

Potem czarna jaskinia nocy pochłonęła ją i zamknęła się bezgłośnie, i Ciddey znikła.

Początkowo czekali, rozglądając się za nią. Wyżej na zboczu rosły drzewa, które, zasłaniały im widok. Po chwili obaj bez słowa ruszyli dalej pomiędzy drzewami. Nie zobaczyli nic, ciemność znowu była pusta. Za drzewami grunt obniżał się i po drugiej stronie opadał w ciemną, bezksiężycową, aksamitną otchłań, jak gdyby w tym miejscu kończył się świat, chociaż prawdopodobnie w dole leżały lasy. Spojrzeli w dół.

– Odeszła – stwierdził Myal. Coś mu się przypomniało. – Jeśli ona posługuje się mną, żeby wracać, tym razem tego nie czułem, ani poprzednio. Tylko wtedy, w zajeździe u kapłanów, kiedy byłem chory.

– To dlatego, że przyzwyczajasz się do utraty energii. Wtedy niebezpieczeństwo jest największe.

– Dziękuję za pocieszenie. Od razu mi ulżyło.

Myal usiadł na trawie, objął ramionami kolana i oparł głowę na rękach. Pomimo własnych słów był wyczerpany i czuł tępy strach.

– Zostaniemy tutaj na noc – oświadczył Dro.



- Cóż za przyjemna niespodzianka.
- Będę czuwał przez trzy godziny. Potem twoja kolej.
- Ja nie nadaję się na wartownika. Jeszcze coś zobaczę i wystraszę się na śmierć.
- Jeśli coś zobaczysz, obudź mnie. Staniesz na warcie.
- No dobrze, stanę na warcie.

Godzinę później wszedł księżyc otoczony ławicą chmur.

Myał spał twardo. Dro siedział zupełnie nieruchomo i spoglądał w dal, prawie nie mrugając oczami, niczym legendarny strażnik, którego przeznaczeniem jest czuwać przez wieczność.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

– Och, Myal – powiedziała dziewczyna i czule polizała go w ucho. – Och, Myalmyalmyal.

Myal obudził się, przestraszony i podniecony.

– Kto mnie wołał?

– Och, Myal – zamruczała dziewczyna. – Ochmyal.

Leżała obok niego, oparta na łokciu. Jej popielate włosy muskały mu twarz. Rozpoznał ją natychmiast i zmartwił z przerażenia. Potem go olśniło. Proste, oczywiste wytłumaczenie. Obaj się mylili, Myal i Dro. Ciddey wcale nie umarła.

Kiedy wyciągnął ją z wody, uratował jej życie, właśnie tak, jak tego rozpaczliwie pragnął. Wprawdzie nie odzyskała przytomności od razu, ale to nic dziwnego. W słabym świetle, pod wpływem gorączki i zdenerwowania zdawało mu się, że jej twarz wygląda jak twarz topielca. Nie, Ciddey żyła i odnalazła ich jakimś sposobem. Grała komedię przed Dro, żeby go ukarać. Ale postanowiła powiedzieć prawdę Myalowi, który ją uratował.

– Ty nie umarłaś – wymamrotał, wypowiadając na głos swoje myśli.

– Miło, że tak mówisz. – Pocałowała go leciutko w policzek.

Myal zadygotał z pożądania i ze strachu. A potem przypomniał sobie o Parlu Dro. Rozejrzał się i wkrótce spostrzegł ciemną, niewyraźną sylwetkę rozciągniętą pod drzewem. Przecież Dro miał czuwać. A może to była kolej Myala? Czyżby Myal zasnął na warcie?

– Chcę, żebyś poszedł ze mną – powiedziała Ciddey Soban, dotykając go ponownie żywymi, prawdziwymi, lodowatymi wargami.

– No, właściwie powinienem...

– Nie sprzeczasz się. Wiem, że ci się podobam. Chodźmy razem na spacer. Nie masz ochoty? Tam, do lasu. To niedaleko.

– No dobrze.

Córka Siwego Księcia również zabrała go na spacer do lasu. Wylądowali na kupie zeschniętych liści i w rezultacie parę miesięcy później Myal musiał uciekać nocą, ścigany przez trzydziestu pijanych, rozwścieczonych ludzi księcia z mastyfami. Jakimś cudem udało mu się uciec. Jakimś cudem zawsze mu się udawało. Może wcale nie był takim pechowcem.

Z udawaną nonszalancją ujął małą, zimną dłoń dziewczyny i pozwolił sprowadzić się ze zbocza. Wstając, niemal odruchowo zarzucił instrument na ramię. Teraz zataczał się pod ciężarem pudła, potykał się na nierównym gruncie i od czasu do czasu zderzał się z dziewczyną, co bynajmniej nie było przykre. Z każdą chwilą odczuwał coraz większe podniecenie i niepokój. Zanim weszli pod arkadowe sklepienie lasu, który rósł u podnóża stoku, Myal był jak w gorączce, co chwila wybuchał niemądrym śmiechem, wykorzystywał każdą okazję, żeby otrzeć się o dziewczynę, słyszał łomotanie własnego serca i nie zwracał uwagi na zimny, okropny, ostrzegawczy głos rozsądku brzęczący natrętnie w jakimś zakamarku świadomości.

Ona również, uratowana Ciddey, wydawała się rozgorączkowana. W miękkim półmroku lasu odwróciła się i objęła go. Pocałunek był długi, bardzo długi, zimny i rozkoszny. Ich ciała stopiły się w jedno i nie chciały się rozłączyć. Spleceni w miłosnym uścisku na chwilę zamienili się w dyszące, rozdygotane, wstrząsane nieustannym orgazmem drzewo.

Ale wtedy dziewczyna oderwała się od niego. Roześmiała się kpiąco i pobiegła nawą pomiędzy żywymi kolumnami drzew. Naturalnie Myal

popędził za nią. W smugach blasku i cienia jej jasna sylwetka wydawała się migotać jak płomień na wietrze. Potem nagle znikła.

Myał zapomniał już o poprzednich spotkaniach z przerażającą zjawą. Biegł dalej wykrzykując jej imię, ogarnięty gniewem, chociaż zdawał sobie sprawę, że ona tego właśnie chciała. Będzie go zwodziła, kusila, drażniła, doprowadzała do rozpacz. Dopiero kiedy porządnie go wymęczy i zamąci mu w głowie, wtedy ulegnie.

Po chwili odnalazł ją. Ta dziewczyna opanowała do perfekcji sztukę drażnienia, kuszenia i uwodzenia.

Pośród drzew leżał staw, czarny i lśniący jak wypolerowany odłamek nocnego nieba, który spadł na ziemię. I rzeczywiście w górze widać było białą, półokrągłą dziurę, ślad po oderwanym kawałku ciemności.

Księżyc oświetlał pełnym blaskiem Cidde stojącą pośrodku stawu, po kolana w wodzie. Wyglądała jak roślina wyrastająca ze stawu, smukła łodyga uwieńczona kwiatem twarzy. Włosy miała mokre, pociemniałe na końcach od wilgoci, ale odgarnęła je z twarzy i przerzuciła na plecy. Przemoczona sukienka zrobiła się przezroczysta jak papier i Myał wyraźnie widział nagie ciało, przeświecające przez cienką tkaninę jak przez dym. Dziewczyna rozchyliła usta, uśmiechnęła się, rzuciła mu powłóczyście spojrzenie. Przywołała go niecierpliwym gestem, a on również drżał z niecierpliwości. Mimo wszystko zawahał się, chociaż pragnął do niej podejść. Nie podobała mu się ta lśniąca tafla wody, tak zimna, tak dziwnie spokojna, chociaż stała tam dziewczyna, przyglądając długie włosy, przywołując go.

– Tutaj? – zapytał ochryple i niemądrze.

– Tak, och, tak – jęknęła.

Na dźwięk jej głosu ogarnęło go tak gwałtowne pożądanie, że nie mógł dłużej się wahać. Z pluskiem wskoczył do wody, zaciskając zęby i pięści z

zimna. Przez chwilę myślał, że Ciddey znowu zacznie przed nim uciekać, ale ona wyciągnęła do niego ręce, jak gdyby sama nie mogła podejść bliżej, jak gdyby jej stopy wrosły w muliste dno stawu.

Dotarł do niej i chwycił ją w objęcia. Instrument walnął go po plecach. Gratulacje. Jej ramiona oplótły go jak węże i przez chwilę wyobraził sobie wszystkie okropne następstwa tego czynu, nieuniknione udręki i komplikacje, ale fala rozkoszy zagłuszyła lęk. Potem nadejdzie inny lęk – obawa przed rozczarowaniem, przed porażką, która może zniszczyć najwspanialsze przeżycia – ale na razie było mu wszystko jedno. Nawet nie zaczął jeszcze zastanawiać się nerwowo, jak sobie poradzą w tej sytuacji, skoro nie ma gdzie się położyć ani na czym się oprzeć, tylko woda i muł pod nogami.

Zatonął z jękiem, oczy, dłonie, usta pełne dziewczyny. Widział tylko błądź i ciemność, czuł tylko zapach jej skóry i włosów. Dotyk jej rąk był nieznośny i upragniony, i jego ręce robiły czary na jej skórze, a jej ręce robiły czary w jego włosach, na plecach, wzdłuż boków, zamykały go w palącym uścisku, w jedynej pozycji, którą pragnął osiągnąć, zachować, utrzymać, przedłużyć aż do śmierci...

Woda eksplodowała.

Piorun chwycił go za włosy, za ramię, odciągnął go do tyłu. Złączone ciała rozdzieliły się jak rozdarta tkanina. Miał wrzasnął obłąkańczo i usłyszał własny głos. Zamachał pustymi rękami, zatoczył się, upadł. Woda zakryła mu głowę; zakrztusił się walcząc o dostęp do powietrza. Coś wyciągnęło go z wody, obróciło go. Zachwiał się od silnego uderzenia w twarz. Znowu stracił równowagę i upadł na jakąś twardą, sprężystą masę, która pociągnęła go za sobą.

Oślepiiony, półprzytomny, rozpaczliwie łapiąc oddech wylądował na czworakach na twardym gruncie. Kaszlał i wypluwał wodę. Instrument

również wypluwał wodę z pudła. Kiedy odzyskał wzrok, zobaczył przed sobą cztery smukłe końskie nogi, wbijające podkowy w ziemię. Za nimi dostrzegł cztery następne nogi, i jeszcze cztery.

Rozkosz zmieniła się w tępy fizyczny ból. Czuł się chory. Czuł się przestraszony. Stopniowo uświadomił sobie milczenie dziewczyny i obejrzał się na nią. Jej twarz była maską przerażenia i wściekłości.

Pokonując własne przerażenie Myal podniósł wzrok wyżej, ponad końskie nogi.

Trzej mężczyźni na koniach ubrani byli w kolczugi i szerokie płaszcze, złożone jak skrzydła. Na dłoni lub nadgarstku błyszczał ciemny klejnot, inny jarzył się mętną czerwienią. Nieprzyjazne twarze, wykute z marmuru, nieprzyjaźnie obramowane utrefionymi włosami, spojrzały na Myala, potem na staw i dziewczynę.

– Ty – powiedział jeden z mężczyzn, nie patrząc na Myala.

– Ja? – zapytał Myal.

– Jesteś głupcem. Po coś tam polazł? Nie odróżniasz żywego ciała od nekrofilii?

Myal zachłysnął się. Odczołgał się w krzaki i próbował zwymiotować. Nikt mu nie przeszkadzał. Leżał wstrząsany suchymi torsjami, niewyraźnie słysząc gniewne głosy. Trzej mężczyźni, z wyglądu dworzanie jakiegoś barona czy księcia, krzyczeli na dziewczynę w stawie. Obrzucali ją plugawymi wyzwiskami, wśród których powtarzało się pogardliwe określenie „żywomór”. Nie bali się jej, to było oczywiste. Sплюwali na ziemię i nazywali dziewczynę złodziejką. Grozili jej niesamowitymi karami, które miały jakiś związek z grobem, robactwem, ogniem, kołem. A ona, ona odwrzaskiwała im coś piskliwie jak nietoperz.

Myal opadł na bok i zwinął się w kłębek z kolanami pod brodą, przyciskając łopatką instrument. Niejasno zapragnął uciec, wydostać się z

lasu i wrócić do Dro. Zanim na dobre uświadomił sobie ten zamiar, jeden z jeźdźców zbliżył się, przechylił się w siodle, złapał Myala i wyciągnął go z krzaków na otwartą przestrzeń. Jeździec spiorunował wzrokiem Ciddey.

– Są kary dla tych, którzy zadają się z umarlakami. Tutaj lasy roją się od tych przeklętych żywomorów. Nie wiedziałeś o tym? Kto ochrania żywomory, zasługuje na to, żeby przyłączyć się do nich. Nie puszczamy tego płazem. Chcesz wiedzieć, jakie to kary?

– Nie, dziękuję – odparł grzecznie Myal.

– I tak ci powiem. Pewna szkoła myślenia zaleca obcięcie tej części ciała, która zawiniła... powiedzmy ręki, jeśli podałeś im rękę, ucha, jeśli ich słuchałeś, języka, jeśli do nich mówiłeś. W twoim przypadku amputacja będzie dość paskudna, zważywszy na rodzaj przestępstwa, które chciałeś popełnić.

To zabrzmiało tak okropnie, że to musiał być żart.

Myal roześmiał się pokonując mdłości. Mężczyźni wybuchnęli głośnym śmiechem i krążyli wokół niego na koniach, aż zakręciło mu się w głowie. Potem jeden z nich spiął konia ostrogami i wskoczył do stawu. Koń wyglądał przerażająco: wytrzeszczone oczy, rozwiana grzywa, wyszczerzone żółtawe zęby. Kiedy przednie kopyta uderzyły w wodę, dłoń jeźdźca sięgnęła do rękojeści miecza. Myal zobaczył białą twarz Ciddey, na którą spadał miecz. Wyobraził sobie, jak ostra, bezlitosna stal rozcina skórę i kości, szarozielone oczy, usta stworzone do pocałunków. Ktoś narzucił mu worek na głowę i jej krzyk zmienił się w długi, cienki gwizd, jak długa, cienka nić, a potem ucichł.

Myal ocknął się z twarzą w końskiej grzywie. Leżał w niewygodnej pozycji na grzbiecie konia, ręce miał bezpiecznie związane pod końską szyją.

Koń galopował. Dwa pozostałe wierzchowce pędziły po obu stronach. Koń po prawej niósł dwóch jeźdźców, lewy również wydawał się dziwnie przeciążony, ale bliższy jeździec mocno trzymał w garści wodze konia Myala.

Wszystko się skończyło, nieuchronnie, żałośnie, strasznie i niesprawiedliwie.

Przecież kiedy zabili dziewczynę, na pewno zorientowali się, że nie była duchem? Może to ich jeszcze bardziej rozwścieczyło. Czy drugi koń niósł jej trupa? Pewnie wszyscy, którzy mieszkali tak blisko legendarnego Ghyste, przesadnie obawiali się zjaw. Myal powinien był to przewidzieć, tak samo jak Ciddey.

Ciddey...

Wspomnienie dziewczyny napełniło go nagłym lękiem. Nie dlatego, że zginęła od miecza, ale ponieważ... ponieważ... Czyżby ci szaleńcy mieli rację? Może miecz był poświęcony i służył do egzorcyzmów – Myal słyszał i nawet śpiewał o takich rzeczach. Jeśli ona była martwa... Myal znowu o mało nie zemdlał. Wysiłkiem woli powrócił do rzeczywistości.

– Dokąd jedziemy? – zapytał jeźdźców, którzy mu towarzyszyli. Pytanie było znajome. O to samo pytał Dro tego ranka, kiedy miał gorączkę, również wisząc na końskim grzbiecie. Dro nie odpowiedział. Jeden z jeźdźców udzielił mu odpowiedzi, na swój sposób.

– To niespodzianka. Jesteś ciekawy?

Koń przeskoczył nad jamą w ziemi. Myal pośliznął się, instrument walnął go w plecy, koński ogon smagnął go po twarzy.

A więc nie stracił instrumentu. Zaczął go przeklinać z histeryczną ulgą.

Wszystko inne było przerażające, a Myal był bezradny. Równie dobrze mógł znowu zemdleć, skoro nie pozostało mu nic innego. Jeszcze raz stoczył się w ciemność.



– Nie – powiedział jakiś głos.

Ktoś wykręcił mu głowę. Czarny, palący napój spływał mu do ust. Myal przełknął, zakrztusił się, przełknął. Konie stały nieruchomo. Widocznie podróż się skończyła. Dotarli do celu.

Myal otworzył oczy.

Leżąc w niewygodnej pozycji, twarzą do dołu, nie mógł się należycie rozejrzeć, ale zdawało mu się, że stoją na jakimś moście czy gościńcu. Z tyłu leżała ciemność, strzeliste wieże i wieżyczki lasu. Z przodu widać było światła.

Jeden z mężczyzn pochylił się nad Myalem, całkowicie zasłaniając mu ograniczony widok.

– Nie, nie możesz znowu zemdleć.

– Przepraszam – wymamrotał Myal.

– Chcemy, żebyś wjechał dumnie wyprostowany. Nie możemy być dumni z jeńca, który beczy, mdleje i zwisa z konia jak worek siana.

– Rozumiem.

– Jeśli będziesz grzeczny, pozwolimy ci usiąść prosto.

– A kiedy przejedziemy przez bramę – dodał gładko inny – możesz trochę pokrzyczeć i poprzeklinać. Pokażesz, jaki jesteś dzielny, jak walczysz o wolność. Rozumiesz?

– A my zwiążemy cię i zmusimy do posłuszeństwa. To będzie dobrze wyglądało. Ty też.

– Wolałbym... – zaczął Myal.

Przerwał mu jakiś głos.

– Mam lepszy pomysł – powiedział ten głos.

Myal nie mógł bardziej wykręcić głowy, nie mógł się obejrzeć. A potem już nie potrzebował.

– No – powiedział pochylony mężczyzna – jaki masz pomysł, Ciddey?

– Zawiążę mu wstążkę na szyi – powiedział głos Ciddey – i poprowadzę go jak na smyczy. Wy możecie iść z tyłu.

Mężczyźni wybuchnęli śmiechem. Śmiech był ciemny i złowrogi.

– Śmiało sobie poczynasz jak na przybysza – zauważył któryś.

Ciddey nie roześmiała się. Zeskoczyła z drugiego konia i podeszła do Myala, który gapił się na nią, boleśnie wykręcając głowę.

– Co za szkoda – oświadczyła. – Chyba nie mam przy sobie wstążki.

Nagle więzy krępujące Myala opadły, rozwiązane lub przecięte przez któregoś z mężczyzn. Myal leżał ze zwisającymi bezwładnie ramionami, dopóki nie posadzono go prosto.

– Czy jesteś zdumiony, Myalu Lemyalu? – zapytała Ciddey Soban. Położyła mu rękę na udzie. Jej dłoń była zimna jak śnieg. – Oni mnie nie zabili. To była próba. Oni zabijają. Ale nie... przyjaciół.

Wtedy Myal podniósł wzrok.

Zobaczył strome mury z blankami, mocne bramy, światła lamp, które zaćmiewały gwiazdy i pomniejszały księżyc. A daleko w dole zobaczył brzeg ogromnego jeziora, chociaż z tego miejsca widział tylko dwa spośród gwiazdziste rozgałęzionych kanałów.

Jeden z mężczyzn poklepał go po ramieniu twardą, lodowatą dłonią. Teraz Myal wiedział już wszystko. Zupełnie niepotrzebnie każdy z nich po kolei powiedział uprzejmym tonem:

– Witamy w Tulotefie.

Po okresie niepamięci Parl Dro otworzył oczy.

Kazał się obudzić za trzy godziny, ale nie spodziewał się, że Myal wytrzyma tak długo. Wewnętrzny zegar Dro obudził go dokładnie o czasie.

Po paru sekundach Dro był całkowicie przytomny, czujny, milczący i nieruchomy. Na razie leżał spokojnie i rozglądał się. Od razu zauważył, że muzykant zniknął, chociaż zostawił instrument oparty o drzewo. Pas od

instrumentu leżał na ziemi jak wystrzępiony, haftowany ogon. Można było przypuszczać, że Myal oddalił się powodowany naturalną potrzebą, gdyby nie dziwna atmosfera panująca wokół. Wszystko zdawało się nieuchwytnie dźwięczeć i lśnić, jak minerał, który spadł z nieba.

Wkrótce Dro usiadł, wstał, podszedł do instrumentu. Trawa pod drzewem była jeszcze zgnieciona, jak gdyby ktoś tu leżał przez całą noc. Myal zasnął na warcie, zgodnie z ponurym przypuszczeniem Dro. Patrząc na te ślady Dro odebrał znajomy sygnał. Włosy stanęły mu dęba, miał wrażenie, że jakieś maleńkie zwierzątka przebiegły mu po kręgosłupie.

Parł Dro stał i patrzył w dół, na morze drzew falujących w dolinach. Księżyc dawno wzeszedł, ale prawie nie było wiatru, który mógł przynieść na przełęcz stłumione odgłosy leśnego życia.

Potem Dro usłyszał wysoki, czysty dźwięk – śpiew ptaka? głos trzciny fujarki? – przeszywający jak igła leśny gąszcz o milę poniżej.

Nic więcej się nie działo albo Dro nic więcej nie usłyszał.

Ogień prawie wygasł. Dro szybko i starannie zdeptał ognisko.

Podniósł instrument Myala, trzymał go przez chwilę, wreszcie niechętnie zarzucił go na plecy. Dotyk, ciężar, kształt i aura instrumentu drażniły go, jak gdyby wtargnął do cudzego świata.

Nagle Dro rzucił w ciemność plugawe przekleństwo. Potem chwiejnie zaczął schodzić z przełęcz w stronę lasu. Zbocze opadało niemal pionowo, grunt był zdradliwy. Wkrótce, kilka stóp dalej, Dro potknął się o coś w krzakach, spojrzał w dół i zobaczył ciało Myala Lemyala.

Był kulawy, a teraz dźwigał na jednym ramieniu dodatkowy ciężar piekielnej harfy, a na drugim ramieniu nieprzytomnego człowieka. Co prawda człowiek był chudy i dość lekki. Mimo wszystko wolałby tego uniknąć.

Prymitywny, kręty szlak wił się przez las, jak gdyby ktoś rzucił na ziemię kilka kłębków sznurka, pozwolił mu się rozwinąć, a potem zmienił go w ścieżkę. Noc wyhodowała w lesie drugi las, zasadziła o zmierzchu nasiona ciemności, z których szybko wyrosły wysokie, rozłożyste drzewa, blokujące każde przejście.

Dro minął wyschnięty staw, jamę zarośniętą mchem i chwastami, gdzie niegdyś migotała tafla wody. Nadal pozostało tu jakieś upiorne migotanie. Krzyk, który Dro słyszał na przełęczy, dochodził właśnie z tego miejsca.

Wtedy Dro ruszył przed siebie niematerialnym tropem, wąziutką ścieżką oślepiającego blasku, którą tylko on mógł dostrzec.

Księżyc zachodził za jego plecami, ledwie widoczny spoza drzew. Raz lis przeciął niewidzialny szlak, mrużąc ślepią i jeżąc sierść, wyczuwając wibracje żywomorów, które płonęły jak ogień na źdźbłach trawy.

Wreszcie nadszedł świt.

Z mdlącą ulgą i z gniewem Dro poczuł, że trop rozpływa się na ziemi i w powietrzu.

Drzewa nocy zasadzone wśród prawdziwych drzew zaczęły kurczyć się i zniknąć. Spoza nich przesączała się różowość poranka. Wszędzie otwały się nowe, wielkie przestrzenie, las był jak wyrzeźbiony, znikły wszystkie nocne koszmary i znikła także upiorna, błyszcząca droga do Ghyste Mortua, ślad pozostawiony przez zmarłych.

Dro zaklął tak samo jak przedtem. Zrzucił z ramion ciało muzykanta, które upadło bezwładnie na ziemię obok instrumentu. Usiadł na zwalonym drzewie i powoli wyciągnął przed siebie kulawą nogę, która zmieniła się we wrzeszczące ognisko bólu.

Siedział i patrzył na las skąpany w różowych blaskach. Ptaki nurkowały w kałużach światła, ale on nie słyszał ich głosów, tak głęboko pogrążył się we własnym cierpieniu.

Nie słyszał również trzasku gałęzi. Czy raczej usłyszał, ale nie zareagował od razu. Kiedy wreszcie dostatecznie wyraźnie uświadomił sobie czyjąś obecność, odwrócił się i zobaczył kobietę stojącą dziesięć stóp dalej. W rękach trzymała dwa sznury, przymocowane do prymitywnych sanek wyładowanych chrustem. W porannym słońcu przez kontrast wydawała się stara jak ziemia. Czarnooka, okryta czarnym płaszczem, mogła być starszą siostrą Dro.

– Ładny dzień – odezwała się głosem jak zardzewiałe żelazo.

– Uhm.

Rzuciła sznury i podeszła bliżej.

– Ale nie dla ciebie – zauważyła.

Sztywno, jakby nie tylko głos miała zardzewiały, uklękła przed nim na ziemi i ścisnęła w wyschniętych dłoniach jego obolałą, rozpaloną nogę. Każdy inny człowiek na miejscu Dro wrzasnąłby z bólu. Wyczuwając to starucha powiedziała:

– Zaufaj mi. Zobaczysz.

Zobaczył. Nieznośny ból przeszył całe ciało, dotarł do gardła i zniknął. Jakieś chłodne ciepło płynęło powoli z rąk starej kobiety. Miętosila i wykręcała mięśnie jego łydki aż do kości. Potężne fale bólu odpłynęły zastąpione przez fale chłodnego ciepła. Dro oparł się o drzewo i prawie zasypiał, ale świadomie trwał na krawędzi snu. Po długiej, cudownej chwili kobieta cofnęła ręce. Usiadła na ziemi, zsunęła kaptur z głowy i zaczęła zaplatać cienkie kosmyki ciemnosiwych włosów.

– Zasługujesz na więcej niż podziękowanie – powiedział Dro. – Jakiej zapłaty zwykle żądasz?

Rzuciła mu szybkie spojrzenie.

– Trzy monety po trzydzieści pensów.

Dro uśmiechnął się nieznacznie. Staruszka była uboga. Dziewięćdziesiąt pensów oznaczało dla niej fortunę. Na samą myśl jej twarz przybrała dziki, zachłanny wyraz.

– Według mnie to za mało.

– To dość. Kuracja nie wystarczy na długo.

– Wiem.

Zaczął szukać pieniędzy po kieszeniach. Ręce poruszały się ociężale i trudno było liczyć monety.

Złote plamki tańczyły na liściach. Dro leżał i spoglądał na korony drzew. Pragnął tak leżeć przez wieczność, w końcu jednak wstał. Tępy, znajomy, znośny ból obudził się w nodze. Dro spodziewał się tego. Chociaż przez chwilę czuł się uzdrowiony, żadne lekarstwo nie mogło całkowicie uwolnić go od tego bólu. Wyciągnął rękę i położył pięć trzydziestopensowych monet na kolanach kobiety.

– Dobrze – powiedziała. – To wystarczy. – Popatrzyła na ciało Myala Lemyala rozciągnięte w trawie. – Dokąd go niosłeś? Do domu, na pogrzeb?

Dro niejasno uświadomił sobie jej miejsce w porządku rzeczy. Spotykał już dziewice i dojrzałe kobiety. Ta była staruszką. Panna Morska, Królowa Ognia i teraz ona, Królowa Mieczy. Rzeczywiście siostra.

– On żyje – powiedział cicho Dro.

– Wygląda jak trup. Nie oddycha. Nie słychać serca.

– Jego serce bije. Raz na kilka minut.

– No, coś podobnego – powiedziała królowa staruszka. Wstała i podeszła do Myala. Pochyliła się, stęknęła, uklękła i pogłaskała go po włosach.

– Więc jesteś w transie, maleńki? – zapytała łagodnie. – Biedne maleństwo. Luli–luli. – Potem oderwała dłoń od włosów Myala. – Jest tu coś...

– Ghyste Mortua – wyjaśnił Dro.

– Tak, tak – rzuciła niecierpliwie. – A ty jesteś zabójcą duchów, a to jest minstrel, który chce ułożyć pieśń o Ghyste i zostać sławny. Nie ostrzegałeś go? On nigdy nie odniesie sukcesu. Jest za dobrym muzykiem, żeby zdobyć sławę czy popularność. To geniusz. Nigdy nie zdobędzie uznania w swoich czasach. Uznajemy tylko dobrych i bardzo dobrych, ale nie najlepszych. Najlepszych doceniamy dopiero wtedy, kiedy umrą i przestaną nam zagrażać, kiedy już nie mogą nas skrzywdzić. Nie należy oklaskiwać magika. Na następnym przedstawieniu magik może połknąć świat. Ach! – wykrzyknęła. – Serce raz uderzyło. Tak, zobaczyłam to na szyi. Pomóż mi położyć go na sankach.

– Jeśli zostawię ci pieniądze – powiedział Dro – możesz zaopiekować się nim, kiedy odejdę.

– Nie ciekawi cię przyczyna tego transu? – zagadnęła starucha.

– Żywomór na nim żerował.

– To coś więcej. Pomóż mi położyć go na sankach.

Dro przeszedł obok niej, podniósł Myala i położył go na plecach na stosie gałęzi, które ugięły się z trzaskiem. Zrzucił na ramię instrument i ujął sznury. Noga odezwała się cierpkim bólem, łatwym do zignorowania.

– W którą stronę?

Starucha kiwnęła głową. Kuśtykając poprowadziła go na południe pomiędzy drzewami.

Dziesięć minut później weszli na polanę. Promienie słońca kładły złociste plamki na ścianach kamiennej chaty. Chata miała już kilkadziesiąt lat, fundamenty wyraźnie zapadły się w ziemię. Barwne zioła czy też chwasty kwitły na grządce obok krzywych drzwi. Przed chatą stał drewniany słup, na którym umocowano dwie wyblakłe gipsowe dłonie złączone uściskiem, widocznie miejscowy znak znachora. Na krzywych drzwiach nabazgrano nierówno trudne do odczytania słowa: DOM KUNY.

Dro zastanowił się przelotnie, kto tutaj przychodzi. Prawdopodobnie w pobliżu znajdowało się miasto lub wioska, chociaż z przełęczy Dro nie widział żadnych ludzkich osiedli. A może miasto zginęło pochłonięte przez drzewa, pokonane przez biedę, głód lub zarazę. Pozostała tylko ta stara kobieta, której jakoś udało się przeżyć, chociaż to graniczyło z cudem.

Starucha pchnęła drzwi i gestem poleciła Dro wciągnąć do środka sanki z nieprzytomnym mężczyzną. Izba była mroczna, wciąż pełna nocy. Pachniała wilgocią, dymem ogniska i dymem dwóch łożowych świec, które wkrótce zapaliła starucha. Czuło się również zapach ziół, rosnących w doniczkach, garnkach i kociołkach. Sterta łachmanów w kącie stanowiła posłanie, na którym Dro położył Myala.

Kuna – widocznie tak nazywała się starucha – podeszła i popatrzyła na Myala, który wydawał się martwy jak głaz, a jednak żył.

– Czy on potrafił sam wprowadzać się w trans? – zapytała.

– Nic o tym nie wiem.

– Znałeś go dobrze?

– Nie. Ale wystarczająco, żeby to wiedzieć.

– To nie duch doprowadził go do takiego stanu – oświadczyła Kuna. – To był ktoś żywy. Znachor. Zielarz. Spotkaliście kogoś takiego, he?

– Tylko jedną dziewczynę, a ona nie żyje.

– Pewien narkotyk ma takie działanie – ciągnęła Kuna. – Pod jego wpływem życie gaśnie jak lampa, ale ciągle tli się jakaś iskierka. Przy spirytystycznych zdolnościach można w ten sposób uwolnić duszę. Wiesz, co to znaczy, zabójco duchów? To znaczy, że masz do czynienia z duchem człowieka, który jeszcze żyje.

– Zgadza się. Ale jak ona to zrobiła?

– Powiem ci. Za chwilę. Masz nóż?



Dro popatrzył na nią uważnie, potem wyjął nóż i podał go rękojeścią do przodu. Roześmiała się bezgłośnie na tę uprzejmość, Potem pochyliła się i przejechała nożem przez pierś Myala Lemyala. W słabym świetle Dro dopiero po chwili zorientował się, że nóż rozcina koszulę, nie ciało. Starucha delikatnie rozchyliła nożem tkaninę, nie dotykając jej palcami. Z rozerwanej kieszeni wypadło na ciało Myala kilka drobnych przedmiotów: miedziana moneta z dziurką pośrodku, obtłuczona kostka do gry, kłębek drutu, który na pewno miał coś wspólnego z instrumentem, gliniana figurka psa.

Dro od razu rozpoznał psa, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie go wcześniej widział. Najpierw zobaczył go przywiązanego do koła wozu. Potem zobaczył Cinnabar przy garncarskim piecu, lepiącą psa z gliny.

Kuna ostrzem noża odsunęła figurkę na bok. Błady, ledwo widoczny ślad pozostał na ciele Myala w miejscu, gdzie leżał pies. Podarta kieszeń była wilgotna.

Dro mimo woli pochylił się do przodu.

– Nie dotykaj – ostrzegła go Kuna. – Ten zwierzak jest z gliny, a glina jest porowata. Narkotyk został wlany do środka, a potem przesączał się powoli przez glinę, ubranie i skórę. Trucizna dotykowa. Nie trzeba jej pić, wystarczy dotknąć. Działa bardzo skutecznie, zwłaszcza że on nosił ją na sercu. Stopniowo, rozumiesz, krok po kroku... a potem puff! Człowiek gaśnie jak świeczka i dusza odlatuje. Widocznie naraził się tej kobiecie. Latał za kobietami, co?

– Raczej nie. Możesz go ocucić?

– Raczej nie. Zabiorę glinianego psa i trucizna przestanie wnikać przez skórę. Wiemy, że on ma nadnaturalne zdolności. Jeśli jest dostatecznie silny, jego dusza będzie próbowała wrócić. Albo i nie. W każdym razie to będzie trwało wiele dni. Dni i nocy.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Słońce przesunęło się i jasne światło wpadło do chaty przez otwarte drzwi.

Kuna zaparzyła ziołową herbatę, przecedziła ją do małego żelaznego kubka i podała Dro. Widocznie ani w chacie, ani na zewnątrz nie było nic do jedzenia. Nie było nawet grzybów, nie mówiąc już o krowach, kurach, jabłkach czy winogronach. Kuna widocznie żywiła się herbatą.

Zielony, słodko-kwaśny napój obudził w Dro bolesne wspomnienia. Podobnie smakowała herbata, którą gotowała babka Silky w tamtym czyściutkim domku, prawie przed trzydziestu laty.

Przez długi czas nie rozmawiali. Zachowywali się prawie tak cicho jak Myal na posłaniu ze szmat. Kuna rozebrała muzykanta i wymasowała mu całe ciało swoimi niezwykłymi dłońmi. Robiła to obojętnie i rzeczowo, bez śladu tej bezsilnej pożądliwości, której tak często ulegają stare kobiety. Dwa razy poprosiła Dro, żeby pomógł jej obrócić ciało młodszego mężczyzny. Wreszcie ułożyła go na plecach, z głową lekko zwróconą w prawo i nakryła go wystrzępionym, niezbyt czystym prześcieradłem.

Słońce, skradając się jak kot, niemal dotarło do posłania Myala, kiedy Dro wreszcie się odezwał.

– Opowiedz mi o Ghyste Mortua.

Kuna spojrzała na niego i pociągnęła łyk herbaty.

– Wiesz wszystko, co powinieneś wiedzieć.

– Ty mieszkasz w pobliżu – odparł. – Na pewno wiesz więcej.

– Nocą lasy pełne są hałasów – powiedziała Kuna. – Jeźdźcy, konie, krzyki. Nie zaczepiają mnie. Jestem za stara, za brzydka. Niedużo mi zostało do końca. Nie zwracają na mnie uwagi.

- A twoja wioska? – zapytał Dro. – Czy to Ghyste wypędziło stąd ludzi?
- Między innymi. Ale jeśli pytasz, czy żywomory mają więcej siły w tych stronach, odpowiedź jest twierdząca. Tak, są silne i coraz silniejsze. Nie mam siódmego zmysłu – ciągnęła – ale kiedy byłam młodą dziewczyną, widywałam w lesie blade zjawy, białe jak mleko, przez które przeświecały drzewa. Teraz zmarli wyglądają jak żywi ludzie. Powiem ci, że kiedy zobaczyłam cię o świcie, miałam wątpliwości.
- Są dostatecznie silne, żeby pojawiać się po wschodzie słońca?
- Są silne.
- Ale tylko w pewnych porach roku – dodał Dro.
- Oczywiście. A czegoś się spodziewał? W zaświatach czas płynie tak samo jak na ziemi. To nie są kalendarzowe dni, miesiące i lata. Ale czas gwiazdny, czas księżycowy, czas zodiakalny i okresy koniunkcji. Jeden mamy właśnie teraz. To dlatego tu jesteś, hę? A on... on też potrafi odgadnąć właściwy czas. Więc jest sprytniejszy, niż myślałeś.
- Albo sprytniejszy, niż sam myślał.
- No, wyjaśniłam twoją tajemnicę? – zapytała. – Mówię o tej kobiecie, która ulepiła glinianego psa i nasaczyła go trucizną, i dlaczego tak postąpiła.
- Może.
- Co teraz zrobisz?
- Co mam zrobić?
- To było łatwiejsze – powiedziała Kuna. – Jej sposób był łatwiejszy. Zwłaszcza dla ciebie, Parlu Dro.
- Więc znasz moje imię – stwierdził bezbarwnie.
- Odgadłam twoje imię. Ludzie zawsze mówili, że przyjdiesz pewnego dnia.
- Stary ból nagle przeszył jego nogę. Ból przypominający strach.

I powróciło wspomnienie, które próbował odpędzić. Zagrzebał to wspomnienie w odległym zakamarku umysłu, głęboko pod innymi wspomnieniami. Wspomnieniami dzieciństwa, młodości, nawet Silky. Lepiej cierpieć niż zrobić z siebie głupca.

Ale teraz stopniowo odzyskiwał pamięć. Ziołowa herbata, ból, widok nieprzytomnego Myala, wiadomość wysłana przez Cinnabar, wszystko razem sprawiło, że Dro zaczął cofać się myślą w przeszłość. Przypomniał sobie wydarzenia sprzed pięciu lat, potem sprzed ponad dwudziestu. Widział siebie samego w wieku piętnastu lat, dwudziestu pięciu, trzydziestu pięciu, kiedy dorastał i powoli, metodą prób i błędów, poprzez dyskusje, lektury i rozmyślenia poznawał arkana swego przyszłego zawodu. Widział dwóch czy trzech starych ludzi, doświadczonych egzorcystów, którzy go uczyli. Właściwie wcale nie potrzebował tych lekcji. Wiedział. Zawsze wiedział i zawsze potrafił znaleźć w sobie siłę, żeby wypełnić swoje okropne, konieczne zadanie. Kiedy miał trzynaście lat, Silky odkryła przed nim jego prawdziwe powołanie, tak jak odkryłaby przed nim inne prawdy, lepsze, słodsze, mniej cenne, gdyby nie umarła. A gdyby żyła, kim byłby teraz Dro? Pewnie parobkiem albo drobnym farmerem, gdyby miał szczęście. Synowie i córki, żona, pracowite, spokojne, monotonne, cudownie proste życie. Gdyby Silky nie umarła i gdyby nie przyszła do niego w deszczu, ze swoimi zimnymi dłońmi i dziecinnymi podstępami. Ale nie mógł pozostać przy Silky. Wspomnienie, które chciał zagłuszyć, było późniejsze. Bliskie, bardzo bliskie. Nie trzynastoletni chłopiec, ale mężczyzna odziany w czerń. A jednak Silky też była w tym wspomnieniu, zupełnie jakby je wywołała.

Bardzo wyraźnie widział górę. We wspomnieniu góra wznosiła się na północnym wschodzie, jak komin dymiący chmurami. Zapadał zmierzch i pierwsze gwiazdy migotały na ciemniejącym niebie. Za górą leżała kraina,

która przeszła już do legendy, miraż, który go wabił, Tulotef, Ghyste Mortua. Wiedział, że nadeszła właściwa pora, jak zawsze co kilka lat. Filozofowie i szarlatani udzielili mu instrukcji, a on wierzył w to z suchym, rzeczowym mistycyzmem.

Dziwne, jak bardzo odległa i niejasna wydawała mu się teraz ta pierwsza myśl o Ghyste. Raczej przelotne zainteresowanie niż najważniejszy cel, pragnienie, które obecnie go gnało.

Prawdopodobnie była to reakcja na trudności, jakie napotkał po drodze. Dro miał w sobie wystarczająco dużo przekory, żeby każda przeszkoda tym bardziej dopingowała go do walki.

Południowe stoki góry porastał rzadki las. Drzewa wspinały się ku bardziej odległym szczytom na południu i zachodzie, które w wieczornym mroku wyglądały niewyraźnie jak rozmyte malowidło.

W lesie kryła się polana. Ostatnie promienie zachodzącego słońca trafiły tam i teraz płonęły na stosie drewna. Opodal stał ciężki, niezgrabny wóz oświetlony blaskiem płomieni. Do koła przywiązany był chudy, wyleniały pies, ale nie było konia. Dro niespodziewanie wyszedł na polanę i przystanął. Pies, który zwęszył go lub usłyszał poniewczasie, narobił wielkiego hałasu, pragnąc gorliwością nadrobić wcześniejsze niedopatrzenie. Dro był tym lekko ubawiony, ale rozglądał się czujnie na wypadek, gdyby zza wozu lub spomiędzy drzew wyszedł mężczyzna uzbrojony w siekierę czy nóż. Zamiast tego pojawiła się kobieta z pustymi rękami.

Stała i patrzyła na Dro przez dzielące ich czterdzieści stóp, a on doznał potężnego wstrząsu. Ponieważ to była Silky, Silky jak żywa – a może nieżywa? Co gorsza nie była to mała dziewczynka, lecz dorosła Silky, kobieta prawie w średnim wieku, o rysach trochę zgrubiałych, trochę

zaostrzonych, ale jej błyszczące włosy w świetle ognia wciąż wyglądały jak roztopiony miód spływający na plecy, na piersi.

Mimo woli Dro zaczął iść w jej stronę, przyciągany nieodpartym nakazem.

Pies przestał teatralnie ujadać i zawarczał gardłowo. Kobieta, która była Silky, cofnęła się do wozu i położyła rękę na smyczy, gotowa spuścić psa.

Kiedy Dro podszedł bliżej, krzyknęła na niego:

– Kim jesteś? Jak śmiesz zakradać się po nocy? Mój mąż zaraz wróci i rozprawi się z tobą!

Oczywiście blagowała. Mężczyzna zniknął razem z koniem, a to oznaczało co najmniej dłuższą podróż.

– Nie zrobię ci nic złego! – zawołał Dro.

Odetchnął swobodniej, kiedy usłyszał jej głos, ponieważ nie był to głos Silky, nawet zmieniony z upływem lat.

A jednak jej twarz – im bliżej podchodził, tym bardziej przypominała mu twarz Silky. Pomiędzy jednym krokiem a drugim przyszła mu do głowy okropna myśl, że może duchy potrafią nie tylko oszukiwać śmierć, materializować się, przybierać pozór żywego ciała, ale w dodatku – ostateczne oszustwo – zmieniają się z wiekiem. Czemu nie? Jeśli duch zdolny jest przetrwać, pokonać własną śmierć, zachować pozór prawdziwego życia, na pewno potrafi również udawać, że dorasta i starzeje się razem z resztą żyjącej ludzkości.

Ale Dro zniszczył łącznik Silky. Uwolnił ją... zamordował ją...

Kobieta była piękna. Dojrzała piękność. Chociaż szczupła i krucha, miała ciężką, bogatą urodę, podkreśloną przez burzę miodowych włosów. Jej opalona skóra również była barwy miodu, drobne zmarszczki wyglądały jak żyłki na złotym liściu. Na palcu nosiła mosiężną obrączkę. Więc naprawdę miała męża, ale tu go nie było.

Dro zsunął z głowy kaptur płaszcza. Szedł powoli, z wdziękiem, prawie nie utykając. Ręce trzymał luźno opuszczone, z dala od płaszcza, na dowód, że on również nie ma żadnej widocznej ani ukrytej broni.

Kobieta spojrzała mu twardo w twarz, a potem nagle odprężyła się. Puściła smycz i poklepała psa.

– Sza! – powiedziała. – Już w porządku.

– Dziękuję za zaufanie – odezwał się Dro.

– Tylko głupiec weźmie cię za rabusia – odparła śmiało. – Albo za gwałciciela. Chyba nigdy nie musiałeś stosować przemocy wobec kobiet. – Zarumieniła się na własne słowa, ale nie spuściła oczu. – Dokąd idziesz?

– Przez góry.

– Mój mąż tam pojechał – powiedziała. – Pojechał ubić jakiś interes. Coś kupić albo ukraść. Drań. Nie wróci do jutra. Jeśli w ogóle wróci. Jeśli nie leży gdzieś pijany w trupa, w jakiejś karczmie, z jakąś kobietą. Jeśli nie jest zbyt pijany, żeby znaleźć kobietę. Przepraszam.

Pies przestał warczeć i położył się, opierając smutny pysk na wychudzonych łapach. Kobieta podeszła do ognia i długim szpikulcem wyciągnęła obrosniętą mięsem kość z bulgoczącego kociołka. Pies podniósł się, ślina pociekła mu z pyska. Kobieta pomachała kością, żeby ją wystudzić. Potem położyła kość na ziemi przed psem i kiedy jadł, pogłaskała go z bolesną czułością.

– Biedny zwierzak – powiedziała do Dro, mówiąc o psie jak o dziecku. – Mój mąż bije go, głodzi. Lepiej by mu było w lesie, na wolności. Zmieniłby się w wilka i byłby szczęśliwy. Powiedziałam mu: „Piesku, obiecuję, że pewnej nocy wypuszczę cię na wolność, odwiążę cię i wyprowadzę do lasu”. Wtedy ja dostanę bicie. Ale i tak to zrobię. Prawda, piesku? – Zerknęła na Dro, który przyglądał się jej bez słowa. – Pewnie myślisz, że jestem stuknięta.

– Nie.

– Pewnie tak myślisz. Ale zapraszam cię na gulasz. Skoro karmię psa, ciebie też muszę poczęstować.

– Nie musisz.

– Wolałabym, żebyś nie odchodził – powiedziała kobieta. – On mnie tutaj zostawił, ale wolałabym mieć towarzystwo. Przyjechaliśmy z południa, rozumiesz. Nie znam tej okolicy.

Wyprostowała się i popatrzyła na niego. Miała delikatną, jak wyrzeźbioną szyję, skórę mocno napiętą, ale jedwabistą. Pod skórą gwałtownie pulsowała krew.

– Zostanę, jeśli chcesz – powiedział Dro.

Uśmiechnęła się.

– Tak, ale to nie jest propozycja, pamiętaj.

Wtedy już wiedział, że to propozycja.

Zastanawiał się niemądrze, czy on też jej kogoś przypominał, czy może była zwykłą ladacznicą albo po prostu czuła się samotna. Kobiety ustawicznie go nagabywały, zaintrygowane historyjkami o celibacie i sile psychicznej. Każda chciała się przekonać, jak to jest z zabójcą duchów. Może ta kobieta nie odgadła jego powołania.

Zjedli posiłek przy ognisku, a potem kobieta przyniosła bukłak z piwem i oboje popijali. Ona zaczęła przeczesywać włosy palcami, aż zmieniły się w naelektryzowaną, trzeszczącą chmurę złocistego dymu. Nuciała sennie nad ogniem, cichym, drżącym głosem. Instynktownie rzucała czar, tylko dla niego. Tak jak Silky na jabłoni, ze słońcem we włosach, przemawiająca do ptaków lub liści... A kiedy Dro odezwał się do niej, popatrzyła na niego bez zdziwienia, tak samo jak Silky.

– Czy mogę ci zapłacić za kolację?

– Chyba nie – odparła.



Przez jakiś czas rozmawiali o pogodzie i profesji wędrownego handlarza, którą sporadycznie uprawiał jej mąż. Nie pytała Dro o nic, nawet o imię. On również nie pytał jej o imię. Nie mógł do niej mówić po imieniu i nie mógł się zmusić, żeby nazywać ją „Silky”. Ten cały epizod był nierzeczywisty jak sen.

Pies spał na boku, również złotawy w blasku ognia, a potem rubinowy, kiedy płomienie zaczęły przygasać.

Oboje pochylili się, żeby dorzucić gałęzi, i wtedy ich ciała wreszcie się zetknęły. Akt seksualny był tak upragniony i nieunikniony, odbył się tak łatwo i prosto, bez sprzeciwów, bez wahania, jak gdyby robili to już przedtem, wiele razy. Wszystko w niej było śliczne, nawet to, co czas lekko zatarł lub podkreślił, było śliczne.

Później leżeli objęci przy ognisku. Las oddychał. Zasypiali ukołysani własnymi oddechami i budzili się znowu obok siebie.

Godzinę przed świtem skomlenie psa obudziło Parla Dro.

Powietrze było zimne i czyste, przesycone wilgocią, która gromadzi się wśród drzew w letnie poranki. Ogień wygasł. Kobieta spała na boku, okryta płaszczem włosów, podłożywszy rękę pod policzek. Jedna naga, pełna pierś, biała jak śnieg, odcinała się ostro od letniej opalenizny. Pies stał ze zjeżonym grzbietem. W pobliżu koń szczypał trawę. Obok wozu stał mężczyzna.

Wyglądał w każdym calu na nieokrzesanego bandziora, jakiego kobieta obawiała się poprzedniej nocy. Tylko dlatego Dro rozpoznał w nim jej męża. Tłusty, brudny i rozczochrany trwał w jakimś dziwnym półprzysiadzie, z obwisłym brzuchem, sterczącymi włosami, w porozpinanym ubraniu. Tylko dłonie mężczyzny były dziwne, chude i kształtne, chociaż teraz zaciśnięte w pięści i nabiegłe czerwienią.

– No – powiedział bełkotliwie, niewyraźnie i aż nadto trzeźwym głosem – no, no, no.

Sytuacja była komiczna, żywcem wzięta z karczemnych przyśpiewek i dowcipów. Dro podniósł się powoli, poprawiając na sobie ubranie. Mężczyzna łypnął na niego spode łba i mrugnął złośliwie.

– No, no, no.

Dro nie odezwał się, a mężczyzna nagle odzyskał elokwencję.

– Może powiesz: „To pomyłka”? Może powiesz: „Ja tylko leżałem między nogami twojej żony, ale to jeszcze nic nie znaczy”? No?

– Powiem tak, jeśli sobie życzysz – odparł Dro.

– Życzę? Życzę? – Mężczyzna wyprostował się. Przesząpił nad skórzaną sakwą leżącą na trawie – złodziejskie łupy? Minał psa nie spojrzawszy na niego, a pies przypadł do ziemi. Mężczyzna przeszedł przez wygasłe ognisko.

– Zmusiłeś ją – oświadczył. Prawda? Ona nic chciała, więc ją zgwałciłeś.

– Tak, zgwałciłem ją.

– Właśnie. Na pewno została zgwałcona. Nawet na to wygląda.

Dro uświadomił sobie, że kobieta obudziła się i usiadła, ale nie obejrzała się na nią. Mężczyzna stał teraz tak blisko, że Dro czuł odór niestrawionego alkoholu w jego oddechu. Przesunął się o cal, żeby zasłonić żonę przed mężem.

– Coś mi się zdaje – powiedział mężczyzna spoglądając z uśmiechem na żonę – że jednak trochę chciała.

Dro ruszył do ataku wznosząc pięść i wyciągając lewe ramię, żeby zablokować cios przeciwnika. Ale kobieta już wstała i chwyciła go za rękaw.

– Nie – wydyszała. – Nie. Wszystko w porządku.

– Naturalnie – zgodził się mężczyzna. – Co mnie to obchodzi? Byłem z kurwą przez całą noc. – Wyszczerył zęby do Dro. – Obaj byliśmy z kurwami. Dobra była ta twoja? Bo moja tak.

Kobieta zaczęła gwałtownie popychać Dro.

– Odejdź. Proszę. Idź już – mówiła bez tchu.

– Lepiej chodź ze mną – powiedział Dro.

– A kto mi zrobi śniadanie? – zaprotestował z urazą mężczyzna. – Nie przejmuj się, nic się nie stało.

Usiadł przy wygasłym ognisku i ostrożnie ściągnął buty.

– Czekam na obsługę – dodał.

Kobieta, przytrzymując brązowymi rękami suknię na białych piersiach, podniosła bukłak z piwem i podała go mężowi.

– Dziękuję – mruknął. Napił się hałaśliwie.

– Odejdź – powiedziała kobieta do Dro. – Błagam cię.

– Dobrze. Ale ty...

– Odejdź!

W grobowej ciszy przedświt Dro odszedł. Na skraju polany obejrzał się. Kobieta rozpałała ogień. Mężczyzna popijał z bukłaka. Pies leżał nieruchomo jak głaz, a koń wytrwale skubał trawę.

Dro wszedł pomiędzy drzewa i czekał. Nic się nie działo. Na koniec wzeszło słońce. Kobieta pojawiła się wśród drzew, kiedy Dro już zrezygnował. Stała przed nim i zawołała cichym, gniewnym głosem:

– Przecież kazałam ci odejść! Jeśli znikniesz, on się uspokoi. On jest jak duże dziecko. Idź już, wynoś się do diabła. Nic dla mnie nie znaczysz. On jest moim mężem!

Przez jakiś czas Dro siedł powoli, nasłuchując jej krzyków. Słyszał tylko szum wiatru i ćwierkanie ptaków. Nic więcej. Zaczął sobie wmawiać, że

kobieta wiedziała, co robi, że wszystko będzie dobrze. Miała przecież wybór. Dro mógł ją obronić. Wcale nie musiała zostać z tym pijakiem.

Nie przypominała już Silky. Stała się kobietą, z którą spędził noc. Całe zdarzenie było błahe i żenujące.

Południe nadeszło, zanim Dro dotarł do szlaku, który prowadził spomiędzy drzew w góry. Wspomnienie nocnej przygody nabrało nierzeczywistych cech, jak każde wyjątkowe przeżycie. Dro przełknął je jak gorzką pigułkę.

Mniej więcej milę od przełęczu dogonił go mąż kobiety.

Dro usłyszał stukot kopyt na kamienistej drodze, zrozumiał i odwrócił się. Mężczyzna jak gdyby zmaterializował się w powietrzu. Dro miał dość czasu, żeby zająć obronną pozycję, ale nawet nie próbował Pogarda dla mężczyzny, pogarda dla kobiety, która wolała zostać z takim brutalem, wreszcie pogarda dla samego siebie, zaplątanego pomiędzy nich choćby na krótko, kazała mu stanąć arogancko na poboczu drogi Czekał w widocznym miejscu.

Oczywiście pamiętał zaciśnięte pięści słabeusza, puste, bez broni. Ale tym razem mężczyzna uzbrojony był w jakieś długie, tępe narzędzie, którego Dro nie zdążył zobaczyć. Ponieważ bez słowa, bez ostrzeżenia mężczyzna ze złośliwą zręcznością wymierzył i zadał cios dokładnie w chwili, kiedy zrównał się z Parlem Dro. Nie celował w głowę ani w serce, jak należało się spodziewać, ani nawet w krocze – obrzydliwie skuteczny cios. A jednak cios był równie obrzydliwy i skuteczny. Mężczyzna cisnął nie zidentyfikowaną broń z całą siłą swojej fermentującej, plugawej nienawiści prosto w lewą, kaleką nogę Dro.

Przed sekundą Parl Dro był myślącym człowiekiem, zaskoczonym napaścią w to spokojne popołudnie. Teraz był wyjącem, bezrozumnym

stworem uwięzionym w piekle, gdzie nie było nocy ani dnia, ani godzin, tylko otchłań cierpienia.

Potem zrozumiał, że upadł i stoczył się z drogi w dół, po kamieniach, przez rzadkie krzaki, w kaskadzie skalnych odłamków. Zatrzymał się w wąskim, częściowo rozwalonym kanale. Gdyby potoczył się dalej, pewnie spadłby w przepaść i zginąłby na miejscu. W każdym razie zrozumiał to dużo później.

Oprzytomniał natychmiast pod wpływem bólu. Nawet w omdleniu czuł ten ból, jak gdyby znowu dopadł go upiór na moście. Ociekał potem, zupełnie jakby oblano go gorącą wodą. Napastnik nie ścigał go. Chyba nie mógł go znaleźć. Ale o tym Dro również zapomniał. Ból nie skupiał się w żadnym miejscu, był jak morze, w którym Dro tonął z krzykiem. A potem znowu umarł. Budził się i umierał przez długi czas, czas bez czasu. Nie potrafił określić, jak długo leżał w tym kanale na górskim zboczu.

Wreszcie odzyskał zdolność myślenia i zdumiał się, ponieważ noga nawet nie była złamana – a zdawało mu się, że każda kość pękła i odłamki przebiły ciało.

Kiedy wydostał się z kanału, była noc i świecił księżyc. Z kształtu księżyca i ze wspomnienia krótkich, okropnych przeblysków świadomości Dro wydedukował, że przeleżał tam dwa lub trzy dni.

Ból w nodze zelżał, zmienił się w płomień obejmujący kości i ścięgna. Tę dolegliwość wywoływały okaleczone nerwy, zbyt osłabione, żeby wytrzymać następny wstrząs.

Wraz z odzyskaniem świadomości pojawiła się gwałtowna potrzeba odnalezienia kobiety.

Naturalnie teraz Dro rozumiał już, że wyłącznie dla jego dobra błagała go, żeby odszedł. Wiedziała, do czego był zdolny mąż, i niemądrze

pragnęła chronić Dro za wszelką cenę. Gdyby poprosiła go o pomoc, razem poradziliby sobie znacznie łatwiej.

Zejscie z góry było trudne. Kosztowało go wiele bólu, który starał się ignorować; tylko raz stracił panowanie nad sobą, kiedy upadł i leżał w kurzu, z oczami przesłoniętymi krwawą mgłą. Wreszcie droga zrobiła się łatwiejsza. Dro stopniowo przyzwyczał się do kuśtykania na obolałej, rozpalonej nodze.

Minęła noc i część dnia, zanim Dro dotarł do polany w lesie. Wóz zniknął. W ciemnościach Dro nie mógł znaleźć śladów kół na trawie i twardej, wyschniętej ziemi. Nie mógł nawet znaleźć śladów po ognisku.

Zaczął jak głupiec przeszukiwać las, zataczając coraz większe kręgi. Minął dzień i następna noc. Na skraju lasu Dro znalazł opuszczoną farmę. Trochę dziczyałych warzyw rosło na grządkach w ogrodzie. Była też studnia. To wystarczyło, żeby utrzymać go przy życiu. Stopniowo odzyskał swój dawny, fatalistyczny rozsądek.

W ruinach farmy znowu stracił poczucie czasu. Od wielu lat nie był równie niezdecydowany, równie zagubiony pośród krętych ścieżek własnej osobowości. Dni wydawały się bardzo gorące, noce nie miały końca. Stary dom na skraju lasu spoglądał na południe, gdzie leżały wąskie doliny pomiędzy szponami południowych gór. Oglądane głównie w nocy, wyglądały jakoś nierealnie. Wszystko wyglądało nierealnie.

W końcu myśl o Ghyste powróciła, wypierając inne myśli i wspomnienia. Znowu coś go wzywało na północ, w góry, na poszukiwanie legendy.

Wspomnienie kobiety, która była podobna do Silky, wywoływało tylko niesmak i zażenowanie. Kaleka noga wygoiła się i dawała o sobie znać jedynie znajomym, znośnym bólem. To samo czasem dzieje się ze wspomnieniami.

O zmierzchu Dro przekroczył przełęcz i kiedy ruszył w dół stalowoblękitną drogą, w stronę pochylonego, makabrycznego domu z kamienną wieżą – domu Ciddey Soban, domu nawiedzonego przez ducha – ogarnęło go cudowne uczucie powrotu do rzeczywistości. Znowu widział przed sobą cel. Wspomnienie złocistej kobiety rozwiało się jak sen.

Nie mógł nic dla niej zrobić. Wpadła w pułapkę, a on nie mógł jej uwolnić. Nie kochał jej, na pewno. Nigdy nikogo nie kochał, kobiety ani mężczyzny, żadnego miejsca, żadnej rzeczy, żadnego żywego stworzenia. Nawet Silky. Silky tylko należała do niego.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kuna znowu zaplatała swoje rzadkie, stalowosiwe włosy, kiedy Dro ocknął się i zobaczył ją naprzeciwko, ale słońce nie oświetlało już posłania ze szmat, na którym leżał Myal Lemyal, nieruchomy, wyciągnięty na wznak, z głową wciąż zwróconą w prawo, zakryty aż po jabłko Adama brudnym, gładko naciągniętym prześcieradłem.

– Długo cię nie było – powiedziała Kuna. – Rozmyślałeś albo spałeś z otwartymi oczami. Na palcach jednej ręki mogłam policzyć, ile razy mrugnąłeś. Wprawiasz się?

Dro patrzył na jej szponiaste palce, zręczne, ruchliwe, obdarzone czarodziejską mocą.

– Pytasz, czy chcę tam dotrzeć używając własnej woli, a nie narkotyku Cinnabar? Zawsze miałem taki zamiar.

– Więc nie jesteś ciekawy, dlaczego wysłała tego chłopca przed tobą?

– Myślała, że zobaczyła coś w kartach. Tak mi powiedziała. Nalegała, żeby Myal poszedł ze mną. Namówiła go, żeby mnie dogonił. Miał ze sobą nadprzyrodzony bagaż, co niezbyt mi odpowiadało.

Z lekkim zdziwieniem zrozumiał plan Cinnabar. Dostatecznie niezwykle było, że pożyczyła muzykantowi konia, żeby mógł doścignąć Dro. Narkotyk w glinianym psie, który stopniowo wprowadził Myala w trans i uwolnił jego ciało astralne, ducha żywego człowieka, to był niezwykle pomysł.

Cinnabar widocznie dowiedziała się od swojego kochanka, tego zabójcy duchów, który nigdy nie wrócił, że tylko duch może wejść do Ghyste Mortua. Wszyscy żywi ludzie, którzy przekroczyli zmaterializowane,



widmowe bramy Tulotef, nieodmiennie ginęli, jak głosiła legenda. Nikt nie mógł przeżyć pośród tylu żywomorów, żarłocznie pochłaniających jego siły życiowe – nawet jeśli nie doznał żadnych fizycznych obrażeń. Dlatego jedynie pod postacią astralną można było wejść do tego miejsca i uniknąć śmierci. Jedynie pod postacią ducha, takiego jak duchy z Ghyste. W tym celu należało zdobyć pewne umiejętności i Dro, który również znał tę legendę, po trochu zebrał potrzebne fragmenty wiedzy, a jego wola połączyła je w całość. Ta wola z kutego żelaza, która prowadziła go mila za milą na okaleczonym kikucie, zwanym eufemistycznie nogą. Wierzył, że ta sama żelazna wola potrafi uspić jego ciało i uwolnić duszę. Potrafi zatroszczyć się o ciało pogrążone w transie, a potem, jeżeli to w ogóle możliwe, potrafi sprowadzić duszę z powrotem do ciała.

Myal. Wyrzucony z własnego ciała, jak garść pyłu ciśnięta na wiatr. Pochwycony przez żywomory i przez dziewicę, Pannę Morską, z jej zimną, rybią nienawiścią, z jej iluzorycznymi strumieniami – Cinnabar skazała na to Myala, ponieważ miała pewność, że Dro będzie go potrzebował. Jeśli Parl Dro musi wejść do Tulotef, Myal musi tam wejść pierwszy. Najprościej byłoby uznać Cinnabar za wariatkę, rozzłościć się na nią, potępić jej metody. Ale Dro z drzeniem rozpoznał w niej jednego z tych tajemniczych przewodników, których spotyka się w mistycznej drodze. Przypominała mu również złocistą kobietę z lasu. Królowa Ognia, Królowa Liści...

Królowa Mieczy, niesamowita starsza siostra Dro, znowu gotowała herbatę. Aromatyczna para kłębiła się w izbie i znikąca, jak gdyby rozpływała się w powietrzu: duch herbaty.

– Wiec wprowadzisz się w trans bez pomocy narkotyku i wejdiesz do Ghyste Mortua – powiedziała Kuna. – A potem zniszczysz Ghyste Mortua. Wszyscy zabójcy duchów tego próbowali, ale żadnemu się nie udało, he? A ty masz jakiś pomysł?

– Zaczekaj, to zobaczysz.

Parl Dro zastanowił się, czy ona naprawdę może zobaczyć to, co kryło się pod żelaznym, niezłomnym, cynicznym postanowieniem, żeby zabić zmarłych, zniszczyć ten ponury symbol jego egzystencji; czy ona może zobaczyć strach przytłaczający mu serce, ciężki i nieruchomy jak Myal na posłaniu.

Myal Lemyal nie wiedział, że jego ciało leży gdzieś daleko w leśnej chacie, nakryte prześcieradłem. Jego duchowe ciało wydawało mu się równie rzeczywiste jak zawsze, odczuwał nawet znajome dolegliwości: lęk, wyczerpanie, niepokój. Ale przecież miasto Tulotef również wydawało się rzeczywiste. Miasto i dziewczyna.

I trzech jeźdźcy, którzy eskortowali go do bramy.

W końcu nie pobili Myala. Nie pozwolili mu nawet jechać konno. W ostatniej chwili, kiedy brama nieodwołalnie rozwarła się przed nimi – wysoka, sklepiona, pełna ech – ściągnęli go na ziemię. Wylądował na bruku, instrument znowu walnął go mocno między łopatki, a jeden z mężczyzn skoczył na opróżnione siodło i spiął konia ostrogami. Koń zarżał przeraźliwie. Z donośnym stukotem kopyt, wzmocnionym przez akustykę bramy, krzesząc snopy iskier jeźdźcy wpadli jak burza do niezemskiego miasta.

Myal podniósł się, obmacując świeże siniaki. Ciddey Soban stała obok. Wyglądała tak zwyczajnie, tak normalnie, że Myal znowu wstrzymał oddech, przytłoczony kłębowiskiem wątpliwości, faktów i przypuszczeń. Błada, wściekła, z płonącymi oczami; krzyczała ostrym głosem, który przecinał wilgotne powietrze:

– Dranie! Łajdaki!

A potem bluznęła stekiem wyzwisk, które zaszokowały Myala, chociaż nie zdziwił się, że znała takie słowa.

Wreszcie umilkła i stała z obrażoną miną, jak każda rozpieszczona panienska z dobrego domu, przyzwyczajona do męskich względów, którą nagle potraktowano bez należnego szacunku.

Wszystko wydawało się takie rzeczywiste. Pusta brama, szeroko otwarta, niestrzeżona, podobna do wszystkich miejskich bram, przez które przechodził Myal. Rozzłoszczona kobieta. Chłodne, wilgotne nocne powietrze. Ulotne odgłosy miejskiego życia: kroki, nawoływania, stukot kopyt, turkot kół, brzęk metalu, od czasu do czasu dzwony; gdzieś szczekał pies, uparcie i natarczywie. Czuło się nawet lekki zapach pieczonego chleba...

Jedyną fałszywą nutą była ciemność. Poranny zgiełk wielkiego miasta, rozlegający się o północy.

– Jeśli chodzi o ciebie...

Myal odwrócił się odruchowo. Ciddey Soban mierzyła go gniewnym wzrokiem.

– Do diabła, co miałem robić? – powiedział Myal obronnym tonem. – Wszyscy jesteście duchami.

– Milcz.

Zadrzał pod jej pełnym jadu spojrzeniem i dodał ulegle:

– No, przynajmniej oni są duchami...

– Obiecałeś, że będziesz mnie bronił – warknęła.

– Obiecałem?

– A potem pozwoliłeś, żeby wygrażali mi mieczem.

– A ty chciałaś zaprowadzić mnie do miasta na smyczy.

– Tylko do tego się nadajesz. Żeby służyć jak piesek.

– Mogli mnie pobić, a ty...

– A ja się śmiałam.

– Myśle – powiedział Myal odwracając się plecami do bramy – że raczej...

– Nie, nie odejdziesz. Śmieszny z ciebie obrońca, ale nie mam innego. Zostaniesz ze mną. Ty i ten głupi strunowy instrument.

Weszła w bramę. Zachowywała się władczo. Myal bez trudu mógł uciec, ukryć się w lesie, który dochodził aż do miejskich murów i cisnął się po obu stronach gościńca niczym potężny tłum, uformowany z mrocznych szeregów drzew. Łatwo było uciec. Ale czy rzeczywiście? Jakiś wewnętrzny przymus, silniejszy niż wola dziewczyny ducha, ciągnął go w stronę bramy.

Nagle uderzyła go niesamowita myśl, mglista, lecz złowroga. Przypomniał sobie, jak jeźdźcy obrzucali go pogrózkami przy stawie, opisując kary dla tych, którzy zadawali się z żywomorami. Oczywiście grozili mu, ale co najdziwniejsze, często patrzyli przy tym na Ciddey. Jak gdyby nie mieli pewności, które z tych dwojga, muzykant czy dziewczyna, jest duchem.

A wreszcie dlaczego tak nagle porzucili Myala na łaskę losu – lub Ciddey – przy bramie? Jak gdyby wcale ich nie obchodził. Przecież zmarli potrzebowali żywych, żeby na nich żerować. Tak twierdził Parl Dro. Więc dlaczego...

– Myalu Lemyalu, czy wreszcie mnie posłuchasz?

Ciddey znowu patrzyła na niego z bramy.

– Dlaczego mam cię słuchać? – zapytał Myal i posłusznie wszedł w bramę.

W mieście natychmiast poczuł się całkowicie bezradny, nie fizycznie, ale psychicznie. Nawet dość przyjemne uczucie. Ciddey i Tulotef pokonały go. Żadna niespodzianka. Myal poddał się z ulgą.

Ghyste Mortua nie wyglądało tak, jak w jego niedokończonej pieśni. Nie było zmierzchu. Nie było mglistych, niewyraźnych kształtów. Nie było robaczków świętojańskich. A jednak wszystko było bardzo dziwne.

Brukowana ulica, wąska i zamknięta po obu stronach ślepyimi ścianami domów, prowadziła pod górę. Było ciemno jak w grobie, ale jakimś cudem wszystkie szczegóły rysowały się wyraźnie w tysięcznych odcieniach czerni, nawet pojedyncze cegły i kamienie. A ponad szczytami dachów snopy światła wystrzelały w niebo przyćmiewając gwiazdy. Myal wziął je za światła lamp Tulotef – a może to świeciło samo Tulotef? Upiorne świecenie, jak fosforyzująca kość. Myal przygotował się na dreszcz, ale dreszcz nie przyszedł.

Dźwięki również były dziwne, ponieważ wszędzie panował hałas, ale nikogo nie było widać. Potem nagle, spoglądając na puste podwórze, Myal widział jakiegoś człowieka, wyraźnie jak własną rękę w biały dzień. Szewca naprawiającego but, kowala przy kowadle, dwoje dzieci bawiących się z kotem.

Ciddey szła przodem, a on jak posłuszny paż albo strażnik, albo pies, z szacunkiem trzymał się parę kroków za nią. Ulicę zagradał wielki budynek, w którym otwierało się łukowe przejście ze schodkami. Pierwsza lampa płonęła w przejściu. Myal obejrzał ją nieufnie. Był to z pewnością duch lampy, blade, cytrynowożółte światełko trzepoczące bezgłośnie jak ćma za zakopconym szkłem, czyste i wyraźne jak kwiat albo klejnot w ciemności. A jednak lampa nie rzucała żadnego odblasku na ściany ani na schody. Nawet na przechodzącą Ciddey. Nawet na Myala. A kiedy uniósł rękę pod światło, nie zobaczył krwi różowiącej mu palce i nie poczuł ciepła.

– No, chodź – rzuciła Ciddey, dziesięć stopni wyżej. – Przestań się bawić. Jeśli musisz się czymś bawić, zagraj na instrumencie.

– Nie – powiedział z uporem.

Ruszył za nią po schodach, a ona znowu pobiegła przodem. Wyszli na taras i ujrzeni całe miasto spływające ze wzgórza, trzy czwarte mili kwadratowej budynków. Widzieli smukłe, wysokie wieże, jak w legendzie, z kamiennymi blankami na szczytach. Widzieli kręte alejki i dachy domów zachodzące jeden na drugi, kryte dachówkami z łupku. Wszystko było szare, nakrapiane żółtawymi punkcikami lamp, ale widoczne w każdym szczególe, jakby oświetlone zimnymi, czarnymi promieniami ogromnego słońca. Wokół Tulotefu rozpościerał się teatralny krajobraz. Jezioro o gwiazdzistych kanałach, opromienione blaskiem księżyca lub nadnaturalną poświatą płynącą z miasta, lśniło i migotało jak w pogodny letni dzień, srebrne, roziskrzzone – a jednak bezbarwne. Te same widmowe promienie wydobywały z mroku szczyty odległych gór poza lasem. Białe jak śnieg, zgodnie z legendą. A las był jak czarny śnieg, który okrywał całą ziemię.

Wszędzie wokół miasta było cicho jak... właśnie, jak w grobie. Ale sam grób huczał, grzmiał i śpiewał. Kaskady dźwięków wylewały się z ulic. Myał spostrzegł w dole ogromną procesję wędrującą szerokim bulwarem. Martwe, czerwone skrzydła pochodni, nieruchomy błysk kadzielnic z brązu otoczonych szarozłotą, jak namalowaną aureolą, światłem bez światła. W kondukcje szli kapłani, kobiety w srebrzystych szatach, może sam władca miasta. Rozkołysane dzwony wypełniały noc zgiełkliwą muzyką.

– Zimno mi – powiedziała Ciddey Soban.

– Naprawdę?

– Tak. Nie zagrasz? Może usłyszysz cię księżę lub baron Tulotef. Zostaniesz nadwornym muzykiem.

– Byłem kiedyś nadwornym muzykiem, ale to mi nie odpowiadało. Musiałem... musiałem odejść.

– Nie byłeś wystarczająco dobry.

– Byłem za dobry – odparł Myal ze smutkiem. – Jedyną rzeczą, którą umiem dobrze robić, ale robię to za dobrze i wszyscy mnie nienawidzą.

– Proszę, zagraj dla mnie, Myalu.

– Nie.

– Rozkazuję ci. Jestem Ciddey z rodu Sobanów. Ty jesteś zwykłym włóczęgą, śmieciem. No, dalej! Graj!

– Nie mogę.

– A to dlaczego?

– Nie wiem.

Nagle ktoś potrącił Myala i popchnął go na dziewczynę. Gęsty tłum wypełniał taras. Wszyscy byli tu przez cały czas, niewidzialni, albo właśnie się pojawili. Wyglądali zupełnie normalnie, trójwymiarowo, nawet pachnieli po ludzku – skórą, potem, winem, perfumami. Oglądali wielką procesję, która przesuwała się ulicami w dół.

– Uważaj – powiedział ktoś do Myala.

Ktoś inny nadepnął mu boleśnie na nogę.

Ciddey drżąc opierała się na jego piersi.

W przypiływie niejasnej paniki Myal uświadomił sobie, że zamiast instrumentu czuje na plecach nacisk tłumu. Niemądrze pomacał się po ramieniu, ale nie znalazł wystrzępionego haftowanego pasa.

Widocznie odłożył instrument i zapomniał o nim. Nie, to absurd. Więc co się stało? Czyżby tylko wyobraził sobie, że zabrał instrument z przełęczą? Ale przecież czuł jego ciężar. Dwa czy trzy razy ten ciężar walnął go w plecy. Więc dlaczego odpowiedział, że nie może grać?

Tłum pojawił się, chociaż przed chwilą go nie było.

Instrument znikł, chociaż przed chwilą był.

Sztuczki duchów. Fantazje, złudzenia i dowcipy... duchów.

Ciddey przywarła do niego i przyciągnęła jego głowę do swojej twarzy. Popychany przez tłum, pocałował ją z zamkniętymi oczami. W myślach miał zamęt.

– Parl Dro pójdzie za tobą – szepnęła, wbijając mu długie paznokcie w ramiona. – I przyniesie instrument.

– Może. Tak. Chyba tak.

– On przyjdzie. – Uśmiechnęła się do niego wilczym uśmiechem. Potem, tak jak poprzednio, przybrała wzruszająco bezbronny wyraz twarzy.

– Zaopiekuj się mną – jęknęła.

Jakiś tłusty, pijany mężczyzna zatoczył się na Myala. Gdzieś w tłumie jakaś dziewczyna szeptem opowiadała o czarodziejskim napoju, który pomoże jej odzyskać niewiernego kochanka. Myal niemal odruchowo zwędził pijakowi sakiewkę. Pieniądze ducha. Jakie to miało znaczenie?

Znaleźli gospodę, jak to podróżni w obcym mieście. Szydł był bogato zdobiony, w odcieniach zgaszonej bieli, mosiądzu i smoczej krwi. Na obrazku dziewczica trzymała za róg obezwładnionego jednorożca, a rycerz w zbroi odcinał mu łeb. Myal skrzywił się na ten widok. W pobliżu gospody strumyk płynął ulicą. Na kamieniu kładkowym siedział kot wyrzeźbiony z marmuru. Myal próbował go pogłaskać, zanim zorientował się w pomyłce.

W gospodzie mężczyźni popijali siedząc za stolami. Zapalone lampy i ogień na kominku nie dawały żadnego światła ani ciepła, tylko jakieś piekielne migotanie. Zjawił się karczmarz i złodziej zapłacił za pokój ukradzionymi pieniędzmi. Ciddey weszła po schodach majestatycznie jak wielka dama. Nie zamówili nic do picia ani do jedzenia. Potrawy na pewno były niematerialne i niepotrzebne, podobnie jak światła Tulotefu. Na schodach Myal zastanawiał się: Trzej jeźdźcy dali mi pić. A może tylko mi się zdawało? Sztuczki duchów. Pewnie jestem głodny. Ale nie był głodny i wiedział dlaczego. Umarł. Zmarli zabili go. To była śmierć, nie omdlenie.



Potem przywieźli go tutaj dla żartu. A jeśli Parl Dro go odnajdzie, Myal powinien przestraszyć się jak każdy duch przy spotkaniu z biegłym, zawodowym zabójcą duchów.

Oczywiście wszystkie duchy powracające z zaświatów muszą mieć jakiś łącznik. Myal wiedział, co jest jego łącznikiem. Instrument. Bardzo dziwna sprawa, ponieważ Ciddey...

– Nie wyobrażaj sobie – powiedziała, kiedy weszli do pokoju – że będziemy spać w jednym łóżku. Tamto w lesie to była zabawa. W zwyczajnych okolicznościach nie pozwoliłabym, żebyś mnie dotknął. Możesz spać na krześle. Chociaż twoje miejsce jest na podłodze, psie.

Łoże miało kotary czarne jak skrzydła kruka. Z wąskiego okna roztaczał się widok na jezioro. Procesja wciąż wędrowała ulicami w sąsiedztwie. Wlokła się bez końca, prawie przez dwie godziny. Zakładając oczywiście, że tutaj można było mierzyć czas. Ale księżyc przesunął się na niebie. Widocznie czas płynął normalnie. Myal patrzył w bezkrwisty ogień i zastanawiał się, dlaczego nie czuje przerażenia ani rozpacz.

– Zimno mi – odezwała się Ciddey z wielkiego czarnego łoża. Wyciągnęła do Myala małą, wąską dłoń. Nie bał się jej, ale już nie czuł pożądania. Mimo to podszedł do niej i wkrótce leżeli razem w łóżku. Całowali się i obejmowali zapadając w senną, melancholijną, zmysłową pustkę. Zamruczała mu do ucha: – Cilny będzie zazdrosna. Moja siostra znienawidzi mnie. W łóżku z mężczyzną. – Potem, po wielu długich, rozkosznych, pozbawionych namiętności pocałunkach: – Nie możesz mnie wziąć. Jestem dziewicą.

Oczywiście skoro umarła jako dziewica, nie mogła stracić dziewictwa po śmierci. Ale Myal czuł tylko jakieś nieokreślone pożądanie, jak w gorączkowym śnie, i nie mógł czy nie chciał przejść do czynów. Na swój sposób ta seksualna gra była bardzo przyjemna. Stanowczo nie chciał

wypuścić Ciddey z objęć, chociaż nie chciał również zaspokoić swojego pożądanja.

Potem, pomiędzy długimi, długimi, bezcelowymi pocałunkami, zaczęli leniwie rozmawiać.

– Myślę, że umarłem – powiedział Myal. – Chyba naprawdę umarłem.

– Szsz. Przestań. Pocałuj mnie. Nie umarłeś.

– Ale... mmm... tak się czuję. Ale chciałem cię zapytać...

– Nie. Nie pytaj. Pocałuj.

– Tak. Och. Ciddey... chciałem cię zapytać o ten muzyczny instrument. O łącznik.

– Myalu...

– To jest mój łącznik z życiem. Teraz ma go Parl Dro. A on przyjdzie tutaj, ponieważ... no, po prostu dlatego, że jest zabójcą duchów i chyba ma obsesję na punkcie Tulotefu, więc będzie musiał przyjść. Ale dlaczego ty?...

– Dlaczego? Kochany...

– Kochana. Dlaczego instrument jest również twoim łącznikiem?

– Taki sprytny. Myal Lemyal jest taki sprytny, i taki kochany.

– Ciddey... chciałbym, żebyś mi powiedziała.

– Powiem ci. Jesteś tylko włączką, ale ja cię kocham. Proszę, powiedziała.

– Dro spalił twój pantofelek. Nie miałem nic innego, co należało do ciebie. Nie rozumiem, w jaki sposób instrument, który mój ojciec zdobył za cenę morderstwa, ma związek z tobą. A jednak ma. Ja dawałem ci energię, żebyś mogła wrócić, a nienawiść do Dro była twoim motywem. Ale łącznikiem był instrument.

– Taki sprytny. Skąd wiedziałeś? Ach...

– Och... Grałem dla ciebie piosenkę przez sen i wtedy przyszłaś. Kiedy zagrałem ją do końca, odeszłaś. A kiedy tu przyszliśmy, chciałaś, żebym zagrał na instrumencie. Kiedy zrozumiałaś, że to złudzenie, przestraszyłaś się...

– Przestań. Nie chcę o tym rozmawiać. Pocałuj mnie.

– Tak... Ciddey? Przestańmy udawać, że żyjemy. Nic się nie stanie, jeśli powiemy sobie prawdę.

– Kocham cię.

– Ja też cię kocham. Tylko teraz żałuję, że to powiedziałem. Bo to nieprawda. Przynajmniej...

– Myału...

Potem przez długą chwilę były tylko narkotyczne pocałunki. Pulsowanie ognia na kominku, który nie dawał światła ani ciepła, klejnoty lamp i pochodni w oknie, które nie rozświetlały mroku. Stłumiony dźwięk dzwonów.

Mogli rozpląnąć się w tym łóżku. Mogli skamienieć i przeistoczyć się w szary posąg, zastygły w wiecznym pocałunku. Nie dbał o to. Potem Ciddey powiedziała cichutko, gładząc go po plecach małymi rękami:

– Kiedy Dro przyjdzie, musimy być silni i pokonać go. Jeśli obiecasz, że mi pomożesz, powiem ci. Jeśli pomożesz mi go zabić. Obiecasz? Przez pamięć mojej siostry.

Zabicie Parla Dro nie wydawało się trudne. To było wstrętne, nikczemne, ale całkiem możliwe.

– Jeśli powiem „tak”, to skłamię.

– Kiedy ja... kiedy ja... w strumieniu... chciałeś go wtedy zabić.

– Byłem chory.

– Obiecuj.

Obiecał jej i skłamał, zapadając powoli w ciemną, głęboką jak loch ekstazę. A wtedy ona z dziecinną ufnością powiedziała mu o instrumencie i wprawiła go w ogromne zdumienie, więc wypytywał ją przez jakiś czas, pomiędzy długimi spazmami ich upiornej, beczasowej, niespełnionej miłości.

Dwa naprawdę okrutne aspekty tej sprawy przekonały go ostatecznie. A kiedy w końcu uwierzył, poczuł się śmieszny. Nawet jako duch. Załamały się idiotyczne, perwersyjne zasady kierujące jego życiem. Ale może tak powinno być, skoro umarł.

Wtedy właśnie coś dziwnego zaczęło się dziać w pokoju.

To było jakieś uporczywe przyciąganie od strony okna, wykrwawianie materii. Myal po raz pierwszy, odkąd uświadomił sobie swój stan, poczuł niepokój.

– Co to jest? – zapytał. A potem zrozumiał, chociaż dziewczyna nie odpowiedziała. Oboje zareagowali całkiem odruchowo. Oderwali się od siebie jak zmięte stronicie książki i leżeli, kochankowie w grobowcu łóżka, patrząc na świt w oknie.

Ten świt nie przypominał poranków, jakie Myal widywał za życia. Nie miał ani barwy, ani światła. Po prostu wsysał świat, pochłaniał wszystko jak niewidzialny pożar.

– Co będzie z nami? – zapytał wreszcie Myal.

– To znaczy?

– W świetle dnia.

– Och, dzień jest nieważny.

Przestraszony Myal sztywno leżał obok obojętnej dziewczyny, czekając na utratę świadomości. To prawda, słyszał o duchach, które pojawiały się w świetle dziennym, jak twierdził w rozmowie z Parlem Dro, ale to były

rzadkie, wyjątkowe przypadki. Noc była osłoną, której potrzebowały żywomory. Z pewnością potrzebowało jej miasto Tulotef.

Pokój wyglądał jak rozmazany szkic. Łóżko było chmurą ciemnej mgły. A Ciddey – odwróciła się na bok, jak gdyby zasypiała, i znikła. W ostatniej chwili Myal zobaczył – albo tylko mu się zdawało – rybę skaczącą w jej włosach.

Ze zgrozą spojrział na własne ciało i ku swemu zdumieniu przekonał się, że wciąż było nieprzezroczyste. Przecież powinien już stracić przytomność.

Reszta pokoju znikła nagle, rozwiała się jak dym. Myal zobaczył obrzydliwy szyld gospody, wirujący w powietrzu jak niezdarny ptak. A potem materac, na którym leżał, zmienił się w skałę i płomienna jasność poranka uderzyła go w oczy, oślepiając go ze śmiertelną siłą.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wszystkie barwy słonecznego widma pędziły przez wzgórze jak rozszalały tłum, tratujący oczy Myala. Nie mógł tego wytrzymać, przyzwyczajony do cieni, mroków i półtonów Ghyste. Czuł się jak rozbitek porzucony na łaskę losu. Noc odbiła od brzegu niczym ogromny okręt wyładowany pasażerami, ale z jakiegoś powodu nie zabrano go na pokład. Czyżby wciąż był żywy? Nie. Jego całkowicie materialna ręka przeszła na wylot przez kamień, który próbował podnieść. A kiedy słońce wspięło się wyżej, Myal wstał, wybrał sobie karłowate drzewko – które widocznie przez całą noc tkwiło niezauważone pośrodku łoża z baldachimem – podszedł bliżej i jak w okropnym koszmarze przeniknął przez przeszkodę.

Zatrzymał się z okrzykiem strachu i słuchał łomotania własnego serca, którego przecież nie miał. Jeśli uwierzę, że nie mam serca, serce przestanie bić, pomyślał i pospiesznie stłumił tę myśl żeby nie dopuścić do utraty najważniejszego organu. Rozejrzał się dziko, usiłując skupić uwagę na otoczeniu. Niezbyt zainteresował go widok nagiego pagórka, bladej, zeschniętej trawy i zwietrzałych skał, otoczonych czarną, kosmatą ścianą lasu. W dzień nie było tu żadnego miasta. Nie było nawet gruzów, nawet śladów po wielkim trzęsieniu ziemi. Wszystko znikło w głębinach jeziora. Potem Myal mimo woli spojrział w dół, wstrzymał oddech – niepotrzebnie, łudząc się jak wszystkie duchy – i zaklął.

Jezioro w kształcie gwiazdy znikło. Pozostała tylko szeroka rozpadlina, wyschnięty, spieczony muł, który stwardniał na kamień, i pięć pustych, rozgałęzionych kanałów.

Myal pochylił się i wyteńczył wzrok. Jezioro wyschło niczym wielka studnia. Albo woda przestała napływać ze źródła, albo gdzieś na dnie zrobiła się dziura. Łóżysko wysychało od trzydziestu lat. Nocne wody Tulotefu również były złudzeniem. Ale gdzie się podziało zrujnowane miasto, które spoczywało na dnie, jak głosiły wszystkie mity, podania i legendy?

– Ładne, prawda? – powiedział cichy, wyraźny, znajomy głos Parla Dro dziesięć stóp z tyłu.

Myal chciał się odwrócić, stracił równowagę i ześliznął się po zboczu. Wylądował na jednym kolanie, czepiając się trawy, której nie mógł uchwycić.

Dro obserwował go. Czarny płaszcz, czarne włosy, czarne oczy na tle rozpalonego błękitu nieba. Obojętny. Muzyczny instrument Myala wisiał na czarnym ramieniu.

Myal skrzywił się.

– No dobra, zaczynaj.

Dro uniósł brwi.

– Znalazłeś mnie – ciągnął Myal ze złością podszytą strachem. – Przyszedłeś tu. Masz łącznik... mój łącznik... ten instrument. Więc zniszcz go. Pozbądź się mnie. Co cię powstrzymuje, do diabła?

Długie brwi Dro opadły i utworzyły prostą czarną linię nad czarnymi oczami. W jego twarzy nie było ani śladu swawolnego okrucieństwa.

– Jesteś pewien, że mam taki zamiar?

– No jasne. Dostyc się nasłuchałem twoich przechwałek. Wyrwij zmarłych jak zepsuty ząb. Żywomory muszą umrzeć. Nie będę z tobą walczył. Zaczynaj.

– Świetnie się składa dla mnie ze względów zawodowych – powiedział Dro – że należysz do tych duchów obdarzonych wyjątkową siłą woli i

magicznymi zdolnościami, które pojawiają się w biały dzień.

– Słuchaj – rzucił Myal drżącym głosem, z zamętem w głowie, dziwiąc się własnej śmiałości – jestem tchórzem, zgoda? I najbardziej boję się, kiedy czekam na coś okropnego. Więc zrób to od razu, dobrze? A może to ci sprawia przyjemność? Sadystyczne terroryzowanie zmarłych.

– Ty nie umarłeś.

– Po prostu... – zaczął Myal i urwał. – Co?

– Ty nie umarłeś.

– Ha – powiedział Myal. Trzasnął pięścią w skałę. – Patrz. Widzisz? Jestem martwy.

– Jesteś poza ciałem, ale twoje ciało żyje. Może kiedyś do niego wrócisz. To jest prawda, chociaż niezbyt pocieszająca.

– Zamknij się – odparł Myal. Ukrył twarz w dłoniach. – Zawsze wiedziałem, że jesteś łajdakiem.

– Niektórzy tak mówią. Ale ty też masz kiepską opinię.

– Zamknij się.

– Pamiętasz Cinnabar? Tę miłą rudowłosą kobietę, która dała ci konia?

– Tę miłą rudowłosą kobietę, która dała ci...

– Dostałeś od niej glinianego psa i włożyłeś go do kieszeni na piersi. W tym psie był narkotyk przesiąkający przez koszulę i przez skórę. Narkotyk, który wywołuje kataleptyczny trans.

– Wywołuje co?

– Wszelkie procesy życiowe zostają spowolnione do minimum, a wtedy można uwolnić ciało astralne. Widocznie Cinnabar uważała, że masz wystarczające psychiczne zdolności, żeby samodzielnie uwolnić swój astral w sprzyjających warunkach. Ale nie potrafisz samodzielnie wprowadzić się w trans.

– Całkiem mi zamąciłeś w głowie! – krzyknął Myal.



– Oczywiście z wielkim trudem.  
Myal wstał. Spojrzał w ziemię...

– Jestem żywy... gdzieś daleko.  
– W rozwalonej chałupie starej kobiety, jakieś siedem czy osiem mil stąd.  
– To uroczo.  
– Zaopiekuje się tobą, dopóki nie wrócisz.  
– A kiedy wrócę?  
– Kiedy narkotyk przestanie działać, i kiedy wykonasz swoje zadanie.  
– Przechodzę przez drzewa na wylot powiedział Myal. – Dlaczego nie zapadam się w ziemię?  
– Zwykły zdrowy rozsądek. Pewnie nawet twój ograniczony umysł rozumie, że to nie ma sensu.  
– Innymi słowy nie wiesz.  
– Innymi słowy – odparł Parl Dro – jesteś bezcielesny, ale tylko w takim stopniu, w jakim sobie życzysz. Możesz przeniknąć przez kamienny mur i podnieść talerz po drugiej stronie. Potrzebna jest tylko siła woli.  
Ściągnął instrument z ramienia i podniósł go do góry za dwa dziwaczne gryfy. Potem rzucił instrument w stronę Myala.  
– Łap.  
Myal skoczył do przodu, nie myśląc, przerażony wizją roztrzaskanego drewna i popękanej kości słoniowej. Złapał instrument tuż nad ziemią. Instrument był ciężki i twardy w dotyku, struny wibrowały cichutko jak mrużący kot. Nie przeszedł na wylot przez ręce. Myal objął go i nogi się pod nim ugięły.  
– Praktyczna demonstracja często bywa skuteczniejsza od wykładu – zauważył Dro. Usiadł na trawie i wyciągnął przed siebie lewą, kaleką nogę. Jego czarne oczy na mgnienie oślepiły z bólu.

Myal przysiadł na skalnym występie, z instrumentem na kolanach. Zafascynowany, gładził jaskrawo malowane pudło i muskał palcami osadzone w drewnie kawałeczki kości słoniowej.

– Jesteś pewien – odezwał się wreszcie – że nie umarłem?

– Jestem pewien.

– Cinnabar to wariatka.

– Nie całkiem. Powiadają, że jeśli wejdiesz do Tulotefu w cielesnej postaci, żywomory zjedzą cię na kolację.

– Czy ona myślała, że mi pomoże w ten sposób? Z powodu tej piosenki, którą chciałem ułożyć...

– Obawiam się, że chodziło jej o mnie – odparł Parl Dro. Popatrzył na suchą, mulistą rozpadlinę martwego jeziora.

– Wymówiłeś nazwę Tulotefu – przypomniał Myal.

– Tak.

– Ostrzegałeś, że nie należy tego wymawiać, zgadza się?

– Tak.

Myala ogarnęło melancholijne uczucie rozczarowania. Przesunął ręką po instrumencie, ale nie miał ochoty grać. Pomiędzy dwoma mężczyznami narastało milczenie. Cisza panowała tam, gdzie przedtem rozlegał się zgiełk upiornego miasta. Lekki wiatr zerwał się nad wzgórzem i przeczesywał czuby drzew, ale prawie bezgłośnie, tylko pustka dźwięczała. Nawet leśny zapach żywicy nie dolatywał tak wysoko. Może to niesamowite miejsce wysysało woń lasu, pochłaniało siłę życiową drzew, wzgórze, ziemi, jak pochłonęło siłę życiową ludzi, którzy z własnej woli lub pod przymusem weszli do miasta.

– Spędziłem noc z Ciddey Soban – powiedział w końcu Myal. – Ale my... nie chcę, żebyś sobie myślał...

– Nic sobie nie myślę.

– W porządku. Ale ona mi powiedziała. O łączniku, który trzyma ją na ziemi. Powiem ci, jeśli dasz mi słowo, że jej nie skrzywdzisz.

– Nie skrzywdzę?

– Nie wyrzucisz jej z tego świata. Dopóki nie będzie gotowa odejść.

– Chyba wiesz, ile jest warte moje słowo.

– Zaufam ci.

– Nie, ty mi nie ufasz. Coś cię gnębi i chcesz o tym opowiedzieć, żeby sobie ulżyć. To wszystko. I dlatego gotów jesteś zdradzić Ciddey Soban.

– Ona chce cię zabić.

– Na to jeszcze jest za słaba.

– Ona jest bardzo silna. Wyciągała energię także z ciebie za moim pośrednictwem. Siła życiowa zabójcy duchów musi być wyjątkowo cenna dla ducha. A ona w dodatku była czarownicą.

– Nie doceniasz swojej własnej siły psychicznej. Ona mnie nie potrzebowała. I nie dam ci słowa.

Myal gryzł źdźbło trawy, które udało mu się zerwać.

– I tak ci powiem. Ciągle mam nad tobą przewagę. Sam zobaczysz dlaczego.

– Ponieważ – odparł Dro – łącznik Ciddey prawdopodobnie znajduje się w tym instrumencie, który właśnie ci oddałem.

Myal zmarszczył brwi, naśladowując marsową minę Dro.

– Co za inteligencja. Wiesz, gdzie to jest?

– Myślałem o tych ozdóbkach z kości słoniowej – wyjaśnił Dro – ale ona chyba ma wszystkie kości.

– To nie kość – zaprzeczył Myal. – To ząb. Mleczny ząb. W dzieciństwie upadła i wybiła sobie ząb. Miała dopiero roczek.

Myal niepotrzebnie wziął następny głęboki oddech. Zirykowała go ta absurdalna historia. Dwie reguły rządzące jego życiem opierały się na

kłamstwach.

– Stary Soban zachował ten ząb. Był przesądny. Potem trafiła mu się okazja, żeby zahandlować. On ciągle sprzedawał różne rzeczy na wódkę, meble, pamiątki rodzinne. Był pijakiem, tak jak mój ojciec. Pewnie dlatego się spotkali. W jakiejś gospodzie. Soban przy kieliszku gotów był pokumać się z każdym śmierdzącym włóczęgą. Namówił mojego ojca na kupno unikalnego muzycznego instrumentu. Instrument pochodził z dalekich krajów. Nikt nie potrafił na nim grać. Święta prawda. Mój ojciec, który z pijaństwa ledwie widział na oczy, poszedł do domu Sobana, spojrzął na instrument i natychmiast wyobraził sobie, że nauczy się na nim grać i zbije fortunę, ponieważ jest geniuszem. Czasami miewał takie pomysły. Więc fachowo obmacał instrument, pociągnął za struny, dmuchnął w piszczalkę i oświadczył, że kupuje. Ale w intarsji brakowało kawałka kości słoniowej. Ile Soban opuści z ceny wywoławczej?

– Na co Soban odpowiedział – wtrącił Dro wpatrując się w jezioro – że może uzupełnić brak. Zabrał instrument na górę, znalazł mleczny ząb i osadził go w drewnie.

– Właśnie. Ciddey wiedziała, bo jej ojciec zrobił z tego wielką historię. Wstydziała się tego. Dopóki nie zawędrowałem w te strony. Wtedy ząb okazał się bardzo pożyteczny.

– Ale to nie wszystko – zauważył Dro.

– Tak. Teraz będzie najlepszy dowcip. Naprawdę bardzo śmieszny. Soban był spryciarzem. Zbierał rozmaite rupiecie i robił z nich cudaczne przedmioty. Instrument... – Myśl konwulsyjnie ścisnął dwa drewniane gryfy – widzisz, instrument też powstał w ten sposób. Soban wziął dwa pudła ze strunami... gitary, mandoliny czy coś w tym rodzaju... dopasował je i połączył ze sobą. Piszczalkę dodał później, żeby całość wyglądała bardziej... dziwacznie. Dowcip polegał na tym, że ten przeklęty instrument

nie nadawał się do grania. Był nieodpowiednio skonstruowany. A mój ojciec po pijanemu tłukł mnie do krwi i obiecywał, że on już mnie nauczy grać, jak tylko wytrzeźwieje.

– A ty oczywiście potrafisz doskonale grać na instrumencie.

– Rzygać mi się chce od tego. Naprawdę. I jeszcze jedno...

– Co takiego?

– Mój przekłęty ojciec. Chuchał i dmuchał na ten instrument, polerował drewno, brzdąkał na strunach i opowiadał, jak to zabił człowieka, żeby go zdobyć. On wcale nie zabił ojca Ciddey. Nawet nie ukradł tego instrumentu. Zapłacił za niego.

– Jesteś rozczarowany.

– Nie. Po prostu... przez całe życie bałem się jego gniewu, jego morderczej furii. A on nie zabił. Dziwne, bo wyglądało na to, że mówił prawdę.

Dro wstał. Myal zerknął na niego.

– Czy pamiętasz dokładnie, co mówił? – wolno zapytał Dro. – Dokładnie co do słowa?

– Tak, pamiętam. Często o tym opowiadał.

– Powtórz.

Myal zakręcił się nerwowo, reagując na zdradliwe napięcie wiszące w powietrzu. Napięcie, które istniało między nimi od początku, które teraz narastało, ogarniało ich obu.

Wreszcie Myal spuścił wzrok i dotknął strun. Nieświadomie przeniósł się myślami w przeszłość, do tego okropnego, znenawidzonego człowieka, którego delikatne ręce spoczywały na instrumencie, którego małe, świńskie oczka wypełniały się zimną czerwienią. Wspominał, smakował to, co minęło.

– On mówił: „Nauczysz się na tym grać, ty wstrętny mały szczurze. Zabiłem człowieka, żeby to zdobyć. Zabiłem go na śmierć”.

– Tak – mruknął Dro.

Jego oczy były szeroko otwarte, ale wyglądały jak zamknięte. Jak oczy człowieka, który właśnie umarł.

Myal oderwał się od wspomnienia ojca. Wynurzył się na powierzchnię z westchnieniem.

– Co to jest? – zapytał.

– To suche jezioro – odparł Dro. – Schodzimy na dno.

– Co?

Parł Dro ruszył w dół po zboczu, kołysząc się na kulawej nodze ze sztywną, bolesną elegancją.

Ogłupiały Myal pospieszył za nim zapominając, że bezcielesne zjawy nigdy nie muszą się spieszyć.

Twardy, spieczony szelf przybrzeżny, częściowo spetryfikowany, opadał tarasowato niczym zakurzone kamienne stopnie, prowadzące do jakiegoś ogromnego lochu. Tu i ówdzie na bagnach, powstałych w procesie wysychania jeziora, wyrosły dziwaczne drzewa i krzaki, które później również wyschły na kamień. Ale nie tylko brak wody zmienił to miejsce w pustynię. Trzęsienie ziemi, które zniszczyło miasto Tulotef, prawdopodobnie spowodowało też osuszenie jeziora. Wulkaniczna aktywność pod ziemią towarzyszyła wstrząsom na powierzchni. W rezultacie jakaś płynna trucizna, jakieś podziemne jady przesączały się do wód jeziora. Umierając jezioro również zabijało.

Nie było tu nic pięknego, nie było nawet pięknych ruin ani dzikiego piękna pustyni. Z bliska trup jeziora i promienie kanałów najbardziej przypominały jakąś brzydką, nieudolną rzeźbę w rzeczonym mule,

wystawioną na słońce, a potem powiększoną ponad wszelkie rozsądne granice.

Zejście na górny poziom szelfu zabrało im parę godzin. Potem przez następne godziny chodzili wokoło albo siedzieli i ponuro milcząc wpatrywali się w otchłań. To było jak brama piekła, ale bez piekielnego blasku i ciepła płomieni.

Później weszli na równy grunt, pokryty regularną siatką pęknięć, i obserwowali lepkie cienie, które wciąż kryły się w korycie rzeki. Te resztki wody również były zatruta. Szkielety ryb leżały gęsto jak opadłe liście, zagrzebane w petryfikującym mule. Myal zauważył, że las na brzegach jeziora i kanałów również umierał. Martwe drzewa stały nagie, jak ogromne rybie ości. Nie było ptaków ani zwierząt.

Nigdzie nie było śladu po Tulotefie, które na skutek obsunięcia gruntu runęło do jeziora.

Usiedli na zwałonym drzewie. Nadeszło popołudnie i wydłużyło artystycznie ich cienie na plamach słońca.

– Więc gdzie to jest? – zapytał Myal. Poza przypadkowym przekleństwem były to pierwsze słowa, które przerwały wielogodzinne milczenie. Ciążąca nad nimi rozmowa została odłożona na później. Nie mogli do niej wrócić, tak jak nie mogli dosięgnąć do kępek trawy, dopóki nie wdrapią się z powrotem na wzgórze. Myal niósł instrument na ramieniu. Nie mógł już przenikać przez przeszkody, jak gdyby uniemożliwił to materialny ciężar instrumentu.

– Jeśli pytasz o miasto – odparł Dro – właśnie na nie patrzysz.

– Nie, wcale nie. Skoro jezioro wyschło, tu na dole powinny być ruiny. Popękane dachy i połamane szkielety.

– Są tutaj. Nie widzisz ich, ponieważ albo zgniły i rozpadły się od wilgoci, albo skamieniały w mule.

– Och.

Myal podniósł garść kamyczków, zadowolony, że może to zrobić. Cisnął je w kałużę na dnie rzeki. Kamyczki wpadły do wody z cichym chlupotem, niektóre wylądowały w trzeszczących rybich ościach. Za lasem zimne białe turnie spoglądały w błękitne niebo. Tylko niebo wydawało się żywe. Myal nie oglądał się na wzgórze, gdzie jego astralne ciało spędziło większość nocy, przytulone do Ciddey Soban.

– Domyślam się – powiedział – że masz jakiś niezwykle sprytny plan, żeby je zniszczyć. To znaczy resztki ruin.

– Nie.

Myal odwrócił się i popatrzył uważnie na Dro.

– Ale ruiny są psychicznym łącznikiem dla Tu... dla Ghyste, prawda? Musisz je zniszczyć.

– Kluczem do uwolnienia ducha jest przemiana łącznika. Metamorfoza. Kość trzeba roztrzaskać. Pantofelek trzeba spalić.

– No więc w jaki sposób chcesz to wszystko spalić i roztrzaskać?

Dro spojrzał na niego. Wydawał się starszy niż zmarszczki na jego twarzy i obdarzony zwierzęcym magnetyzmem, jak wielki czarny kot.

– Nie chcę, Myalu. Nie muszę. Większość ruin już się zmieniła. Większość rozpadła się lub skamieniała. To wystarczy. A reszta wkrótce się zmieni. Jeszcze trochę śniegu w zimie, jeszcze jedno gorące lato i nie zostanie tu żaden łącznik, którym mógłby się posłużyć zbiorowy duch Tulotefu.

– Zaczekaj chwilę.

Dro popatrzył na Myala z wyjątkowo uprzejmym wyrazem twarzy.

– Ja tam byłem – oświadczył Myal. To było rzeczywiste. One są silne. Całe ożywione miasto i ludzie, którzy wyglądają jak żywi, jak ty.

– Albo jak ty – dodał Dro.



Myal wydawał się lekko zmieszany.

– Nie zamierzasz tego wyjaśnić?

– Owszem, zamierzam.

Dro mówił spokojnie i powoli, obserwując Myala. Myal nie zawsze mógł wytrzymać wzrok starszego mężczyzny. Dzielili ich różnica jakichś piętnastu lat, ale to było jak stulecie. To było jak ból, jak rana, która nigdy się nie zagoi.

Tulotef było wielkie i silne w oczach Myala, ponieważ Myal tego się spodziewał i ponieważ sam nie przebywał już w ciele żywego człowieka. Ulice, tłum, wielka procesja, pijak, którego obrabował, karczmarz, łóżko – nawet trzech jeźdźcy w lesie – to wszystko istniało, ale tylko w postaci echa, podczas gdy on i martwa Ciddey widzieli rzeczywistość.

– To legendy są silne i będą coraz silniejsze, nawet kiedy Ghyste Mortua zniknie z powierzchni ziemi. Legendy, w które uwierzyła Cinnabar, kiedy jej mąż zaczął interesować się magią i uciekł od niej. Legendy, które opowiadają w całym kraju. Tak, duchy z roku na rok stają się coraz potężniejsze... w legendach. W rzeczywistości to tylko strzępki wspomnień, pokutujące w lesie i na wzgórzu.

Dro opowiedział Myalowi o Kunie, która mieszkała w lesie, tak blisko Ghyste.

– Ona często widuje duchy z Ghyste. Te duchy stały się materialne. Ona widuje je nawet w dzień. Ale tylko dlatego, że tego się spodziewała. Albo tego chciała i chyba puściła wodze wyobraźni. Mieszka tak blisko, że łatwo mogła paść ofiarą duchów. W bajkach Tulotef porywa wszystkich ludzi z okolicy, żeby karmić się ich energią. Cinnabar w to wierzyła. I ja też, dawno temu, kiedy uczyłem się wysyłać duszę poza ciało, żeby bezpiecznie wejść do miasta. Nie. Teraz duchy nie zagrażają żywym. Jedyłą ofiarą,

którą mogą schwytać, jest ktoś, kto w ogóle nie może być ofiarą, ktoś taki sam jak one. Albo prawie taki sam. Ciddey albo ty.

– Ale... – zaczął Myal.

Umilkł przypomniawszy sobie mieszkańców miasta, którzy czasami pojawiali się, a czasami znikali, ich bezcelowe, powtarzające się czynności. Nawet trzech bandyci w lesie, którzy wyciągnęli go ze stawu, pojawili się jakby znikąd. A ich przerażające drwiny z nekrofilii pomiędzy śmiertelnikiem a żywomorem, adresowane na zmianę do niego i do Ciddey – jak gdyby dwa nowe duchy były tak świeże, tak stosunkowo żywotne, że jeźdźcy błędnie wzięli któregoś z nich lub oba za żywych ludzi.

– Ale – powtórzył Myal – ty tak nie myślałeś, skoro tu jesteś.

– Kiedy wyruszyłem w drogę, miałem powody, żeby wierzyć w groźne, tajemnicze miasto duchów u szczytu potęgi. Potem miasto stało się moim celem. Musiałem je znaleźć. Ale już od kilku dni domyślałem się, co znajdę.

– Nic nie mówiłeś.

– Nie.

– I co teraz zrobisz?

– Pozwolę mu spokojnie umrzeć. Ono praktycznie już umarło.

– I to mówi zabójca duchów.

– Właśnie.

Myal poczuł zimny dreszcz. Nie rozumiał przyczyny. Popatrzył na Dro, a Dro uśmiechnęła się i odwróciła wzrok.

– Więc nie musisz lękać się jedynego ducha, jaki tu pozostał – oświadczył Dro. – Czyli Ciddey. Obawiam się, że jej siostra padła ofiarą mojej nadgorliwości. Może to i lepiej. Ale Ciddey... to już twój kłopot.

– Dziękuję pięknie. Mówiłeś, że ona na mnie żeruje.

– Może przestanie. Coś mi przyszło do głowy. Nie zawsze tak bywa, ale zdarza się czasami. Ciddey pojawiała się nie tylko w twojej obecności, na przykład w wiosce Cinnabar na ulicy. Kiedy nabierze sił, może będzie w stanie przetrwać bez... – Dro urwał.

– I ty to mówisz – burknął Myal.

Dro wstał i odszedł. Myal ruszył za nim. Na środku spękanej płaszczyzny Dro odwrócił się.

– Dlaczego nie skończysz swojej przeklętej piosenki?

– Czyli mam się wynosić.

– Potrafisz świetnie dobierać słowa, Myalu Lemyalu.

– To twój wpływ – odgryzł się Myal. – Nauczyłem się od ciebie wielu rzeczy. Pewnie niedługo zacznę kuleć.

– No dobrze – rzucił Dro. – Zapewniłem ci fizyczną opiekę. Powiedziałem ci, że możesz wrócić do swojego ciała. Wyjaśniłem ci tajemnicę Tulotefu. Czego jeszcze chcesz?

– Uważasz, że wyjaśnienie wystarczy? Uważasz, że słowa wystarczą? Chcę dowodu.

– Jakiego dowodu?

– Zaczekaj do nocy. Potem spotkaj się ze mną w mieście. Naprawdę, bez żadnego przeklętego transu, w jaki mnie wprowadziła twoja rudowłosa przyjaciółka nie pytając o pozwolenie. Przyjdź jako nawrócony zabójca duchów, z krwi i kości. Po zachodzie słońca. Do Ghyste Mortua. Skoro to bezpieczne.

Coś przemknęło przez twarz Parla Dro.

– Odmawiam.

– Boisz się.

– Tak. Chyba tak. Ale nie tego, o czym myślisz.

– Nic nie myślę. Mam pustkę w głowie.

Dro nie odpowiedział, nie skorzystał nawet z okazji do kpin.

– Po zachodzie słońca – powtórzył Myal. Wcale nie czuł się głupio przybierając dramatyczną pozę. – Jeśli jeszcze tu będę – oznajmił – mam przeczucie, że przyjdiesz.

– Twoja magnetyczna osobowość – zadrwił Dro. Odzyskał już równowagę.

– No, nie. Ale zauważyłem, że albo przychodzisz po mnie, albo zostawiasz mnie w takim miejscu, żebym mógł cię dogonić.

– To znaczy, że czegoś od ciebie potrzebuję.

– Właśnie.

– Ciekawe, co to może być.

– Cinnabar wiedziała.

– Cinnabar pewnie myślała, że jesteś moim chłopaczkiem.

Myal cofnął się o krok.

– Ty też pewnie myślisz, że o to chodzi.

– O co?

– O to, że... czuję pociąg... że... – Myal zaczerwienił się po same uszy. Odwrócił się, złapał następny kamyk i cisnął go na wzgórze Tulotefu, gdzie niegdyś kamienie spadały jak śmiertelny deszcz na wzniesione twarze. Jego ciało leżało w chacie osiem mil dalej, a jednak ciało astralne wciąż mogło czerwienić się ze wstydu. Albo przynajmniej stwarzać takie pozory.

– Spotkamy się w mieście po zachodzie słońca – oświadczył Myal.

Odszedł szybko w stronę wzgórze, a Dro stał bez ruchu, jak gdyby zmienił się w kamień razem z jeziorem, ziemią i szkieletami ryb.

Kilka minut po zachodzie słońca, który niedbale zabarwił horyzont, Ciddey Soban znalazła się znowu w wielkim łożu, pod kruczoczarnym baldachimem, sama.

Różowoszare blaski zachodu nie zmieniły wyglądu pokoju. Zmierzch stwarzał na nowo ściany, meble, myśli. Ciddey usiadła na lodowatych prześcieradłach i zrozumiała, że Myal, który był z nią przed chwilą – zanim przeszkodził im krótki dzień – odszedł. I nie tylko odszedł. Pod wpływem chorobliwej podejrzliwości natychmiast ogarnęły ją złe przeczucia.

Parl Dro był w Tulotefie, a Myal poszedł, żeby się z nim spotkać.

Myal był współnikiem Dro. Albo jego uczniem.

A ona, samotna i złąkniona, zniżyła się do Myala i w jego ciepłych ramionach zdradziła swoją tajemnicę. Wyznała mu wszystko ze złośliwą radością. Ale postąpiła niemądrze.

Głupio myśleć, że zmarli tworzą wspólnotę. Myal będzie lojalny wobec swego pana, Dro. Nawet po śmierci Myal stanie po stronie Dro przeciwko niej.

Ciddey ujrzała naraz śliczną, dziecinną twarz swojej siostry, nabrzmiałą, unoszącą się w wodzie. To dlatego Ciddey myślała, że sama nie żyje. Identyfikowała się z Cilny. Bzdura. Ciddey nie umarła. Studnia, strumień... nie. Ciddey żyła. To Myal umarł. Myal, który sprowadził ją do tego dziwnego miasta.

Dzień minął tak szybko. Dlaczego nic nie pamiętała?

Gdzieś na ulicy grała muzyka. Dzwony łagodnie wyłaczały ciemność. Żółtawa kropla, jak wyłuskany migdał, zawisła w oknie, znikła i ukazała się następna. Ciddey przypomniała sobie procesję, w której na pewno jechał książę, władca miasta.

Samotna, bezbronna i szlachetnie urodzona, powinna poprosić go o opiekę. Wtedy morderca jej nie dosięgnie. Tak, może również zażądać sprawiedliwości. Dro zabił jej siostrę. Musi za to zapłacić. I zapłaci.

Zerwała się z łóżka, przeszła przez zamknięte drzwi nie zwracając na to uwagi i zbiegła po dziwnie pustych schodach na czarno oświetloną ulicę.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Procesja płynęła szeroką ulicą jak długa fala ciemności, jak ciemny wiatr. Lamy i świece kołysały się jak blade owoce. Kapłani nosili wyblakłe karmazynowe habity i wyblakłe złote maski, wypłukane z barw. Kadzielnice dymiły i wydzielały oleistą woń. Chłopcy w sinobiałych szatach śpiewali wysokimi głosami, wznoszącymi się ponad dźwięk dzwonów. Przejechał powóz zaprzężony w czarne konie o szklanych oczach, potem następny i jeszcze jeden. Księżę czy baron jechał pośród uzbrojonych ludzi. Zielonkawe płaszcze trzepotały im u ramion.

Na skrzyżowaniu ulic szerokie schody prowadziły do położonej wyżej alejki. Ciddey stanęła na schodach, wyprostowała się i czekała.

Kiedy powozy i kapłani zbliżyli się, Ciddey odrzuciła włosy do tyłu i przeczesła je palcami. Nadeszli uzbrojeni mężczyźni. Ciddey przyglądała im się szukając tych, którzy napadli ją zeszłej nocy, ale stwierdziła, że nie potrafi ich rozpoznać. Każda twarz w tłumie wydawała się zamazana. Nawet oblicze księcia, jadącego w książęcych szatach pośród swych ludzi, było bez wyrazu, przypominało wyblakły haft na starym gobelinie.

Wszystko jedno.

– Mój panie! – krzyknęła Ciddey wznosząc małe piąstki. – Błagam o miłosierdzie! Mój panie, wysłuchaj mnie!

A potem w okropnym olśnieniu zrozumiała, że procesja zignoruje ją i niepowstrzymanie przejdzie dalej. Ogarnięta paniką, urażona w swej dumie, Ciddey wydała okrzyk zawodu i rzuciła się ze schodów w stronę najbliższego konia.

Przez mgnienie nie mogła go dosięgnąć, nie czuła nic pod palcami. Potem odzyskała zmysł dotyku, wczepiła się w grzywę, objęła obutą nogę jeźdźca. Podniósłszy wzrok rozpoznała twarz jednego ze zbirów, którzy napadli ją w lesie.

– Panie! – zawołała. – Błagam cię. Wysłuchaj mnie, proszę.

Mężczyzna spojrział na nią niewidzącym wzrokiem, jak przebudzony ze snu na jawie. Nawet jeśli ją rozpoznał, nie okazał tego. Próbował ją odepchnąć.

– Panie – zaskomlała Ciddey – jestem szlachcianką. Muszę mówić z waszym władcą. Muszę go ostrzec. Grozi nam niebezpieczeństwo.

– Ach tak – powiedział jeździec w zbroi. Czerwony klejnot błyszczał ponuro, jak wtedy nad stawem, kiedy jeździec groził jej mieczem. Ale miecz jakimś cudem nawet jej nie drasnął. – Wszyscy tak mówią. Dopuszczcie mnie do księcia, mówią. Tylko pięć minut. Zakłócanie porządku jest karalne.

Ciddey, uparcie czepiająca się konia i jeźdźca, straciła grunt pod nogami. Procesja uniosła ją ze sobą. Jeździec przestał ją odpychać. Rzucił jej pożądlive spojrzenie.

– Nie rozumiesz. Ktoś jest w mieście. Zabije nas wszystkich.

– Wskakuj – powiedział jeździec i wciągnął ją na siodło. Posadził ją przed sobą, jak wczoraj w nocy. Czyżby naprawdę nie pamiętał?

– Najpierw ja go zabiję – oznajmił.

– Tak – szepnęła Ciddey. – Chciałabym.

– Czego jeszcze chcesz?

– Pozwól mi pomówić z twoim panem.

– Jesteś tu obca. Nie możesz mówić z księciem.

– Jestem Ciddey. Nie pamiętasz mnie?

– To jest Tulotef. Nie mogę pamiętać każdej dziewczyny, której pomachałem na ulicy.

Dziwne. Im dłużej rozmawiała z tym mężczyzną, tym bardziej stawał się rzeczywisty, ludzki. Otaczający ich jeźdźcy również przestali być anonimowi. Śmiali się, żartowali lub rozglądali się wyniośle. Konie parskwały. Nawet dzwony dźwięczały głośnie. Ciddey chciała się obejrzeć, ale jeździec przytrzymał ją. Słowa cisnęły się jej na usta i nie mogła dłużej ich powstrzymać, chociaż próbowała odebrać im znaczenie.

– Ten człowiek, który tu przyszedł. Nazywa się Parl Dro. Słyszałeś kiedyś o... zabójcy duchów?

Wówczas wydarzyło się coś niezwykłego. Ciddey mówiła cicho, ale słowa padające z jej ust rozbrzmiały z nieoczekiwaną siłą. Rozkwitały, potężniały, wypełniały ulicę, uderzały w ściany domów, wzlatywały w oniemiałe niebo niczym spłoszone ptaki wypuszczone z klatki. I nagle niepowstrzymana procesja zatrzymała się, znieruchomiła jak zamieniona w kamień. Jeźdźcy siedzieli sztywno wyprostowani, konie uniosły łby. Chór chłopięcych głosów zamarł, dzwony umilkły i nawet wiatr ucichł.

Ciddey zadygotała czy tak jej się zdawało. A potem ten człowiek z tyłu, o twarzy jak popruty haft, przemówił głośno:

– Przeprowadźcie ją do mnie.

Jeździec Ciddey zręcznie zawrócił konia i przecisnął się przez znieruchomiły tłum. Nikt na nich nie spojrzał. Nikt nawet nie mrugnął okiem, nie machnął wstążką, nie błysnął paciorkiem. W całym mieście panowała cisza.

Księżę Tulotefu patrzył na nią.

– Kim jesteś?

– Nazywam się Ciddey. Ciddey Soban.

– Nigdy nie słyszałem tego nazwiska.



Nagle ogarnął ją lodowaty chłód. Poczuła się samotna, bardzo samotna. Pośród obcych, bez przyjaciół. Nikt nie ujmie się za nią.

– Chcę cię ostrzec. Jest tu podróżny, który...

– Tak – powiedział książę. Przypominał szmacianą lalkę. Twarz miał teraz w strzępach i sprawiał wrażenie, że za chwilę rozpruje się od stóp do głów jak nieudana robótka na drutach.

Ciddey chciała wrócić do domu. Nie chciała się bać, nie chciała już szukać zemsty. Nie chciała być bohaterką. Pragnęła spokoju, ciszy, zapomnienia. Pragnęła odpowiedzi na pytania, których nie potrafiła zadać. Ale Myal... Myal i Parl Dro...

– Musicie go zniszczyć. Macie dość siły. Jest was dużo – powiedziała z goryczą, nie bardzo wiedząc, o czym mówi i dlaczego jest rozgoryczona. – Albo on, albo wy. On jest mistrzem w swoim zawodzie. Ja go znam. Widziałam go przy pracy.

Ten człowiek, książę, rządził w Tulotefie tej nocy, kiedy zawaliło się wzgórze. Kiedy Ciddey utonęła, on już od stuleci powracał do tego miejsca.

Spuściła oczy. W ustach czuła smak wody, potem popiołu. Powtórzyła jeszcze raz: – Zabijcie go.

Słońce zaszło i martwe miasto zaczęło wracać, ale nie wyglądało dokładnie tak samo. Kamienne ulice były mniej wyraźne. Szczyty wież rozmywały się, krawędzie dachów przesłaniała delikatna mgiełka znad jeziora. Ponieważ jezioro również powróciło, wypełniło puste łożysko i kanały, jak gdyby świat krwawił wodą. Ale nawet jezioro uległo subtelnej przemianie, zamarzło w letnim zmierzchu i przypominało gładką, nieruchomą, lśniącą tafłę lodu. Myal obserwował te zmiany niemal ze zniecierpliwieniem. Czuł się dziwnie odprężony, ponieważ wszystko stało się farsą. On, żywy duch, stał w mieście duchów z prawdziwym drewnianym instrumentem na ramieniu, opierając się drugim ramieniem o narożnik widmowego domu,

który również wydawał się prawdziwy. W tej sytuacji jedynym ratunkiem był obłąd lub wypracowana obojętność. Myal wybrał to drugie, zgodnie ze swoim charakterem. Oparł się wygodniej i patrzył na procesję płynącą w dole ulicą. Nawet zabawiał się wymyślaniem muzycznego kontrapunktu do śpiewów i bicia dzwonów, ale jakoś nie miał ochoty sięgnąć po instrument.

Na murze naprzeciwko nagryzmołono jakiś napis. Myal pożałował, że nie może go przeczytać na skutek braków w wykształceniu. Potem zorientował się, że napis jest nieczytelny, ponieważ został odwrócony jak lustrzane odbicie.

Czekał na Parla Dro – początkowo z pewną nonszalancją, maskującą niejasny niepokój. Po półgodzinie czekał z nerwowym zniecierpliwieniem, maskującym strach, wściekłość i dziwną, niezrozumiałą udrękę.

Myal sam dobrze nie wiedział, dlaczego zażądał, żeby Parl Dro przyszedł do Tulotefu. Posłużył się dramatycznym, pustym argumentem – zażądał dowodu. Dowód na co? Komu to potrzebne? Nie, Myal zdawał sobie sprawę, że po prostu narzucił swoją wolę Dro. I że od samego początku ich znajomości, jeśli można to tak nazwać, czuł jakiś idiotyczny pociąg do Dro. Ten fakt niepokoił Myala z wielu powodów. Początkowo wyglądało to na kolejne impulsywne, fatalne zauroczenie niebezpieczeństwem. Poza tym miał pretekst: chciał ułożyć pieśń o Ghyste Mortua. Ale kiedy wpadł na ten pomysł? Czy rzeczywiście nosił się już z tym zamiarem, zanim próbował okraść zabójcę duchów w górskiej wiosce? Teraz zdawało mu się, że jakieś tajemnicze, złośliwe przeznaczenie zaprowadziło go przez przełęcz do wioski i zaledwie o cztery czy pięć dni wyprzedziło Parla Dro, który przykuśtykał tą samą drogą. Złośliwa i nadprzyrodzona moc. Ponieważ w rezultacie Myal nie tylko spotkał Dro, ale również odkrył ostateczną prawdę o instrumencie – już nie cudowny atrybut Terpsychory, ale żart, zwykłe oszustwo, zabawka błazna. Przez ostatnie kilka dni zbiegi

okoliczności prześladowały Myala na każdym kroku. Losy jego, Dro i nawet Ciddey Soban splątały się jak pasma wełny.

Coś dziwnego działo się z procesją. Myal nie przyglądał się zbyt uważnie, ale zdawało mu się, że procesja najpierw przystanąła, a potem zmieniła kierunek niczym wezbrana rzeka...

– Dobrze się bawisz?

Myal znowu o mało nie stracił równowagi. Odwrócił się gwałtownie z okrzykiem gniewnej ulgi. Parl Dro stał pod żółtą lampą, nieruchomy jak posąg. Zjawił się niepostrzeżenie, tak jak poprzednio na wzgórzu.

– Chcesz mnie wystraszyć na śmierć – burknął Myal.

– Bynajmniej. To zbyt łatwe.

– No, więc przyszedłeś.

– Przyszedłem. I co będziemy robić?

– No... nie wiem – powiedział powoli Myal. Chyba po prostu zaczekamy, aż coś się stanie.

– Tak, na pewno coś się stanie. – Dro spojrział w dół, na bezładnie kłębiącą się procesję. – Wiesz, że twoje metafizyczne zdolności, chociaż nie kontrolowane i niedojrzale, spowodowały ten kryzys.

– Och, nie opowiadaj bzdur.

– Obawiam się, że to prawda.

Procesja skręcała w alejkę. Myal nagle skojarzył sobie ten widok ze stadem owiec i wybuchnął piskliwym śmiechem. Księżę – władca Tulotefu i jego upiorny dwór przypominali Myalowi owce. Nawet jeśli byli groźni. Nawet jeśli byli niematerialni. Rzeczywiście kryzys.

Wkrótce procesja minie gospodę, gdzie Myal spędził noc z Ciddey Soban. Może to coś znaczy. Myal zauważył szyld gospody, wystający nad dachami trochę dalej. Chociaż nie mógł tego zobaczyć, dziewczyna na

obrazku wciąż trzymała jednorożca za róg, a rycerz w zbroi odrąbywał mu głowę. Symbol kastracji? Może po prostu omen. Myal odwrócił się do Dro.

– Myślę, że Ciddey idzie w procesji. Jeśli tak, to na pewno powiedziała księciu o tobie... o twoim zawodzie. Mówiłeś, że Tulotef jest słabe, ale jak bardzo słabe? Oni mogą cię zabić, prawda?

– Chyba że przyjdę tutaj w astralnej postaci, tak jak ty. Tak jak pierwotnie planowałem, zanim mi to wyperswadowałeś.

– Przepraszam. Myślałem... mówiłeś,...

– Oni nie zabijają. Już nie zabijają, kogo popadnie. Nie mają tyle energii i brak im motywu. Chyba że chodzi o egzorcystę. Nienawiść żywomorów do egzorcystów jest równie głęboka, jak strach przed żywomorami u większości ludzi.

Myal opanował wyimaginowane mdłości i powiedział:

– Odejdź. Uciekaj.

– Zapominasz, że jestem kulawy – bardzo uprzejmie odparł Dro.

– No to uciekaj na jednej nodze. Ja ich zatrzymam.

– Jak? Zaśpiewasz im? Zagrasz do tańca?

– Coś wymyślę. Oni nie mogą mi nic zrobić. Mogą?

– Chyba nie. Ale na twoim miejscu wolałbym się nie zakładać.

– Wiem, że szukasz śmierci – zimno oświadczył Myal. – Jak każdy morderca. Ale nie szukaj jej tu i teraz. Odejdź.

– Podczas gdy ty bohatersko staniesz do walki.

– Odejdź.

– Walczyłeś kiedyś z żywomorami?

– Ile razy mam ci...

Parl Dro stał jak cesarz i obserwował rzekę zmarłych opływającą domy, wypełniającą ulice, zalewającą schody. Myal wrzeszczał na niego, potem burczał, a potem w ogóle przestał się odzywać. On również patrzył z

zamierającym, nieistniejącym sercem na karmazynowe zjawy kapłanów z Tulotefu, które gromadziły się po drugiej stronie ulicy. Kapłani, chór, nawet powozy jakoś zmieściły się w wąskim przejściu. Potem wszyscy rozstąpili się na boki i oddział uzbrojonych jeźdźców wbił się klinem w tłum.

Myal przeszywał ich wzrokiem. Nie dosłownie, ponieważ nie byli przezroczyści; ich bezcielesność zdradzały inne, bardziej ulotne oznaki. A jednak oczy Myala przewiercały ich na wskroś, szukając w obcym tłumie jednej znajomej twarzy, która była oczywiście twarzą Ciddey.

Obok niej jechał jakiś człowiek odziany w mętnie połyskujące szaty, na pewno księżę. Ciddey, nie odrywając wzroku od Myala, nieznacznym gestem pokazała go księciu. Ale księżę Tulotefu trwał w bezruchu i zdawał się istnieć tylko dlatego, że Ciddey obdarzyła go uwagą.

Więc to Ciddey przemówiła.

– Witaj, zdrajco – powiedziała do Myala. A potem nazwała go bardzo brzydko. Chociaż to wyzwisko często obijało się o uszy Myala, tym razem dotknęło go szczególnie, ponieważ padło z jej uroczych ust. Ale spojrzenie dziewczyny prześliznęło się po nim i spoczęło na Dro.

– Księżę panie – powiedziała Ciddey – opowiadałam ci o tym człowieku w czerni. To morderca. Zabił moją siostrę dosłownie na moich oczach. Moją ukochaną siostrę. Oprócz niej nikogo nie miałam na świecie. Przysięgam, że wymierzę mu sprawiedliwość. Pragnęłam zemsty. Przebyłam długą drogę, żeby dochodzić sprawiedliwości przed twoim sądem, panie.

Widmowy księżę spojrział na Parla Dro. Cień śmiertelnego gniewu naznaczył jego rozmyte rysy, które teraz okrzepły. Szponiasta dłoń leciutko zacisnęła się na wodzach zdobnych w klejnoty.

– Ta dama zarzuca ci morderstwo – zwrócił się księżę do Dro. – Jak na to odpowiesz?

- Dyskretnym ziewnięciem – odparł Dro.
- Twoja bezczelność świadczy o desperacji.
- Przepraszam. Myślałem, że raczej o znudzeniu.
- Ja... – zaczął księżę.

Ciddey przerwała mu cienkim, ostrym głosem.

– Nie rozmawiaj z nim, panie. Zabij go. – Przechyliła się w siodle i złapała za ramię rycerza, który trzymał konia. – Ty go zabij.

Rycerz drgnął, zbudził się do życia. Ale...

– Jak? – zapytał księżę ponad głową Ciddey.

Ciddey zawarczała. Jej długie zęby rozblęły srebrem. Nie była już dziewczyną. Stała się tym, czym była naprawdę. Myal czuł, że włos mu się jeży, chociaż ciało astralne nie mogło tak zareagować. Tłum zafalował i nieznacznie, jakby sprawdzając swoje możliwości, posunął się do przodu, w stronę Dro. Myal widział niezliczone mnóstwo migoczących rąk, tysiące paznokci jak długie, płaskie noże – paznokcie, które wciąż rosną na palcach trupa, śmiertelna cząstka ciała nieuznająca śmierci, podobnie jak same żywomory.

– Jak? – powtórzyła szeptem Ciddey, potwierdzając obawy Myala. – Po prostu rozedrzemy go na strzępy.

Myal obrócił się gwałtownie. Parl Dro stał nieporuszony. Myal równie gwałtownie obrócił się z powrotem. Niczym pierwszy akord ohydnej pieśni Ciddey wydała bezgłośny rozkaz, posługując się siłą woli i czystą nienawiścią. A on jeszcze wczoraj leżał obok niej, całował ją i pieścił.

Ciddey zsunęła się z konia i zaczęła iść w ich stronę, w stronę Dro. Tłum postępował za nią, bezmyślnie, ociężale, krok po kroku.

Myal poruszał się jak w lodowatej wodzie. Walcząc z ich nienawiścią i własnym przerażeniem, rozpaczliwie usiłował dotrzeć do nieosiągalnego brzegu.

Stanął pomiędzy Ciddey a Dro, czyli pomiędzy całym upiornym tłumem a Dro. Zdjął muzyczny instrument z ramienia i ścisnął go w dłoniach, wbijając własne paznokcie w dwa drewniane gryfy. Ciddey natychmiast zatrzymała się, a tłum zatrzymał się za nią.

Myal potrząsnął instrumentem – ręce same mu się trzęsły – a Ciddey cofnęła się.

– Pamiętaj, co mi powiedziałaś – ostrzegł Myal. Nawet głos mu drżał. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa.

Ciddey uśmiechnęła się, pokazując tylko dolne zęby. Jej oczy nagle rozpląnęły się w ciemnych oczodołach.

– Pamiętam, zdrajco – syknęła. – Powiedziałam ci o moim mlecznym zębie, który mój ojciec osadził w instrumencie, żeby zastąpić brakujący kawałek kości słoniowej. Pamiętam.

– Ten ząb to twój psychiczny łącznik – oświadczył Myal.

Trochę się jąkał. Był tak przemarznięty, że prawie stracił czucie w rękach. Bał się, że instrument przeleci mu przez palce, jak poprzednio kamień. Nie chciał do tego dopuścić.

– Jeśli zniszczę ząb, będziesz musiała odejść. Prawda?

– Prawda – powiedziała cicho, wciąż z uśmiechem.

– Zrobię to – oznajmił Myal.

– Och – zadrwiła – wielki zabójca duchów. – A potem roześmiała się bezgłośnie. Zamiast śmiechu z jej otwartych ust wyleciał srebrny, podłużny kształt, upadł na bruk u stóp Myala i zatrzepotał. Teraz on musiał się cofnąć. Ciddey wyciągnęła lewą rękę i z jej palców zaczęła kapać woda, najpierw kropla po kropli, potem coraz szybciej, aż wreszcie buchnęła strumieniem. Strumień dosięgnął ryby leżącej na bruku i ryba zawirowała w wodzie. Ciddey trzymała wodę jak srebrny szal, w którym pływała ryba.

– Więc zniszczysz ząb, tak? – zagadnęła. – Najpierw musisz wydłubać go nożem z drewna. Jeżeli nie masz przy sobie noża, pożycz nóż od Parla Dro. Ten sam, który wyłamał zamki w moim domu tej nocy, kiedy zamordował moją siostrę. Ach, właśnie – dodała, kręcąc wodą dziwaczne młynki – jeszcze o czymś zapomniałam. Najpierw musisz sprawdzić, który z kawałków kości słoniowej jest moim mlecznym zębem. Wszystkie są takie gładkie i poźółkłe. Wszystkie wyglądają tak samo. Prawda, minstrelu?

Myal zagapił się na nią, a potem na instrument. Oczywiście miała rację. Te wszystkie maleńkie kawałeczki kości... nigdy nawet ich nie policzył...

Ciddey zarzuciła mu na głowę wodny szal. Myal odskoczył, woda użądliła go zimnem, mokry rybi ogon, całkowicie namacalny, chlasnął go w policzek. Potem tłum zmarłych naparł na niego jak pulsująca ściana, zgniótł go, obalił, stratował. Myal wrzasnął w panice, zaczął się szamotać i nagle wynurzył się na powierzchnię. Tamci nie mogli zrobić mu krzywdy.

Spychał z drogi ciała, płaszcze, zbroje, włosy. Niepojętym sposobem widział samego siebie, wyraźnie jak w ogromnym lustrze – obłąkańczo wyszczerzone zęby, tęczęwki otoczone białkami. Biegł. Sam nie wiedział, dokąd biegnie, a zanim znalazł odpowiedź, dotarł już do końca ulicy, gdzie wystające dachy zachodziły jeden na drugi. Albo tak mu się zdawało. Gdzie w rzeczywistości nagie zbcze opadało stromo w ciemność. Odpychał coś gwałtownie wyciągniętymi rękami, jakby odpychał samego siebie. Ale potem poczuł, że uwolnił się od ciężaru. Wydał ostry krzyk rozpaczy. Ten krzyk został zagłuszony przez najokropniejszy dźwięk pod słońcem.

Cięnięty w powietrze, spadający szybko na spotkanie śmierci, muzyczny instrument wrzasnął.

Był to ostry, rozdzierający wrzask, wysoki, przerażająco melodyjny, złożony z wielu tonów brzmiących jednocześnie i bez przerwy. Sama dusza instrumentu zdawała się krzyżeć. Powstał jako zabawka sklecona rękami



pijaka. Powoli budził się do życia pod niewprawnymi palcami Myala, chłopca uczącego się grać. Jego dusza dojrzewała, jak dziecko dojrzewa i staje się mężczyzną. Jego dusza żyła. Należał do Myala, a teraz Myal go zabił. Lecąc przez pustkę ku swej zagładzie instrument krzyczał na właściciela. Myal wiedział, że to tylko powietrze przelatuje przez otwory piszczałki. Wiedział o tym. To nie robiło różnicy.

Stał sztywno wyprostowany, jęcząc bezustannie jak zranione zwierzę. Cierpiał. Nawet nie obejrzał się za Ciddey Soban, która skuliła się z przerażenia czekając na trzask pękającego drewna i pękającego zęba łącznika. Myal zapomniał o niej, zapomniał o Tulotefie i Parlu Dro. Chciał tylko, żeby ucichł ten wrzask, żeby agonia instrumentu skończyła się szybkim, śmiertelnym upadkiem.

Potem wrzask umilkł i Myal, rozłożywszy ramiona jak do lotu, o mało nie skoczył ze wzgórza w ślad za instrumentem.

Głos Ciddey, szyderczy i dźwięczny jak brzęk nowych monet, wyrwał go z odrętwienia.

– Nigdy nie potrafiłeś niczego zrobić jak należy, prawda, Myalu Lemyalu? Nawet tego.

Wtedy Myal uświadomił sobie, że przecież nie słyszał trzasku drewna uderzającego o kamienie. Był zbyt oszołomiony, żeby ucieszyć się lub złęknać. Spojrzał w otchłań i daleko w dole zobaczył instrument, nie większy od swojego kciuka, wiszący na postrzępionym pasie. Zaczepiony o szyld gospody. Przez chwilę nic nie rozumiał, ponieważ szyld i gospoda były równie niematerialne jak reszta Tulotefu. Potem przypomniał sobie karłowate drzewko, które rano pojawiło się na miejscu gospody. Drzewko powstrzymało upadek instrumentu. Teraz prawie je zobaczył.

A za jego plecami Ciddey, której łącznik z życiem pozostał nienaruszony, mówiła do Parla Dro, zupełnie jak kiedyś Myal:

– Pożycz mi nóż, żebym mogła cię zabić.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Parl Dro stał i patrzył na dziewczynę ducha, na jej smutną, złą i śliczną twarz. Zdawał sobie sprawę, że nadeszła kulminacyjna chwila, nieuchronnie jak w miłosnym akcie, chociaż tutaj działała nienawiść. Zebrał już siły. Zwlekał ze względu na Myalę, ale siedząc w chacie Kuny wiedział, że tego nie da się uniknąć. Może wiedział przez cały czas. Może wiedział wszystko. Wykorzystał Ciddey w niewybaczalny sposób, nie przez zawodową nadgorliwość, ale dla podbudowania własnej okaleczonej psychiki. Dlatego teraz powinna dokonać się sprawiedliwość, chociaż nie całkiem taka, jakiej pragnęła Ciddey.

Dro spokojnie wyjął nóż, o który prosiła, i podał go rękojęścią do przodu.

Ciddey nieufnie przyjęła nóż. Nawet żywomory potrafią się dziwić, tak jak potrafią przybierać wszelkie pozory życia.

– Dziękuję – powiedziała. I dodała: – Z przyjemnością pokroję cię twoim własnym nożem.

– To dobrze.

– Gdzie mam uderzyć – ciągnęła – żeby najbardziej bolało i żebyś jak najdłużej pozostał przy życiu? Widzisz, chcę się podzielić z Tulotefem.

Parl Dro spojrział ponad jej głową. Dla niego wyglądali jak niewyraźne cienie, jak mgła falująca na wzgórzu – stare, ginące duchy. Domy były niedbale naszkicowane miękką szarą kredą na tle nieba. Ciddey obok zjaw z Ghyste wydawała się bardzo rzeczywista. A Myal wyglądał całkiem jak żywy, kiedy klęczał na skraju przepaści – ciemnozłote włosy, pstry ubiór minstrela, blada twarz naznaczona strachem i osobistym cierpieniem.

– Zaczynj od wnętrzości – powiedział Dro do Ciddey. – To brudna robota. Przekręć trochę nóż, ale uważaj, żeby się nie pobrudzić. Z taką raną człowiek może przeżyć trzy kwadranse do godziny, rzygając krwią przez cały czas.

Zobaczył, że zbladła jeszcze bardziej i zatrzepotała powiekami, jak gdyby miała zemdleć. Naturalnie potrafiła zabijać, ale ten opis odebrał jej odwagę.

– Może posłucham twojej rady – powiedziała przygryzając wargę. – Kiedy będziesz umierał, oni rzucą się na ciebie z pazurami. Ale podobno już to przeżyłeś, jeśli legenda o twojej okaleczonej nodze jest prawdziwa. Słyszałam tę historię, kiedy byłam dzieckiem. Pocałunek zębów i pazurów.

– Uważaj – ostrzegł – bo zaraz się zdradzisz. Ukradłaś Myalowi dużo siły. Dzięki wrodzonym zdolnościom psychicznym Myala wyjątkowo szybko stałaś się silna. Ale żeby odnieść całkowite zwycięstwo, musisz ciągle wierzyć, że żyjesz. Przynajmniej na razie. Dopóki nie staniesz na własnych nogach. Potem przekonasz się...

– Za dużo gadasz jak na zabójcę duchów – przerwała mu Ciddey. – Dość tego.

Myal wydał nieartykułowany krzyk.

Dro zobaczył, jak muzykant podrywa się na nogi, zatacza się, biegnie w stronę Ciddey. Zobaczył, jak ręka Myala chwyta jej ramię i przechodzi przez rękaw na wylot, nie znajdując ciała ani kości. Zobaczył wyraz niedowierzania na twarzy Myala, kiedy nóż uderzył w pierś Dro. Mimo wcześniejszych pogroźek, jak za pierwszym razem, Ciddey celowała prosto w serce.

Dro zachwiał się od ciosu, ale utrzymał się na nogach. Stał i patrzył. Patrzył na czerwoną krew spływającą spod noża, który drżał jak metalowy liść, zagłębiony w ciele niemal po rękajeść. Interesujący i smutny widok.

Dro spodziewał się bólu, ale nie czuł nic. Pewnie stracił już wrażliwość na ból.

Ciddey cofnęła się. Z rozpędu wpadła tyłem na Myalę i oboje odskoczyli. Dro niemal spodziewał się, że usłyszy uprzejme przeprosiny. Teraz Ciddey zamarała w bezruchu i wytrzeszczyła oczy. Myal również patrzył. Przez minutę nic się nie działo. Wreszcie Dro podniósł rękę i wyrwał nóż z serca. Ostrze było lepkie od krwi. Ciddey zakrztusiła się i pisnęła cicho. Myal na razie był zbyt wstrząśnięty i oszołomiony, żeby wymiotować.

Za ich plecami mgliste kontury Ghyste Mortua zaczęły się rozpląwać. Mieszkańcy Tulotefu zrozumieli, że brutalna przemoc do niczego nie doprowadzi. Może nawet znali przyczynę.

Dro upuścił zakrwawiony nóż na ziemię. Jak gdyby to był znak, Ciddey upadła na kolana. Czołgała się do Dro przez ulicę. Zapomniała o upiornym księciu i jego orszaku, a oni również zapomnieli o dziewczynie, która na chwilę przywołała ich z powrotem do rzeczywistości. Objęła rękami stopy Dro i zadygotała.

– Jesteś aniołem zemsty – powiedziała. – Nie jesteś człowiekiem, nie jesteś zabójcą duchów, tylko narzędziem kary.

– Myślałam, że to ty szukasz zemsty.

– Nawet... nawet...

– Nawet już nie krwawię – dokończył, żeby jej pomóc. – Ślad po nożu zniknie za kilka dni. Może szybciej.

– Muszę wyspowiadać się przed tobą – powiedziała. Skrapiała łzami jego czarne buty. – Czy pójdę do piekła?

– Piekła nie ma – odparł.

Poczuł ogromne zmęczenie i zamknął oczy. Prawie nie słuchał, kiedy spowiadała się jego butom.

W każdym razie mówiła o tym, co sam stopniowo odgadł, kiedy analizował swoje reakcje na pochylony dom, pokój w kamiennej wieży, ciemną studnię, dziewczynę trawioną pragnieniem zemsty. Ciddey nie tylko rozpaczała po śmierci swojej siostry Cilny, ale spowodowała tę śmierć. Podczas jednej z owych częstych kłótni, o których opowiadali wieśniacy, podobnej do setek innych, Ciddey zepchnęła Cilny do studni. Młodsza siostra zawisała na zardzewiałym łańcuchu i uczepiła się wiadra, ale Ciddey odwinęła łańcuch. Był to świadomy akt złej woli. Kiedy szamotanina w wodzie ustała, Ciddey przebudziła się jak z koszmarnego snu. Ogarnęło ją przerażenie. Z siłą szaleńca wyciągnęła ze studni wiadro, łańcuch i martwe, niewiele wazące ciało. Położyła siostrę na brukowanym dziedzińcu. Próbowwała wycisnąć wodę z jej płuc. Potem siedziała i kołysała Cilny w ramionach, niepotrzebnie zwilżając łzami jej martwą twarz, skazana na całkowitą samotność w podupadłym domu Sobanów. Ale w nocy Ciddey zaciągnęła zwłoki siostry do strumienia u podnóża góry. Uplotła dla siostry wianek z żółtych asfodeli, miała jednak nadzieję, że prąd uniesie Cilny daleko, z oczu i z serca. Ale Cilny, martwa jak głaz, opadła ciężko na dno strumienia. Nawet rwący wiosenny nurt, wezbrany przez topniejące śniegi, nie poruszył jej ciała. Kiedy ludzie znaleźli zwłoki i przynieśli je z powrotem do domu Sobanów, Ciddey znalazła lekarstwo na swój żal i poczucie winy. Zabrała popioły Cilny do wieży i rzuciła na nie czar. Wezwała z powrotem Cilny. Obdarzyła martwą siostrę miłością, jaką rzadko okazywała jej za życia. Egzorcysta Parl Dro przerwał tę pokutę, dlatego cała nienawiść Ciddey skupiła się na nim. Ale teraz Ciddey zrozumiała, że nie może ukarać Dro za swoje winy. Ukarła tylko siebie, była swoim własnym kozłem ofiarnym. Leżała na bruku Ghyste Mortua i czekała na swoją Nemezys.

Ale Parl Dro, który nie był czarnym aniołem bożego gniewu, nie zrobił nic, nie powiedział nic.

Wreszcie Ciddey uniosła głowę. Miała dziwne wrażenie pustki. Czy może było to wrażenie lekkości, jak gdyby uwolniono ją od ciężaru Cilny?

– Zasługuję na karę – powiedziała z osobliwą godnością. – Czy ukarzesz mnie? Co teraz będzie?

– Zostałaś ukarana – odparł Dro. Popatrzył na nią ze znużeniem. – Sama wymierzyłaś sobie karę.

– Powinnam smażyć się w piekle – oświadczyła z uporem. Ale napięcie ustępowało z jej twarzy i ciała.

– Piekło nie istnieje.

– Więc dokąd odchodzimy?

– Gdzieś daleko. Gdzieś daleko stąd.

– Może donikąd – powiedziała. Podniosła się. Nagle wszystko, o co lub przeciw czemu walczyła, straciło znaczenie. Nie wiedziała, że czubki jej bladych palców, jej blade włosy znowu stały się przezroczyste, jak wtedy, kiedy pojawiła się po raz pierwszy.

– Gdzieś daleko – powtórzył Dro.

– No cóż – odparła – ty wiesz najlepiej.

Rozejrzała się. Na jej twarzy pojawił się wyraz niedowierzania zmieszanego z obojętnością.

– Oni odeszli – stwierdziła. – Duchy z Ghyste.

– Są słabe – wyjaśnił Dro. – Nie mogą długo wytrzymać w specyficznych warunkach tej rzeczywistości. Wszystkie duchy pozostawione samym sobie w końcu umierają. Czasami przez stulecia, ale tak już jest.

Ciddey spojrzała na mroczne, widmowe odbicie miasta. Spojrzała nawet na Myala.

– Dlaczego nie zejdziesz po instrument, nie wydłubiesz zęba i nie rozdepczesz go? – zapytała. – Powiem ci, który to jest.

Ale Myal tylko wzdrygnął się, podszedł do widmowego domu i oparł czoło o ścianę. Niczym nie zdradził swoich myśli ani zamiarów, pozostał jednak w zasięgu słuchu, może nieświadomie.

– Jestem gotowa odejść – powiedziała Ciddey do Dro. – Jestem zmęczona. Chcę tego. Dlaczego nie mogę po prostu odejść, nie niszcząc zęba?

– Jeśli posłużyłaś się łącznikiem, powstała więź. Jesteś z nim związana, dopóki nie zostanie zniszczony.

– Ty to zrób – rzuciła rozkazująco.

Dro uśmiechnął się. Wyglądał bardzo staro i bardzo pięknie. Jak posąg, nie jak człowiek. Plama krwi na jego koszuli wsiąkła bez śladu w czarny materiał.

– Chyba nie.

– Nie rozumiem – oświadczyła. – Przecież...

– Proszę – przerwał jej chłodnym, uprzejmym tonem, próbując taktownie zmienić temat, ale zignorowała to.

– Ty – syknęła. Jej oczy płonęły zdumieniem i niedowierzaniem. – Ty szarlatanie.

– Nie całkiem.

– Ty oszuście.

– Zgadza się.

– Przekłęty łotrze – warknęła – jak śmiałeś...

– Jak śmiałaś?

Zamknęła usta. Uśmiechnęła się zaciśniętymi wargami.

– Czuję taki spokój – oznajmiła. – Nic dla mnie nie znaczysz. Chcę zasnąć. Czy to będzie sen? Wszystko jedno. Pozwól mi odejść. Proszę,



Parlu Dro.

– Myal – powiedział Dro nie patrząc na muzykanta – wleź na drzewo i zdejmij instrument.

Myal próbował przebić głową przezroczystą ścianę, ale bez powodzenia.

– Idź do diabła – burknął.

– Skoro nie ma piekła, to nie ma diabła – powiedziała Ciddey w zamyśleniu. Roześmiała się dziewczęcym śmiechem. – Może spotkam Cilny. Odbędę karę, a potem możemy się pogodzić. Och, jestem zmęczona tym wszystkim. Czy mogę sama zdjąć instrument i zniszczyć łącznik?

– Nie wiem – odparł Dro.

– Nienawidziłam cię – ciągnęła. – Tak bardzo cię nienawidziłam. Miałam motyw, żeby wrócić. Ale ty...

– Proszę – powtórzył Dro.

Ciddey wzruszyła ramionami.

– Och – mruknęła. Ponownie zerknęła na Myala. – Pewnie chodzi o niego. Myślałam, że poszedłeś za nim do Tulotefu, bo jesteś w nim zakochany.

– Jestem w nim zakochany – odparł Dro. – On jest moim synem.

Trzy rzeczy wydarzyły się jednocześnie, jak w starannie wyreżyserowanym przedstawieniu.

Dziewczyna szeroko otworzyła oczy, raczej gestami niż słowami wyrażając swoje zdumienie; to było pierwsze. Po drugie Myal bardzo, bardzo powoli oderwał się od ściany i ruszył w ich stronę ciężkim, niepewnym krokiem ślepcy. Trzecia rzecz przekreśliła wszystkie poprzednie czyny i słowa. To był dźwięk. Dźwięk rozdieranej tkaniny. Wystrzępiony pas, zaczepiony o szorstkie gałęzie drzewa, pękał pod ciężarem instrumentu.

Trzy bezcielesne zjawy na ulicy widmowego miasta zamarły. Dotarł do nich ostatni urwany jęk, niewyraźna, pojedyncza nuta. Potem trzask drewna uderzającego o ostre kamienie, przeraźliwy brzęk strun, chrzęst żwiru, tępy, okropny huk, łomot, zgrzyt. Szelest osypującego się piasku, drugi ostry trzask, jeszcze głośniejszy. Powoli opadały pióra ciszy.

Ciddey zawirowała w miejscu jak ćma, jej spódnica rozłożyła się wachlarzowato niczym owadzie skrzydła.

– Chciałam tego – szepnęła. – Chyba sama to zrobiłam. Cieszę się – szepnęła. Załkała, z jej oczu pociekły łzy, nie zimna woda strumienia. – Chciałam – szepnęła – chciałam...

Ciemność zawirowała, wciągnęła ją i pochłonęła. Niekiedy można było pomóc, pocieszyć, ułatwić drogę. Przejście na tamtą stronę mogło dokonać się w spokoju, czasem nawet z ulgą i wdzięcznością.

Parl Dro stał i spoglądał w noc. Czuł tylko ostry, palący wstyd, odrazę do wszystkiego, co kiedykolwiek uczynił w imię swojej tak zwanej profesji.

Odruchowo, bezmyślnie podniósł ramię, żeby zablokować cios Myala wymierzony w szczękę. Odruchowo sam uderzył, zwinny jak kot. Myal siadł na ziemi, przeklinając go.

Teraz Parl Dro sam musiał się wypowiedzieć, pokonując wewnętrzny sprzeciw.

– Nie możesz, nie mogłeś być moim przeklętym ojcem. Chyba że zacząłeś bardzo wcześnie. Pewnie tak było. Ja za bardzo się bałem... nigdy nie miałem okazji... nie, za bardzo się bałem. Żona woźnicy uwiodła mnie, kiedy miałem dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat. Ona była pierwsza. Byłem jej wdzięczny. Ty na pewno zacząłeś, jak miałeś czternaście lat. Albo jeszcze wcześniej. I z dojrzałą kobietą. Niezbyt moralnie. Zrobiłeś to z nią, a potem poszedłeś sobie – przepraszam, pokuśtykałeś – w siną dal i zostawiłeś ją. Z moim pijanym ojcem... tylko że on nie był moim ojcem.

Nic dziwnego, że mnie nienawidził. Kiedy mnie tłukł, odgrywał się na tobie. Nie mam do niego pretensji. Szkoda, że nie rozwaliłem ci głowy. Ojciec. Wędrowny zabójca duchów. Potrafi robić sztuczki z nożami. Musisz nauczyć mnie tego sposobu. Poduszczecka, metalowa płytką, fałszywa krew. A może nóż był fałszywy, giętkie ostrze czy coś w tym rodzaju. Naprawdę musisz mnie tego nauczyć, tato. Jesteś mi coś winien. Jeśli to prawda.

– To prawda.

– No, muszę ci wierzyć na słowo. Z drugiej strony wiem, ile jest warte twoje słowo. Straciłem jedyną rzecz, na której mi zależało – ciągnął Myal.

– Leży tam na dole, w kawałkach.

– Tam gdzie wcześniej chciałeś go rzucić, żeby uratować mnie przed Ciddey i Tulotefem – odparł Dro. – Wtedy zrozumiałem, że muszę ci wszystko powiedzieć.

– Nie chcę nic więcej słyszeć – oświadczył Myal.

– A ja naprawdę nie chcę nic więcej mówić – dokończył Dro.

– Świetnie. Niech tak zostanie.

Myal wstał. Z pochyloną głową i oczami wbitymi w ziemię ruszył przed siebie długim, szybkim krokiem, któremu nie mogła sprostać kaleka noga Dro. A potem Parl Dro zastąpił mu drogę. Myal podniósł głowę i wytrzeszczył oczy.

– Co... jak tyś to zrobił?

– Tak samo, jak poradziłem sobie z nożem. Tak samo, jak przeniosłem się tutaj z chaty Kuny w niecałą minutę.

– Jednak wprowadziłeś się w trans – stwierdził Myal. – Jesteś tutaj w astralnej postaci, tak jak ja.

– Za tobą jest niski murek. Usiądź.

Myal cofnął się o krok i usiadł nie całkiem dobrowolnie, bo murek podciął mu nogi.

– Dobrze.

– Teraz – oznajmił Dro – wyjaśnię ci wszystko, jeśli potrafisz milczeć przez chwilę. Chociaż wcale nie mam ochoty mówić, a ty wcale nie masz ochoty słuchać.

Myał popatrzył na swoje drżące, zaciśnięte dłonie.

– Więc po co to?

Dro nie odpowiedział. Usiadł na murku pół jarda dalej i zaczął mówić niskim, spokojnym głosem, wyraźnie i bez pośpiechu.

Parl Dro, praktykujący egzorcysta już w wieku siedemnastu lat, przekroczył czterdziestkę, kiedy trafił do lasu u podnóża góry i o zmierzchu znalazł kobietę ze złotymi włosami Silky, kobietę, która była Silky, żywą i dorosłą Silky, zaledwie kilka lat młodszą od niego. Nie kochał jej, ale ją odnalazł. A ona, pod wpływem atmosfery tego spotkania czy po prostu spragniona odmiany w swojej monotonnej egzystencji, wyszła mu naprzeciw. Potem mogło nastąpić rozstanie lub kontynuacja. Ale rozwiązanie nie nadeszło samo, zostało wymuszone, kiedy pojawił się handlarz z obwisłym brzuchem, twarzą pijaka i rażąco delikatnymi dłońmi muzyka. Tej nocy wyjechał, żeby targować się o unikalny muzyczny instrument, który chciał mu sprzedać inny pijak nazwiskiem Soban. Handlarz zamierzał spędzić noc w burdelu, ale wydał wszystkie pieniądze na trunki i na instrument. Z łupem w skórzanej sakwie wrócił do domu, do żony i wozu, przez cały czas rozmyślając, czy nie zrobił z siebie głupca. I odkrył, że ktoś spędził noc z jego żoną. „Nie przejmuj się, nic się nie stało”, powiedział handlarz. Może w tamtej chwili potraktował całe zdarzenie z pijacką, filozoficzną obojętnością. Ale trzeźwiejąc wpadł w złość. Wlazł na wóz i wybrał sobie broń – tasak do mięsa. Dosiadł konia i pojechał w góry za Parlem Dro. Wytropił go czystym zwierzęcym instynktem, zrodzonym z nienawiści. A kiedy dopędził Dro, uderzył tasakiem z bezbłędnym

wyczuciem, celując w najsłabszy punkt – kaleką nogę Dro. Ostry jak brzytwa tasak przeciął ciało, kości i ścięgna, zgodnie ze swoim przeznaczeniem. Noga została odrąbana tuż pod kolanem. Parl Dro nie czuł tego, czuł tylko ból. Upadł, a napastnik porzucił go ogarnięty nagłą paniką. Zawrócił konia i umknął, i wkrótce ruszył swoim wozem z powrotem na południe. Złotowłosa kobieta, którą zbił do nieprzytomności w pierwszym porywie, zanim jeszcze sięgnął po tasak, odzyskała zmysły w jadącym wozie. Do tej pory krew i broń zostały uprzątnięte. Kobieta pomyślała, że mąż zemścił się tylko na niej, albo wołała tak myśleć.

Na górze Parl Dro stoczył się do wąskiego kanału i leżał, dopóki nie stracił przytomności z bólu i upływu krwi. Po jakimś czasie wykrwawił się na śmierć. Całkowicie. Po prostu. Był martwy.

Za życia uważał, że nauczył się prawie wszystkiego, co człowiek może wiedzieć o słabościach, motywach, metodach i sztuczkach żywomorów. Że są zazdrosne o żywych, powracają dla zemsty, wysysają energię z tych, którzy ich kochali, zwłaszcza krewnych, że zwykle ukrywają swoje rany przed innymi i przed sobą: albo – bardzo rzadko – wystawiają te rany na pokaz, żeby wzbudzić strach i poczucie winy. Że deszcz nie moczy ich ubrania, zawsze tego samego, co w godzinie śmierci. Że przychodzą nocą, ponieważ ciemność pomaga im zamaskować fizyczne defekty, ale również dlatego, że przesądnie unikają blasku słońca, jeśli nie są wyjątkowo silne i zuchwałe. Parl Dro wiedział to wszystko. To pomagało. Ale najbardziej pomogło Tulotefowi. Nie tylko dlatego, że zmierzał tam w dniu śmierci – do Ghyste Mortua, gdzie pielgrzymowało tylu zabójców duchów, do upiornego miasta umarłych, którzy prześladowali żywych – ale ponieważ dzięki niemu oprócz motywu miał również niezbędne umiejętności. Wierząc, że tylko w astralnej postaci człowiek może bezpiecznie wejść do Ghyste, Parl Dro ćwiczył sztukę zapadania w trans i uwalniania duszy z

ciała. Kiedy umarł w górach, już od kilku miesięcy po mistrzowsku władał tą techniką. I stało się coś, czego on – mimo całej znajomości żywomorów – nigdy nie był w stanie przewidzieć.

Rozpoczęła się walka na jakimś pozafizycznym planie, częściowo związanym z tym światem, a częściowo z jakimś innym miejscem. Walka toczyła się pomiędzy dwoma istotami, na które rozszczępił się Parl Dro. Jedna istota wściekle pragnęła żyć, odnaleźć Tulotef i zniszczyć je – właśnie teraz, jak na ironię. Ta istota, uzbrojona w swoje psychiczne zdolności, mogła powrócić do świata w pełnej, doskonałej astralnej postaci – najsilniejszy, najbardziej żywotny duch, jaki kiedykolwiek opierał się śmierci. Ale druga istota pozostała egzorcystą i walczyła z pierwszą, próbując odesłać ją w zaświaty, gdzie było jej miejsce.

Gdyby Tulotef był jedyną siłą przyciągającą go z powrotem do materialnego świata, prawdopodobnie Dro–zabójca duchów wygrałby tę ostateczną bitwę z własnym żywomorem. Ale oczywiście istniał również łącznik. Nierozzerwalna więź. Coś, co należało do niego. Ważniejsze niż kość czy rękawiczka, ważniejsze niż ząb czy pasmo lśniących włosów. Znacznie ważniejsze. Znacznie trudniejsze do zniszczenia.

Prawdopodobnie początkowo kobieta przekonała swego męża – brutala, że to jego sprawka. Wracał do żony co pewien czas, jak powracał do piwa czy domowej kuchni. Wreszcie po jej śmierci, kiedy dzieciak dorastał, handlarz zaczął dostrzegać pewne szczegóły. Lekką budowę matki, ale wzrost nieodziedziczony po żadnym z rodziców, włosy matki, ale o ton czy dwa ciemniejsze, oczy, które czasami stawały się czarne. Również twarz, która na skutek niepojętej metamorfozy stawała się uderzająco przystojna. I geniusz przejawiający się w muzyce, talent, którego handlarz nigdy nie posiadał. Myal. Nasienie Parla Dro. Nasienie, które urosło w embrion,

dziecko, chłopca, mężczyznę. Coś, co Dro zostawił w materialnym świecie. Myal, jego syn: łącznik.

Na planie, gdzie dwie istoty Parla Dro walczyły ze sobą, duch przeciw zabójcy duchów, czas nie istniał. Ale w prawdziwym świecie czas mijał. Z biegiem lat Myal, dorastając, stał się łącznikiem, który coraz silniej przywoływał Parla Dro z powrotem do życia. Wreszcie żywomór Dro zwyciężył. Wówczas zmieniły się role. Teraz Dro ślepo przywoływał Myala, widząc – jeśli można to tak nazwać – tylko swój łącznik. Myal, posiadający zdolności jasnowidza i w dodatku spokrewniony z Dro, nieświadomie reagował na to przyciąganie. Nieświadomie przywędrował z południa do tych lasów, do tych gór. Przeszedł obok próchniejących, potrzaskanych kości swojego ojca i naturalnie o tym też nie wiedział. Włóczył się po dolinie i nieświadomie czekał, aż Dro odniesie całkowite zwycięstwo i wróci przez bramę do materialnego świata. I Dro powrócił, obudzony do życia fizyczną bliskością Myala. Po okresie letargu miał tyle samo lat, co w chwili śmierci. Zdawało mu się, że od ostatnich wydarzeń upłynęły zaledwie dwa czy trzy dni, a nie dwadzieścia sześć lat. Dlatego szukał w lesie wozu i nie znalazł go, a następnie podjął przerwana – istotnie przerwana! – podróż przez góry.

Zanim Parl Dro zszedł z przełęczy do domu Sobanów, stał się prawdziwym Królem Mieczy, wysłannikiem śmierci, władcą duchów. I pozorów. Okłamywał siebie i innych.

Oto był żywomór, który niczym się nie zdradzał, który potrafił unikać każdej pułapki. Nie popełniał błędów. Deszcz moczył mu ubranie. Kurz osiadał mu na butach. Zatrzymywał się, żeby jeść i pić. Spał. Uprawiał miłość. Zraniony krwawił i przez krótki czas miał blizny, chociaż oczywiście nie mógł umrzeć. Kuśtykał na obolałej, okaleczonej, ale całej nodze, pamiętając tylko upiora z mostu – a przecież pokonywał całe mile,

wspinał się na skały, na drzewa... Wyważał zasuwę w drzwiach, zamiast przeniknąć przez drzwi na wylot. I często, choć nie zawsze pod nieobecność innych ludzi, pojawiał się w świetle dziennym. Potrafił nawet oszukać swoich braci, zmarłych.

Jako prawdziwy duch żerował na żywych. Żerował na Myalu. On, nie Ciddey, zaczął go wysysać. Chociaż później Dro podświadomie rozumiał, co robi, i próbował odejść, podczas gdy Myal równie gorączkowo ścigał go, przyciągany, zafascynowany, usidlony. A potem Parl Dro sięgnął do ukrytych rezerw dyscypliny i woli i dokonał kolejnego wyczynu, jakiego jeszcze nie próbował żaden duch. Przestał wysysać życiową energię z Myala. Zamiast tego Dro stworzył duplikat tej siły, jak inne swoje nadzwyczajne zdolności, w sobie samym – wiecznotrwały płomień. Nawet w retrospekcji nie mógł sobie przypomnieć, kiedy dokonała się ta przemiana. Podobnie jak wszystkie duchy, Dro ukrywał przed sobą swoją prawdziwą naturę, a także ukrywał przed sobą, że potrzebuje Myala.

Myal był jasnowidzem. Odziedziczył to po Dro. Te zdolności pomogły mu wytropić Dro, kiedy Dro naprawdę nie chciał, żeby go wytropiono, ścigano i odnaleziono. Myal miał prócz tego inne zdolności, których nigdy nie mógł rozwinąć, a których Dro nigdy nie odkrył w sobie samym. Myal – który czasami postępował tak głupio, że Dro nawet nie potrafił sobie czegoś takiego wyobrazić, po śmierci czy za życia – miał coś w sobie, jakąś świetlistą iskrę, cząstkę wielkiej duszy świata, duchowe czy umysłowe dziedzictwo. Dro nie mógł tego zniszczyć w żadnym wypadku.

Oczywiście Dro zawsze podświadomie wiedział, że jest martwy. Obdarzony wyjątkową mocą, ale martwy. Ścigał ducha Ciddey z chorobliwą zawziętością, jak ktoś, kto morduje ofiarę zarazy ze strachu, że u siebie spostrzeże te same objawy. Ghyste było podobną obsesją. Ale teraz, kiedy zmierzył się ze sobą samym i poznał prawdę o sobie, kiedy wiedział,



że musi odejść – jak Ciddey, która odeszła tak lekko i z takim wdziękiem, zawstydzając go – teraz wiedział, że nie może opuścić tego świata. Ponieważ łącznik trzeba było zmienić – spalić, roztrzaskać, zniszczyć. Łącznikiem Dro był Myal. Żeby uwolnić się od pozornego życia, Dro będzie musiał odebrać życie Myalowi. Będzie musiał zabić własnego syna. Po raz pierwszy uświadomił sobie wstrząsającą prawdę, kiedy myślał, że Myal nie żyje. Nie chciał przeżywać tego jeszcze raz, nawet jeśli nagrodą była śmierć.

Pozostała jedna możliwość. Rozstać się z Myalem na zawsze. Wprawdzie nie potrzebował już siły życiowej Myala, ale Myal był motywem, który wiązał Dro ze światem, którego uczeplił się żywomór Dro. Cinnabar wyczuła to, chociaż nie rozumiała. A może rozumiała. Wysłała Myala do Ghyste jako opiekuna Dro, psychiczną kotwicę pośród nadnaturalnego chaosu. Tak, pewnie wiedziała, że w jej łóżku, miękkim jak szesnaście chmur, spoczywał demoniczny kochanek. Pewnie wiedziała, że Dro widzi w niej matkę Myala. Pewnie wiedziała wszystko.

Myal siedział wpatrując się w ziemię. Łzy przychodziły mu łatwo, co nie było żadną hańbą, ale on widocznie tak uważał, ponieważ próbował ukryć zapłakaną twarz przed swoim martwym, niesamowitym ojcem siedzącym na końcu muru.

Dro nigdy nie kochał nikogo i niczego. Nawet Silky, która tylko do niego należała, tak jak Myal.

– Przepraszam za zniszczenie instrumentu – powiedział rzeczowo Dro.  
– Do diabła z instrumentem. – Myal załkał głośniejszym głosem, ponieważ kochał instrument. Daremnie próbował ukryć łzy. Postukał długimi nerwowymi palcami w mur, który nie wyglądał już jak mur, tylko jak grzbiet nagiego wzgórza. Domy i bladożółte lampy znikły, ucichły dzwony, pieśni,

uderzenia młotów i turkot kół. Może jednak wyegzorcyzmowali Tulotef. Po prostu zniszczyli je mówieniem, wypowiedaniem okrutnej prawdy.

- Przepraszam za wszystko – powiedział Dro.
- Ale powiedziałaś mi.
- Miałaś prawo wiedzieć.
- Ale nie mam prawa spodziewać się niczego dobrego.

Parl Dro podniósł kamyk. Niedbale, szybko wyskrobał na ziemi swoje imię. Od tyłu.

- A teraz odchodzę – oznajmił.
- Nie... – Myal podniósł wzrok. Był przestraszony.
- Odejdź z tego miejsca i wróć do chaty Kuny. Łatwo ją znajdziesz, bo jesteś tam w cielesnej postaci. Do jutra powinieneś odzyskać swoje ciało. Jesteś silniejszy, niż ci się zdaje.

– Nie jestem taki silny, jak tobie się zdaje. Myślisz, że mogę wytrzymać to wszystko i nie zwariować. No więc nie mogę. Dokąd pójdziesz?

- Gdzieś daleko, żeby czekać.
- Na co?
- Na śmierć. Całkowitą. Duchy umierają. Dowiedziałem się tego w Tulotefie. Powinienem szybko umrzeć, zwłaszcza bez żadnych bodźców.

– Dlaczego nie zaczekasz, aż ja umrę? – nonszalancko zapytał Myal. – Wtedy łącznik zniknie, prawda?

– Może będziesz żył długo. Mam nadzieję. Ale ja nie mam prawa tutaj być. Pomyśl o mojej rozterce. Przez całe życie zabijałem. Nie mogę teraz oszczędzać siebie z tych samych powodów.

- Ty draniu.
- Wymyśl lepsze dialogi – zaproponował Dro.
- W twoim stylu – parsknął Myal.
- Nie, raczej w twoim własnym stylu.

Myal zaczął coś mówić, ale słowa uwięzły mu w gardle, ponieważ Parl Dro, urodziwy wysłannik śmierci, Król Mieczy, zniknął pomiędzy jednym oddechem a drugim.

Przez dziesięć minut Myal biegał po wzgórzu. Wołał Dro, krzyczał na Dro. Potem potknął się, pośliznął i wylądował na twardym odłamku skały, który chyba specjalnie czekał w tym miejscu, żeby go dźgnąć. Coś trzasnęło mu pod ręką. Obejrzał się i zobaczył, że leży pośród szczątków rozbitego instrumentu.

„Nauczysz się na tym grać, ty wstrętne mały szczurze”, powtarzał czule ojciec Myala – ale przecież Myal zawsze podejrzewał, że ten człowiek nie jest jego ojcem. „Zabiłem człowieka, żeby to zdobyć. Zabiłem go na śmierć”.

Myal pomyślał, że wszystko stało się za sprawą instrumentu. Ponieważ jego ojciec–jego nie ojciec pojechał kupić instrument. Dro przespał się z matką Myala.

„Zabiłem go na śmierć”.

Myal objął pęknięte drewniane pudło i zapłakał w czarnych, grobowych ciemnościach nocy.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Zachodzące słońce malowało wielkie, rozgałęzione kandelabry drzew. Pnie i konary upstrzone były bursztynowymi plamkami. Szafranowe, błyszczące liście zapowiadały nadejście jesieni, już bliskie, ponieważ koniec dnia symbolizował koniec całego roku. Odchodzące lato pachniało spiekotą, jak kurz na drodze.

Myal maszerował w rytmicznym tempie. Torba na jego plecach podskakiwała za każdym krokiem. W torbie był strunowy instrument, nic nadzwyczajnego, poobijana klasyczna gitara, o którą zagrał w kości w ubogiej wiosce i ku swemu zdumieniu wygrał. Zastanawiał się, jak najlepiej przeciąć pudło, kiedy znajdzie bliźniaczy instrument, i jak przeciąć również bliźniaka. Potem poszuka odpowiedniej trzciny na fujarkę oraz wszystkich drewnianych części. Niełatwo mu przyszło robić te plany, ponieważ wspomnienie pierwszego instrumentu wciąż ciążyło mu na sercu. Zawsze będzie go pamiętał. Pochował kawałki drewna i drutu na wzgórzu Tulotefu. Pierwszy grób, jaki wykopano tam od wieków. Z pewnością pierwszy opłakiwany grób.

Ale żal nie zawsze wpływa na inne emocje. Myal czuł się bezpieczny w prawdziwym ciele, a przebywanie w ciele astralnym również było przyjemne. Miał też dobrą passę w ostatnich miesiącach. Szczęście w grze i w muzyce. Poszczęściło mu się również z pewną dziewczyną w podgórskiej wiosce, dziewczyną, która chciała z nim spędzić tylko jeden dzień i jedną noc, a nie wszystkie następne dni i noce jego życia. Może starucha z lasu dała mu błogosławieństwo. Podarował jej trzy srebrne kołki ze zniszczonego instrumentu, ponieważ tak dobrze opiekowała się nim

podczas jego... nieobecności. Zeszyła mu koszulę, którą wcześniej rozcięła szukając narkotyku. I wcale nie nazywała się Kuna. Napis na drzwiach dotyczył poprzedniego lokatora. Parl Dro nie był nieomylny. Myal bardzo przebiegle przeprowadził śledztwo w tej sprawie i ucieszył się z rezultatu. Cieszył się również, że poprzednio tak mu się udało, chociaż był półprzytomny z gorączki i atakowany przez dwa wygłodniałe żywomory.

Nie odczuwał już strachu ani nawet rozpacz. Po prostu, jak każdy dziedzic fortuny, był zdecydowany dochodzić swoich praw. Dro mógł ofiarować Myalowi tylko jedną cenną rzecz – swoje towarzystwo, swoją przenikliwość, erudycję, ostry jak brzytwa język i umysł. Myal dorastał wśród zwierząt i musiał żyć jak zwierzę. Miał tego dość. Pragnął odmiany. Wiedział, że Dro może obdarzyć go nową osobowością albo pokazać mu, jak odnaleźć samego siebie. Dro, który spłodził go przypadkiem i porzucił po śmierci. To mu nie ujdzie płazem. Myal nauczył się pewnej sztuczki od kobiet, z którymi miewał kłopoty. Ale mimo wszystko była to sprytna sztuczka: szantaż.

Co do reszty, Myal wiedział, że Dro nie będzie już na nim żerował. Dro był zbyt niezależny i nauczył się samodzielnie wytwarzać energię, jak wiecznie płonący wulkan. Myal chętnie, z dumą i zadowoleniem zaakceptował swoją drugą rolę – łącznika podtrzymującego istnienie Parla Dro. Dro nie umrze, dopóki Myal będzie żył. Zabawna, nawet przyjemna myśl. Myal puścił wodze wyobraźni i ujrzał szaleńczą wizję, która rozśmieszyła go do łez. Zobaczył siebie samego w wieku pięćdziesięciu pięciu lat, obok Parla Dro, swojego ojca, wciąż takiego jak w godzinie śmierci, piętnaście lat młodszego od syna. A może Dro, mistrz wszelkich pozorów, teraz zacznie się starzeć?

– Łatwo cię znaleźć – powiedział Myal do Parla Dro przy ognisku w ruinach fortecy, kiedy noc dygotała z gorączki. – Zostawiasz za sobą jakiś

cień. Nie widzę go, ale wiem, dokąd prowadzi. Mogę iść za tobą łatwo jak po sznurku.

Wprawdzie trochę trudniej było wytropić człowieka w astralnej postaci, który postanowił pozostać niewidzialny. Ale tu i ówdzie zostawał ślad jak promień latarni. Nawyk cielesności okazał się zbyt silny nawet dla zahartowanego ducha Parla Dro. Poza tym sam łącznik był najlepszym przewodnikiem na świecie. A co powie Myal, kiedy już doścignie Dro? Wciąż nie bardzo wiedział, co należy zrobić, żeby nabrać kogoś takiego jak Dro. Chociaż teraz oczywiście wierzył, że sobie posadzi. Znajdzie sposób.

Słońce płonęło w czarnych pochodniach topoli.

Wysoko w górze niebo przypominało przezroczysty parasol. Bez chmur. Bez ptaków. Nawet bez gwiazd.

Ale niewidoczny cień był wyraźny. Prowadził Myala przez garbaty pagórek, z dala od gościńca, krętą ścieżką przez łąkę i dalej pomiędzy drzewa. Światło nagle zaczęło niknąć, jak woda przeciekająca przez palce.

– Jesteś czarownikiem – powie Myal do Parla Dro. – Możesz wmawiać wszystkim, że jesteś tylko człowiekiem, ale potrafisz przenikać przez ściany. Nie zabije cię nóż, sznur, trucizna ani żadna zwykła broń. Możesz wejść do królewskiego skarbcza i ukraść wszystko, co zechcesz. I wolisz z tego zrezygnować? Jako zawodowy złodziej jestem oburzony.

I powie mu jeszcze:

– Nigdy nie miałem ojca. Miałem zwierzę ze skórzanym pasem w rękach.

I powie mu jeszcze:

– Wiedziałeś, że pójde za tobą, tak jak przedtem. Skończ ze wzniosłymi gestami i spójrz prawdzie w oczy. Zgoda, masz wyrzuty sumienia z powodu tamtych, których odesłałeś. Ale sam jesteś zdecydowany przeżyć za wszelką cenę.

Płowe liście barwiły się umbrą i ciemną zielenią, a rozwidlone konary były szare jak popiół. Polana była pusta albo tak wyglądała.

Myal przystanął i rozejrzał się. Jak zwykle serce podeszło mu do gardła. Zerknął przelotnie na szczególnie puste miejsce pomiędzy dwoma pniami.

– No, no – powiedział jasnym, donośnym głosem, ze znakomitą dykcją.

Pomiędzy drzewami pojawił się niewidoczny cień, bezkształtny i rozmazany.

– Powiedziałem – powtórzył Myal – no, no.

A potem posłał przez polanę strumień czystej woli, psychiczny instrument determinacji i przetrwania. Strumień uderzył w miejsce pomiędzy drzewami, trafił, pochwycił i spętał zdobycz. Parl Dro wypłynął z nicości, odziany w aksamitną czerń. Błada rzeźba jego twarzy zastygła pomiędzy hebanowym płaszczem a kruczymi włosami.

Parl Dro popatrzył na Myala z lekką irytacją i umiarkowanym zainteresowaniem. Jego gniew był niemal komiczny w tej chwili, jego zjawiskowa uroda niemal wzruszająca; jego rozpacz, jeśli rozpaczał, pozostała ukryta.

A Myal wybuchnął śmiechem, a Myal sam był piękny i bezlitosny, jak złocisty anioł, który sfrunął prosto z zachodzącego słońca. Jak księżę. Zawsze wiedział, że jest księciem.

– No, no – przeciągnął Myal po raz trzeci, wreszcie odnajdując właściwe słowa. – Cóż za spotkanie.

---

[1] Silk (ang.) – jedwab (przyp. tłum.).